

Ludwik Stomma
Złodziej przepisał moją książkę

Dr Paweł Sękowski
Jak uczyć o Polsce Ludowej

Roman Kurkiewicz
Gliński ceni, płaci i żenuje

Anna Krawczak
Domy dziecka muszą zniknąć

KAGAŃCOWCY idą po władzę



TROTYL

S Y B I L L A

VIRGINIE EFIRA
ADÈLE EXARCHOPOULOS
SANDRA HÜLLER
GASPARD ULLIEL

REŻYSERIA
JUSTINE TRIET

W KINACH OD 21 LUTEGO

Gdy fascynacja
staje się obsesją



KONKURS GŁÓWNY
CANNES



TRANSATLANTYK
FESTIVAL / ŁÓDŹ / 2019



MFF
W BUKARESZCIE
KONKURS
GŁÓWNY



EUROPEJSKI
FESTIWAL FILMOWY
W SEWILLI
KONKURS
GŁÓWNY

Projekt współfinansowany ze środków programu Unii Europejskiej „Kreatywna Europa”



AURORA

CYTATY

VĚRA JOUROVÁ,
wiceszefowa Komisji
Europejskiej
*Polska reforma (sądów)
jest dokonywana
za pomocą łomu.
„Der Spiegel”*

**PROF. STANISŁAW
OBIREK,** teolog, historyk
UW

*Jan Paweł II był
otwarty na zewnątrz,
a w dyskursie
wewnętrzny
autorytarny i bezlitosny
wobec inaczej
myślących.
„Polityka”*

**PROF. BARTŁOMIEJ
DOBROCHYŃSKI,**
psycholog, UJ

*Do poznania siebie
dochodzi się tylko
w jeden sposób –
przez działanie.
„Przekrój”*

KAROLINA GRUSZKA,
aktorka

*Dziś nie chcemy uczyć
się kochać, dawać.
Chcemy, żeby nam było
wygodnie.
„Twój Styl”*

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Dama z palcem

Środkowy palec, czyli w potocznej mowie *fuck*, który Joanna Lichocka pokazała w Sejmie, jest coming outem. Nieplanowanym i trochę przypadkowym, ale dobrze oddającym jej poglądy i stosunek do bliźnich. Przez lata próbowała udawać niezależną dziennikarkę. Przed widzami kreowała fałszywy obraz swojego obiektywizmu. Bez większych sukcesów. Jak niewiele miało to wspólnego z prawdziwymi poglądami Lichockiej, można było zobaczyć, gdy PiS sięgnęło po władzę. I gdy pokazała się w pełnej krasie. Nikt jej nie przebił w lizusostwie wobec prezesa Kaczyńskiego. Żenująca wiernopoddańczość dziennikarki wobec polityka bardzo się jej opłaciła. Dwukrotnie została posłanką i członkinią Rady Mediów Narodowych. Jakkolwiek więc by patrzeć, Lichocka elitą PiS. Nie wszystko jednak poszło, jak planowała. Chciała zostać europosłanką, ale wyborcy nie dopisali. Jako polityk zajmuje się mediami rządowymi. Lubi się wypowiadać na ich temat. Ale jest tak stronnicza, że jej pompatyczne wystąpienia w sprawie mediów rozbawiają nawet pravicę.

Afera z fuckiem to Lichocka w pigułce. Kilkanaście godzin kłamała, że fucka nie było. Scenki jak z Barei. Łapiemy kogoś za rękę, którą nam włożył do kieszeni, i słyszymy, że to nie jego ręka. Słuchamy opowieści Lichockiej, która została sfotografowana na gorącym uczynku. Na zdjęciu widzimy jej minę i jej palec. I widzimy Lichocką, która mówi: „To nie mój palec. Mój palec był przy fryzurze”. Może byłoby to śmieszne, gdyby nie usytuowanie Lichockiej w mediach rządowych, na które z naszych podatków pójdą 2 mld zł. Jest tam bardzo wpływowa i chętnie korzysta ze swojej pozycji. O jej sile świadczy choćby to, że była w tej trójce, która zwolniła prezesa TVP Jacka Kurskiego. Po paru godzinach uratował go osobiście Jarosław Kaczyński. I Rada Mediów Narodowych musiała połknąć własny język. Podobnie było z fuckiem. Lichocka przez zaciśnięte zęby przeprosiła. Nie poszła śladem Beaty Szydło, która rozdając sobie i swoim ministrom ogromne premie, krzyczała w Sejmie: „Nam się te premie po prostu należały”. A przecież Lichocka mogła, pokazując fucka, krzyczeć do opozycji: „Bo wam się on należy”.

Bezczelność takich polityków jak Lichocka nie ma granic. Jej zachowanie to potwierdzenie, że Kaczyński był bardzo przewidujący, deklarując: „Nikt nam nie wmówi, że białe jest białe, a czarne jest czarne”. Zgodnie z tym myśleniem to Lichocka jest ofiarą... tej strasznej opozycji.

A skoro piszę o prezesie Kaczyńskim, to zastanawiam się, co może myśleć o takiej damie jak Lichocka? Całowanie ręki damy z fuckiem to chyba nie jest coś szczególnie miłego?

BAKOWSKI

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Kupując
EKOKSIAŻKI
dbasz o naszą planetę
i oszczędzasz

JUŻ OD 14,90 zł



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Polska Ludowa: realiści, pozytywiści, rewolucjoniści...**
– rozmowa z dr. Pawłem Sękowskim
- 14 Kagańcowcy idą po władzę**
Sądowa rewolucja rękami młodych
- 20 Pozorne umowy księdza proboszcza**
Gospodini za Bóg zapłać
- 22 Adopcyjny węzeł gordyjski**
– rozmowa z Anną Krawczak

ZAGRANICA

- 26 Zmierzch niemieckiej chadecji**
Kryzys rządowy w Turynii
- 29 Obóz z widokiem na ojczyznę**
Korespondencja z Libanu
- 32 Bezpiecznie na nogach**
Jak zagranica dba o pieszych
- 52 Klimat na wybory**
Elektorat a ochrona środowiska
- 54 Urugwaj okupowany**
Ostatni anarchiści budują własne osiedla

HISTORIA

- 36 Dziewczyna, która spadła z nieba**
Dywiersantka Lucyna Hertz

KULTURA

- 38 Literatura bez hamulców**
– rozmowa z Jakubem Żulczykiem
- 42 Czkawka. Łódź Kaliska**
- 44 Kulturalia**
- 66 Widok. David Pataraia**

ZDROWIE

- 48 Gdy „skup się” nie pomaga**
ADHD u dorosłych

OBSERWACJE

- 58 E-galerianki**
Z centrów handlowych do internetu

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Dama z palcem
- 19 Jan Widacki**
Demokracja według PiS
- 35 Roman Kurkiewicz**
Gliński ceni, płaci i żenuje
- 41 Wojciech Kuczek**
Niepatriotyczne uniesienie
- 47 Tomasz Jastrun**
Ożywiona gestykulacja
- 51 Ludwik Stomma**
Strzeż się złodzieja



29
ZAGRANICA

OBÓZ Z WIDOKIEM NA OJCZYZNĘ
Korespondencja z Libanu



38
KULTURA

LITERATURA BEZ HAMULCÓW
– rozmowa z Jakubem Żulczykiem



48
ZDROWIE

GDY „SKUP SIĘ” NIE POMAGA
ADHD u dorosłych

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. ADOBE STOCK (2), KRYSZTOF DOBUSZYŃSKI/REPORTER,
JAN BIELECKI/EAST NEWS, ANNA ABAKO/EAST NEWS (2),
PIOTR MOŁĘCKI/EAST NEWS, TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER



Campo de Gibraltar

Na szlaku przemytników haszysz

Roman Kurkiewicz
rozmawia
z **Galopującym Majorem**
Co czyta i co mówi prawica

Łódź – to tu porzuca się
najwięcej dzieci

f Czy kary za nieodwołanie wizyty u lekarza to dobry pomysł?

Ci, którzy twierdzą, że starsi ludzie chodzą do lekarza bez powodu, powinni puknąć się w głowę. Starsze osoby chodzą do lekarza pierwszego kontaktu po recepty na leki przyjmowane na stałe (na serce, płuca, nerki i wszystko inne). Idą też do lekarza pierwszego kontaktu po skierowanie do specjalisty oraz po skierowanie na badania przed taką wizytą. Wreszcie idą do lekarza z byle katar, bo dla nich ten byle katar może być zabójczy! Ci ludzie nie lekceważą zarezerwowanych wizyt, bo czekają na nie po kilka miesięcy. Jeśli



nie przychodzą, to dlatego, że zapomnieli (telefon z przychodni to praktycznie bezkosztowa operacja), bo są chory lub w szpitalu (tu też telefon z przychodni załatwiłby sprawę). Problem z zapisywaniem się na wizyty w różnych miejscach to wina braku systemu. Powinno być tak, że jeśli ktoś zapisał się na konkretne skierowanie do jednej przychodni, nie ma możliwości użyć go gdzie indziej. Proste? Kara za nieodwołanie wizyty u lekarza znowu uderzy w najbiedniejszych i starszych. Emeryci przestaną się leczyć, bo nie będzie ich na to stać. Państwo zaoszczędzi na emeryturach, bo ludzie będą umierali w bólu. Tak po chrześcijańsku, w końcu cierpienie uszlachetnia.

Joanna Bajda

✉ Nikt mnie nie skusi i nie przestraszy

Dobry wywiad z sędzią Barbarą Piwnik (PRZEGŁĄD nr 4). Prosty, zrozumiały język. Konkretnie, pozbawione prób jątrzenia odpowiedzi. Sędzia Piwnik wypowiada się spokojnie – ani za rządem, ani przeciw. Istotne jest podkreślenie przez nią, że KRS nie powołuje sędziów, tylko ich opiniuje i przedstawia kandydatury prezydentowi (w obiegu medialnym funkcjonuje powoływanie). Brakuje takich sędziów jak ona.

zxy



Jedna z tych nielicznych sędziów, którzy wiedzą, co mówią. Pani Piwnik jest niezależna zarówno od władzy, jak i od sędziów, którzy wszystko zrobią dla własnego ego i kasy. Zamiast załagodzić obecny spór, dolewają oliwy do ognia. *Zefir*

Jestem pod ogromnym wrażeniem zdrowego rozsądku pani Piwnik. Wielki szacunek dla życiowego, prawnego podejścia do zawodu sędziego. Życzę dalszej motywacji do pracy, służby, a panom z kierownictwa Ministerstwa Sprawiedliwości polecam przeczytanie wywiadu ze zrozumieniem.

analitik

Źródło: fakty.interia.pl

Więcej listów na s. 60

ZDJĘCIA TYGODNIA



Panie prezesie, to nie było tak! Joanna Lichocka tłumaczy się z gestu wykonanego w kierunku postów opozycji po przegłosowaniu w Sejmie przekazania 1,95 mld zł mediom narodowym. Miał to być gest całkiem przypadkowy, podczas przecierania oka. Posłanka PiS jest dziennikarką prasową i telewizyjną, członkinią Rady Mediów Narodowych, autorką filmów dokumentalnych „Mgła” i „Prezydent”.



www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Co w polskich warunkach oznacza godna płaca?

DR HAB. RYSZARD SZARFENBERG,
Instytut Polityki Społecznej UW

Rozważmy rodzinę typu 2+3, która aby się utrzymać na poziomie minimum socjalnego, w III kw. ub.r. powinna mieć do dyspozycji co najmniej 4812,29 zł miesięcznie. Jeżeli tylko jedno z rodziców będzie zarabiać płacę minimalną, to razem ze świadczeniem wychowawczym i zasiłkami rodzinnymi cała rodzina z dochodem 3611,78 zł znajdzie się w sferze niedostatku. Oznacza to, że nie zawsze płaca minimalna to płaca godna, pozwalająca razem ze świadczeniami na dzieci utrzymać rodzinę. Dlatego powinniśmy zdefiniować płacę godną jako taką, która razem ze świadczeniami na dzieci lub osoby zależne daje rodzinie dochód na poziomie co najmniej minimum socjalnego.

AGNIESZKA MRÓZ,
OZZ Inicjatywa Pracownicza w Amazon Poland

Wiele moich koleżanek i kolegów z branży logistycznej pracuje 50 godzin w tygodniu, aby związać koniec z końcem, dlatego godna pensja to taka, która pozwala nie brać nadgodzin. Drugie: jeśli zarabiasz godnie, nie musisz jechać do Holandii, żeby zbierać truskawki, czy

do Niemiec kopać szparagi, a wiele osób z mojej pracy właśnie tak spędza urlop. O ofercie godnych zarobków nie możemy mówić wówczas, gdy od przyjęcia pracy na miejscu bardziej opłaca nam się codziennie spędzać kilka godzin na dojazdach do innej miejscowości. Wreszcie godna płaca to taka, na której wysokość mamy wpływ, np. negocjowana z organizacjami pracowniczymi. W przypadku firm o zasięgu międzynarodowym powinna wynosić tyle samo dla pracowników wykonujących taką samą pracę. I ostatni wyróżnik: godna płaca eliminuje, a nie zwiększa nierówności. Gdybym chciała zarobić tyle, ile wynosi majątek mojego szefa, Jeffa Bezosa, musiałabym pracować 18 mln lat.

ŁUKASZ KOMUDA,
Fundacja Inicjatyw Społeczno-Ekonomicznych

Godna płaca to taka, która nie tylko zaspokaja potrzeby, ale też zapewnia poczucie godności i bezpieczeństwa ekonomicznego. Gdy dwa lata temu pytano Polaków o konkretną stawkę, wskazywali ok. 5 tys. zł na rękę. Trudno jednak o uniwersalną kwotę. Wielu z nas ma dzieci, inni wymagają kosztownych leków, by normalnie

funkcjonować. W dodatku koszty życia różnią się w zależności od miejsca zamieszkania. Można za to relatywnie łatwo zwiększyć poczucie godności polskich pracowników: sprawić, aby za taką samą pracę przysługiwała taka sama płaca (ta zasada jest zapisana w konstytucji), poprzez dążenie do jawności wynagrodzeń – nie tylko w ogłoszeniach o pracę.

Czytelnicy PRZEGLĄDU
MAJA LUBIEJEWSKA-CHILICKA

Minimalna płaca powinna wynosić 4 tys. zł, a godna odpowiednio więcej.

DAMIAN MAZUREK

To tyle, żeby wystarczyło na ratę kredytu, czynsz, media, opłaty stałe, dobrej jakości jedzenie, rozrywki, opłacenie żłobka/przedszkola i odłożenie oszczędności.

PIOTREK URBAŃSKI

Godna płaca oznacza możliwość wyjątków czy kupna lokum, utrzymania się i wydatków na pewnym, nawet skromnym poziomie, żyjąc w pojedynkę.

MATEUSZ ŻYŁA

Minimum 1000 euro na rękę. Ceny mamy już teraz europejskie.

Not. Michał Sobczyk

Polska Ludowa: realiści, pozytywiści, rewolucjoniści...

Polska Ludowa w każdym okresie swojej historii, poza stalinowskim, starała się wykorzystywać jak najlepiej istniejące szanse

Rozmawia Robert Walenciak

Prezydent Macron podczas wykładu na Uniwersytecie Jagiellońskim apelował do Polaków, żeby nie dali sobie pisać historii od nowa. Mówił to, myśląc o rewizjonizmie dotyczącym lat 80. XX w. A my możemy zapytać o lata 40. O opowieści dotyczące tamtego okresu – że np. jeden okupant zastąpił drugiego.

– Myślę, że ci Polacy, którzy pamiętają tamte czasy, pamiętają Polskę Ludową, gomułkowską, gierkowską czy nawet Polskę lat 80., wiedzą, że tak nie było. Natomiast muszą z przykrością stwierdzić, że ta narracja trafia do dużej części najmłodszego pokolenia. Tych, którzy są produktem obecnego systemu oświaty, tej opowieści, która z reguły jest przekazywana w dzisiejszej szkole. Mam zajęcia przede wszystkim ze studentami, ale uczę też w liceum, więc widzę, jak młodzieży wtłaczane są działające na podświadomość schematy opisujące Polskę Ludową. **Młodzi uważają, że w roku 1945 przyszli nowi okupanci?**

– Nie chcę generalizować, ale wielu tak uważa. Co ciekawe, również spośród tych, którzy światopoglądowo czy politycznie identyfikują się jako osoby lewicowe. Oni w aspekcie historycznym zostali opanowani przez tę narrację, ponieważ była im wtłaczana przez cały okres edukacji w III RP.

Co pan im wtedy mówi?

– Mówię, oczywiście jeśli to jest w jakimś odniesieniu do realizowanego materiału, że tak nie było. Poczynając od wyzwolenia spod okupacji niemieckiej, które zawsze nazywam wyzwoleniem. Mówię, że było to zakończenie najkrwawszej wojny w dziejach Polski. I że późniejsze rachuby części podziemia na



DR PAWEŁ SĘKOWSKI

– prezes Stowarzyszenia Kuźnica, adiunkt w Instytucie Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego, doktor historii UJ i Sorbonne Université, członek Komisji PAU do Badań Diaspory Polskiej, nauczyciel dwujęzycznej klasy z językiem francuskim w XX LO w Krakowie.

III wojnę światową były, po pierwsze, nierealne, a po drugie, byłaby ona katastrofą dla społeczeństwa.

Te rachuby nie miały oparcia w rzeczywistości.

– Mówi się, że ostatnim sygnałem tego, że alianci zachodni rzeczywiście brali jeszcze pod uwagę jakąkolwiek potencjalną interwencję, która byłaby w sprzeczności z interesami Związku Radzieckiego w tej części Europy, były jednostronne plany wojskowe opracowywane na polecenie brytyjskiego premiera Winstona Churchilla przed powołaniem Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. To była późna wiosna 1945 r. Ale to, że Churchill kazał takie plany opracować, nie oznacza, że brał poważnie pod uwagę taką ewentualność. Poza tym informacja

o przygotowywaniu tych planów spotkała się z jednoznacznym, zdecydowanym sprzeciwem Stanów Zjednoczonych. Było więc wiadomo, że ten temat, jako realny, nie istnieje.

A po utworzeniu TRJN sprawa sama się rozwiązała.

– Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej był efektem konferencji jałtańskiej z lutego 1945 r., a tym samym rezultatem wspólnej decyzji Wielkiej Trójki, a nie jakimś chytrym planem Stalina. To jest kluczowe. Podobnie jak przygotowanie wyborów. Ustalenia z Jałty przedstawia się w dominującej narracji jako zdradę jałtańską, tymczasem była to z punktu widzenia Stanisława Mikołajczyka i całego niezależnego ruchu ludowego „nadzieja jałtańska”, a nie zdrada. Na obietnicach z Jałty budowano

nadzieję, że powstanie rząd, do którego wejdą przedstawiciele demokratycznych sił z emigracji – choć oczywiście różnie to interpretowano – i że przygotowane zostaną również demokratyczne wybory.

Czy w roku 1945 wszystko było już przesądzone?

Toczy się wciąż dyskusja, jak tamten czas należy rozumieć. Czy w roku 1945 wszystko było już przesądzone i Polska została oddana Stalinowi, więc powrót Mikołajczyka i działalność PSL były bez sensu? A może Polska wcale nie musiała wylądować w orbicie stalinowskiej i historia mogła się potoczyć inaczej? Wiele kwestii, zwłaszcza międzynarodowych, złożyło się na to, że stało się tak, jak się stało.

– Jestem zwolennikiem tego drugiego stwierdzenia. Oczywiście nie-realne mogły być projekty, istniejące jeszcze latem 1946 r. w otoczeniu Mikołajczyka, żeby nawiązać kontakt z ambasadą radziecką i sondować, czy jest możliwość, aby Związek Radziecki oparł się w Polsce na mającym autentyczne poparcie społeczne ruchu ludowym. Ale przecież w tym czasie nawet polscy komuniści nie wiedzieli, jakie będą plany Stalina. Niepokoilo ich, że Stalin tak dużą sympatią darzył Józefa Cyrankiewicza, co zresztą dla niego samego było wielkim zaskoczeniem. Nie zgodzę się więc z tym, że wszystko było z góry ukartowane. Myślę, że tutaj pewną rolę odegrały emocje, względy personalne, nade wszystko zaś zmienna sytuacja międzynarodowa.

Za Ochaba miała miejsce wielka amnestia, która objęła ponad 35 tys. osób, w tym prawie 10 tys. więźniów politycznych.

Symbol zmieniających się okoliczności: gdy Mikołajczyk w 1944 r. był w Moskwie, odrzucił propozycje Stalina. Później, w roku 1946, już je przyjął, ale Stalin nie był tym zainteresowany – już miał więcej.

– Generalnie Mikołajczyk, można powiedzieć, przespał okazję, spóźnił się. Ale na jego usprawiedliwienie dodam, że aż do października 1944 r. nie wiedział o postanowieniach z Teheranu, z przełomu listopada i grudnia 1943 r. Że alianci zachodni godzą się na ogólnie nakreśloną linię Cur-

zona, bliską linii Bugu, jako wschodnią granicę Polski. Gdyby miał tego świadomość, być może wcześniej wykazałby się realizmem politycznym, jaki zaczął wykazywać później. Właśnie odkąd się dowiedział o ustaleniach z Teheranu.

A kiedy się dowiedział?

– Było to podczas konferencji moskiewskiej, w październiku 1944 r. Jest jeszcze jeden ważny element – Mikołajczyk, mimo że był wówczas premierem rządu na uchodźstwie, nie czuł się legitymizowany, żeby w imieniu całego

Widzę, jak młodzieży wtłaczane są działające na podświadomość schematy opisujące Polskę Ludową.

obozu politycznego działającego na emigracji, całego rządu londyńskiego, przystać na stanowisko Stalina. Dlatego w listopadzie tego samego roku podał się do dymisji, a wraz z nim inni ludowcy zasiadający dotąd w rządzie londyńskim, i właśnie wtedy cały ruch ludowy zmienił stanowisko w kwestii granicy wschodniej, w imię zachowania wpływu na kształt powojennej Polski.

Mikołajczyk nie miał siły Sikorskiego...

– Nie miał jej, natomiast rozumował logicznie. Skoro alianci zachodni zgadzają się na granicę na Bugu, w dodatku przez cały rok go o tym nie informują, mimo całego kontekstu międzynarodowego, mimo powstania warszawskiego, które – co przecież dla Anglosasów było oczywiste – politycznie zwrócone było przeciwko Stalinowi, to znaczy, że ich

– Może gdyby okazał się bardziej elastyczny w trakcie negocjacji na temat wspólnego bloku przed wyborami, które odbyły się w styczniu 1947 r.? Bo tutaj była ewidentnie przez pewien czas osobna linia PPS Cyrankiewicza i Osóbki-Morawskiego, odrębna od PPR. Oni dążyli do porozumienia z PSL i wspólnej listy. **Bo PPS byłaby wtedy w środku.**

– PPS mogłaby wówczas rozgrywać, równoważyć wpływy z lewej i prawej strony. Ale PPR trwała na stanowisku, żeby nie dopuścić do tego porozumienia na warunkach

innych niż całkowite podporządkowanie PSL. PPR już działała z pozycji siły. Mikołajczyk jednak nie ułatwiał sprawy, bo w imieniu PSL postawił zaporowy warunek 75% mandatów w ramach bloku dla swojego stronnictwa. Realne negocjacje w sprawie wspólnego startu w wyborach zostały zakończone już w lutym 1946 r.

Cyrankiewicz: ocalić, ile się da

To także zaważyło na rachubach PPS. I jej autentycznego lidera – Józefa Cyrankiewicza. To niedoceniana postać. Przecież zostałby delegatem rządu na kraj, gdyby parę dni wcześniej nie aresztowało go gestapo.

– Przez socjalistów i ludowców w strukturach Polskiego Państwa Podziemnego rekomendowany był na stanowisko zastępcy delegata rządu na kraj. Był wrośnięty w strukturę WRN, czyli konspiracyjnej PPS „niepodległościowej”. Już w okresie przedwojennym był znanym działaczem socjalistycznym, jako student Uniwersytetu Jagiellońskiego, członek PPS i Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej, występował przeciwko praktykom antysemickim pojawiającym się na uczelni. W 1938 r., wraz z m.in. Adamem Ciołkoszem, zakładał lewicową Spółdzielnię Wydawniczą Czytelnik. Podczas okupacji aresztowany, był więźniem Auschwitz. Autentycznym, z piękną kartą. Grepsy z KL Auschwitz, które opublikowała i opracowała moja pierwsza mistrzyni, promotorka mojej pracy magi-

sterskiej, Irena Paczyńska, jasno tego dowodzą. Cyrankiewicz wyzwolenia doczekał w innym obozie, w Mautausen.

Co on myślał w 1945 r.? Jakże był jego rachuby?

– Wydaje mi się, że wykazał się realizmem politycznym o jeden szczebel wyższym niż Stanisław Mikołajczyk. Po pierwsze, wiedział, że Polska geopolitycznie będzie zależna od Związku Radzieckiego. I że jest to już zaakceptowane przez zachodnich

– Potem podziały były inne. Bo do polityki weszła inna generacja. Nawet Cyrankiewicza już nie kojarzono powszechnie jako przedwojennego socjalisty. I dziś trudno niektórym zrozumieć, dlaczego w czerwcu 1956 r. mówił o odrąbywaniu rąk, albo że był przecież puławianinem, a nie natolińczykiem, a więc zwolennikiem liberalizacji... Swoją drogą on te słowa wypowiedział właśnie po to, żeby nie trzeba było tych rąk odrąbywać.

Mikołajczyk aż do października 1944 r. nie wiedział o postanowieniach z Teheranu, z przełomu listopada i grudnia 1943 r.!

aliantów. Po drugie, dopóki nie zostało to jednoznacznie zablokowane przez PPR, dążył do jak największej niezależności i rozwoju struktur PPS, zarazem usiłując demonstrować lojalne współdziałanie z PPR. Jeszcze w roku 1946 wierzył, że to się uda. Ba, jeszcze po wyborach do Sejmu Ustawodawczego w 1947 r. PPS, w której Cyrankiewicz mniej więcej w tym okresie uzyskał dominującą pozycję, głosiła hasło: „PPS była, jest i będzie Narodowi potrzebna”. Nie brał pod uwagę, że już za chwilę, pod koniec roku 1947, będzie miał do wyboru odejść, odsunąć się, co – przypuszczam, że sam doskonale zdawał sobie z tego sprawę – nie obyłoby się bez konsekwencji dla niego, albo wejść w proces połączenia z PPR, na warunkach narzuconych przez tę partię. Z jednostronną weryfikacją, w wyniku której w ciągu roku przed zjednoczeniem z PPS usunięto ponad 200 tys. członków. Swoją drogą ta skala weryfikacji pokazuje, że sprowadzanie PPS z lat 1944-1948 do satelity czy wręcz agentury PPR jest całkowicie nieuzasadnione. Myślę, że Cyrankiewicz w każdym momencie starał się ocalić tyle, ile się dało. Nawet później, już w PZPR. Tam przecież nadal była grupa wywodząca się z PPS.

Wpływowa w kilku obszarach.

W nauce, edukacji, sporcie, kulturze, sprawach zagranicznych...

– Jej personifikacją była niezmiennie osoba Cyrankiewicza, aż do 1970 r.

Mniej więcej od połowy lat 60. ta grupa słabnie. Ludzie się starzeją.

Jakie pole manewru miała Polska w latach 1945-1947? Wiemy, że ono cały czas się zawężało. Ale czy to było niezależne od polskich polityków, czy jakiś wpływ na to mieli?

– W aspekcie geopolitycznym jednak było to niezależne od polskich polityków. Ja w ogóle uważam, że zarówno początki Polski Ludowej, lata 1944-1947, jak i jej koniec, rok 1989, transformacja ustrojowa, w dużym zakresie były zależne od czynników międzynarodowych niż od aktorów sceny lokalnej. Choć niewątpliwie niektórzy polscy politycy potrafili odcisnąć swoje piętno.

Gomułka...

– Niekwestionowany lider PPR w latach 1944-1947 i jej przywódca do lata 1948 r. Jestem przekonany, że póki stał na czele partii, nie było możliwości, żeby ta wersja systemu,

Cyrankiewicz wykazał się znacznie większym realizmem politycznym niż Mikołajczyk.

która pojawiła się po jego aresztowaniu, polski stalinizm, została narzucona. Tak samo wywarł decydujący wpływ na kształt Polski popaździernikowej. Choć jest to postać, na którą nie patrzę bezkrytycznie. Zwłaszcza jego przyzwolecie na Marzec '68 i kampanię antysemicką lat 1967-1968 nie znajduje w moich oczach żadnego usprawiedliwienia.

To ogromny skok

Powiedzieliśmy o kalkulacjach polityków. A jakie były w roku 1945,

1946 rachuby ogółu Polaków? Iść do lasu czy odbudowywać uniwersytety, jak mówił Tadeusz Manteuffel?

– Mamy wiele takich postaci. Manteuffel, Aleksander Gieysztor czy choćby Stanisław Grabski, endek, który wrócił z Londynu do Polski i wszedł w skład Krajowej Rady Narodowej, został nawet jej wiceprezydentem. To były osoby, które charakteryzował realizm polityczny, świadomość, że innej Polski nie będzie. Że to, mimo wszystko, jest Polska. Nie strefa okupowana, nie kolejna radziecka republika. Wydaje mi się, że ich wszystkich cechowała próba pozytywistycznego podejścia. Że staraliśmy się tę Polskę, zniszczoną na nieprawdopodobną skalę w czasie II wojny światowej, odbudowywać. A rachuby na aktywność w ramach podziemia zbrojnego były równoznaczne z zaprzeczeniem wysiłkowi odbudowy kraju. Oczywiście jestem daleki od wrzucania do jednego worka wszystkich „żołnierzy wyklętych”, bo były osoby, które po prostu musiały iść do lasu, wiedziały, że inaczej trafią do więzienia. Poza tym ta konspiracja była bardzo zróżnicowana wewnętrznie.

Jak na to reagowali zwykli ludzie?

– Zdecydowana większość społeczeństwa lokowała się gdzieś pomiędzy rachubami na dalszy konflikt a takim jednoznacznym, ideowym czy też fanatycznym poparciem dla kształtującej się władzy ludowej. Po prostu próbowała odbudowywać swoje życie codzienne po okresie wojny.

A jak odbierali wielkie reformy? Reformę rolną, upowszechnienie edukacji, awans społeczny milio-

nów?

– Jeśli chodzi o reformę rolną, do niej zabrano się z kopyta, to była jedna z pierwszych decyzji nowej władzy, dekret PKWN z 6 września 1944 r. Jak się szacuje, w wyniku reformy rolnej do końca lat 40. zostało rozdzielonych 6 mln ha ziemi. Jej beneficjentami było ponad milion rodzin. 800 tys. nowych gospodarstw i 250 tys. powiększonych – takie są szacunki. Oczywiście wielka część



Reforma rolna była jedną z pierwszych decyzji nowej władzy. Nz. parcelacja ziemi hr. Potockiego. Akty nadania wręcza pełnomocnik PKWN S. Koturski. Grudzień 1944 r.

tych nowych powstała na ziemiach poniemieckich. W odniesieniu do pierwszego okresu Polski Ludowej trzeba również wspomnieć imponujący wręcz wysiłek społeczny, zorganizowany przez nową władzę, na rzecz odbudowy ze zniszczeń wojennych, i to nie tylko Warszawy. Pierwsze powojenne lata były także okresem największych w dziejach Polski przemieszczeń ludności, kilkumilionowej „wędrówki ludów” – przyjmowano Polaków z utraconych ziem przedwojennej Polski, repatriantów z głębi ZSRR, repatriantów z Europy Zachodniej, zwłaszcza z Francji, powracających robotników przymusowych z Niemiec i Austrii, zasiedlano przyłączone do Polski Ziemie Zachodnie i Północne. Trzeba ocenić, że tymi procesami władza zarządzała naprawdę sprawnie.

Gigantyczna zmiana.

– Jeśli chodzi o edukację, to upowszechnienie i oświaty, i dostępu do kultury, ogólnie mówiąc, jest niezaprzeczalnym dorobkiem Polski Ludowej. Paradoksalnie największy rozwój na tych polach miał miejsce w okresie stalinizmu, natomiast ilość

nie szła tu zawsze w parze z jakością – poziom tej upowszechnionej na masową skalę oświaty i kultury nie był z reguły wysoki, w dodatku sfery te poddane były silnej ideologizacji. Również w latach stalinizmu ostatecznie zlikwidowano analfabetyzm jako istotne zjawisko społeczne. Ot, taki paradoks historii.

Październik '56 bez wątpienia zasługuje na miano polskiego miesiąca. Powiedziałbym nawet, że być może jest najważniejszym z polskich miesięcy aż do transformacji 1989 r.!

A gdyby Polska miała inny ustrój, tego by nie było?

– Pewnie podobne procesy społeczne też by zachodziły. Ale czy w takiej skali w tak krótkim okresie? Szacuje się, że wykształcenie średnie i wyższe w roku 1945 miało ok. 100 tys. osób. Natomiast w latach stalinizmu, 1948-1956, mamy 900 tys. absolwentów szkół średnich i wyższych, z czego 200 tys. z wykształceniem wyższym. To ogromny skok. Jeśli chodzi o awans społeczny – w latach 1947-1955 migracje ze wsi

do miast dotyczyły prawie 2 mln ludzi. Wzrost zatrudnienia w przemyśle w okresie planu sześcioletniego – z ok. 2 mln do ok. 3 mln. Jest więc ogromna industrializacja i łączy się z tym awans społeczny osób pochodzenia robotniczego i chłopskiego do kadry zarządzającej, dyrektorów przedsiębiorstw, do administracji. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że wiele analogicznych procesów miało miejsce w krajach po drugiej stronie żelaznej kurtyny, niejednokrotnie toczyły się szybciej i mniejszym kosztem, ale to przecież nie zmienia faktu, że w Polsce, takiej jaka wówczas była, dokonano się bardzo wiele.

Październik '56: Gomułka się nie cofnął

Skąd się wziął Październik – dziś z naszej historii wymazywany?

– Dominująca obecnie narracja ma problem z Październikiem. W katalogu polskich miesięcy pisanych wielką literą z reguły jest poznański Czerwiec '56, a później od razu Marzec '68. Ja uważam, że Październik '56 bez wątpienia zasługuje na miano polskiego miesiąca. Powiedziałbym nawet, że być może jest najważniejszym z polskich miesięcy aż do transformacji 1989 r.! Dlatego że jest to ten moment, w którym Polska przestała być państwem totalitarnym.

Wyszła ze stalinizmu i z podległości wobec ZSRR.

– To wychodzenie zaczęło się wcześniej. Właściwie już w roku

1954, gdy ujawniane są rewelacje Józefa Światły, mamy odejście od tortur w czasie śledztw, poprawę warunków w więzieniach. Jest zatrzymanie Józefa Różańskiego, zaraz potem zostaje wypuszczony, po ponad trzech latach więzienia, Władysław Gomułka.

Działa komisja Ochaba...

– Tak. Edward Ochab jest niedoceniany jako I sekretarz w przemianach październikowych. Był krótko, siedem miesięcy, ale walenie się przyczynił do wysondowania nastrojów

► chińskich, jeśli chodzi o podglebie dla późniejszego Października. Ponadto właśnie za Ochaba ma miejsce wielka amnestia kwietniowa, jeśli chodzi o osoby przetrzymywane z okresu stalinowskiego. Ta amnestia objęła ponad 35 tys. osób, w tym prawie 10 tys. więźniów politycznych. Stalinowski totalitaryzm stosował terror, próbował tworzyć nowego człowieka. Październik '56 ostatecznie z tym zerwał.

Ale Polska Ludowa jest dziś przedstawiana poprzez obrazy Polski stalinowskiej!

– Niestety. To efekt narzucania klisz i haseł. Samo to, że ustrój Polski Ludowej aż do roku 1989 nazywa się totalitaryzmem, konsekwentnie, nie raz nawet ustawowo, powoduje, że utrwała się wizja opresyjnego państwa. To państwo oczywiście było niedemokratyczne, było autorytarną dyktaturą, ale nie było państwem totalitarnym, porównywanie PRL po Październiku '56 z III Rzeszą czy nawet ze stalinowskim Związkiem Radzieckim jest nieporozumieniem.

Po roku 1956 mieliśmy polską drogę do socjalizmu.

– To była Polska zaprojektowana przez Gomułkę. Rzecz jasna, w pewnym kontekście – bez śmierci Stalina, bez referatu Chruszczowa na XX Zjeździe KPZR w lutym 1956 r., bez końca rządów Bieruta w marcu 1956 r. – nie byłoby takiej destalinizacji, pewnie byłaby nieco później, wyglądałaby inaczej... Gomułka



Prof. Tadeusz Manteuffel (nz. pierwszy z prawej), historyk mediewista, z asystentami. 1953 r.

Manteuffel, Gieysztor, Grabski to osoby, które charakteryzował realizm polityczny, świadomość, że innej Polski nie będzie.

był uosobieniem wielkich nadziei. 24 października, podczas słynnego przemówienia, niedługo po wyborze na I sekretarza KC PZPR, wzbudził taki entuzjazm jak, nie przymierzając, 11,5 roku wcześniej Stanisław Mikołajczyk wracający do Polski i wchodzący do Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. Nadzieje z osobą Gomułki wiązał prymas Stefan Wyszyński. Wprawdzie nie nawoływał do głosowania w wyborach w styczniu 1957 r. bez skreśleń, ale apelował o udział w nich. Że to obowiązek sumienia katolika! Emigracja wstrzymała oddech i obserwowała sytuację. Dzisiaj, niestety, niedostatecznie zdajemy sobie sprawę, że

Budowana wbrew Moskwie.

– Chruszczow przyleciał do Warszawy 19 października 1956 r., w trakcie VIII Plenum KC PZPR, żeby odkręcać sprawę. To były wielogodzinne rozmowy w Belwederze. Pożądanego przez ZSRR skutku nie przyniosły. Gomułka i kształtujące się nowe kierownictwo PZPR nie cofnęli się.

Cofnął się Chruszczow.

– Zadecydowały o tym dwa czynniki. Po pierwsze, czynnik zewnętrzny, czyli postawa Chin. Bez Chińczyków, którzy tupnęli i dali do zrozumienia, że nie godzą się na interwencję, nie byłoby Października. Chruszczow nie przyjąłby na wiarę,

że Gomułka nie pójdzie za daleko w zmianie systemu. Po drugie, to był czas wielkiej wewnętrznej mobilizacji. Obejmowała ona nie tylko społeczeństwo, ale i tych, którzy należeli do partii, do systemu władzy. Są nazwiska działaczy komunistycznych, także ze struktur siłowych, którzy w październiku 1956 r. wykazali się ogromną odwagą cywilną. Mam na myśli zwłaszcza kilka osób, które wcześniej aktywnie współtworzyły Polskę Ludową, również w okresie stalinowskim; w większości były to osoby pochodzenia żydowskiego. Teraz wykazały się ogromną odwagą i – trzeba to nazwać po imieniu – polskim patriotyzmem. Mam na myśli choćby Jana Freya-Bieleckiego, który jako zastępca dowódcy Sił Lotniczych odmówił wykonania rozkazu podporządkowania wojsk lotniczych działaniom oddziałów radzieckich.

Miał też wydać rozkaz bombardowania kolumny rosyjskich czołgów, które kierowały się z Bornego Sulina na Warszawę.

– Z kolei kadm. Jan Wiśniewski miał zablokować polskimi okrętami Zatokę Gdańską. Potencjalnej interwencji sprzeciwiali się również

gen. Wacław Komar, dowódca KBW i WOP, oraz gen. Juliusz Hibner, podsekretarz stanu w MSW odpowiedzialny za wojska wewnętrzne. Szef organizacji warszawskiej PZPR Stefan Staszewski gotów był rozdawać broń robotnikom – grupom bojowym i strażom fabrycznym największych zakładów przemysłowych stolicy. Te postacie i ich rolę w gorących dniach Października '56 przypominał na łamach „Zdania” w 2017 r.

– Tak, i Gomułce udało się doprowadzić do podpisania w grudniu 1970 r. układu z RFN, w którym ta uznała istniejącą granicę zachodnią Polski. Miało to miejsce niespełna dwa tygodnie przed utratą stanowiska I sekretarza przez Władysława Gomułkę. Kolejny wymiar, również geopolityczny, jest taki, że Polska nie miałaby szans na istnienie do dzisiaj granice zachodnie i północne, gdyby nie to, że znaleźliśmy się

w czarno-białe schematy. Trochę już o tym powiedzieliśmy. Ale poza tym wszystkim budowa kultu „wyklętych” jest jaskrawym przejawem umacniania niezdrowych aspektów polskiej mentalności – kultu skazanego z góry na klęskę wysiłku, który, gdyby osiągnął swoje cele, przyniósłby Polsce i Polakom kolejną katastrofę biologiczną i gospodarczą w postaci III wojny światowej. Właściwie nie wiadomo nawet, czego symbolem, jakiej konkretnie wartości, mają być „żołnierze wyklęci”. Na koniec jest jeszcze jeden wymiar Polski Ludowej – jako projektu modernizacyjnego. Składają się na ten projekt reforma rolna, nacjonalizacja przemysłu, awans społeczny milionów, industrializacja, urbanizacja, walka z analfabetyzmem. Myślę, że Polacy o tym wiedzą.

Robert Walenciak

W wyniku reformy rolnej do końca lat 40. rozdzielono 6 mln ha ziemi. Jej beneficjentami było ponad milion rodzin.

(nr 1-2) prof. Andrzej Romanowski w tekście „Zapomniani bohaterowie Października”. Chruszczow musiał więc zdawać sobie sprawę, że opór będzie, także ze strony tych, których rękami chciałby realizować potencjalną pacyfikację.

W obliczu historii

Jak więc uczyć o Polsce Ludowej?

– Trzeba opowiadać w kilku aspektach. Po pierwsze, jako o państwie funkcjonującym w określonym kontekście geopolitycznym. Polska, za zgodą mocarstw zachodnich, znalazła się w strefie wpływów geopolitycznych Związku Radzieckiego.

Tylko, przynajmniej na początku, nie wiadomo było, co to oznacza.

– Owszem. Natomiast faktem jest, że Polska Ludowa w każdym okresie swojej historii, poza stalinowskim, starała się jak najlepiej wykorzystywać istniejące szanse. I jest to zasługą również takich, a nie innych osób w kierownictwie PZPR, na poszczególnych etapach dziejów Polski Ludowej, po roku 1956. Oczywiście z pewnymi zastrzeżeniami. Można je mieć co do krótkowzroczności pewnych decyzji ekonomicznych Edwarda Gierka. Można mieć zastrzeżenia do ewidentnego braku kwalifikacji ekonomicznych gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Ale oni wszyscy zdawali sobie sprawę, że stoją w obliczu historii i od ich decyzji zależy wiele. Że w określonych momentach rozgrywa się przyszłość Polski – mam na myśli rok 1956, lata 1980-1981 i rok 1989.

Równie wielką wagę przywiązywali do sprawy granic. To była obsesja Gomułki.

w 1945 r. w strefie wpływów Związku Radzieckiego. Stalin chciał mieć jak najdalej wysuniętą na zachód strefę swoich wpływów, a tak się składało, że w roku 1945 tą ostatnią pewną strefą była Polska. Niemcy były wtedy pod okupacją, istniały cztery strefy okupacyjne i nie wiadomo było jeszcze, jaka przyszłość je czeka. Być może, gdyby już wtedy doszło do powołania NRD – co stało się dopiero w październiku 1949 r. – polska granica zachodnia nie byłaby tak daleko wysunięta. Prawdopodobnie nie byłaby. Można powiedzieć: przecież Stalin, przezwyciężając opór Brytyjczyków, nie robił tego w naszym interesie! Owszem, robił to w interesie własnym. Ale jest po prostu faktem, że Polska odniosła z tego korzyść. I utrata Kresów Wschodnich na rzecz ZSRR nie umniejsza wymowy tego faktu – przecież granica wschodnia zostałaby zmieniona na korzyść Związku Radzieckiego, nawet gdyby Polska nie pozyskała nowych ziem na zachodzie. Po prostu ZSRR był w stanie go zmusić do rezygnacji z aneksji Wileńszczyzny, zachodniej Białorusi i zachodniej Ukrainy.

To także nasi historycy często pomijają.

– W nawiązaniu do kwestii nauczania o Polsce Ludowej i, szerzej, do kształtowania polskiej „polityki historycznej”, narracji o powojennej przeszłości, dodam jeszcze, że należy się przeciwstawić irracjonalnemu kultowi „żołnierzy wyklętych”. Ich sytuacja, okoliczności, w jakich trafiali do lasu w pierwszych powojennych latach, ich walka z nową władzą ludową to problem bardzo złożony, którego nie można wtłoczyć

PAŃSTWO, KTÓREGO NIE DA SIĘ WYMAZAĆ Z HISTORII

W PAKIECIE 70 ZŁ

Wpłaty prosimy dokonywać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7.
W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +5,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl



Kagańcowcy idą po władzę

Prawicowa rewolucja w Polsce ma przeorać państwo na kolejne dziesięciolecia. Dlatego dokonuje się rękami młodych

Jakub Dymek

Najbardziej medialne twarze rewolucji w wymiarze sprawiedliwości to dziś ekipa o średniej wieku typowej bardziej dla drużyny piłkarskiej niż dla ministerstwa. I tylko trochę w tym przesady. Jan Kanthak, poseł Solidarnej Polski, i Michał Woś, dziś minister w rządzie Mateusza Morawieckiego, a do niedawna jeden ze współpracowników Zbigniewa Ziobry, urodzili się w 1991 r. Sebastian Kaleta, sekretarz stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości i były przewodniczący tzw. komisji reprawatywacyjnej, jest od kolegów rok starszy, ma 30 lat. Wiceministrowie Marcin Warchoń i Michał Wójcik mają 40 i 48 lat. Nie można zapomnieć też o Patryku Jakim (rocznik 1985), który choć dziś jest już w Parlamencie Europejskim, przez kilka lat był frontowym żołnierzem ministra sprawiedliwości i jego prawą ręką we wszystkich medialnych potyczkach z opozycją. 50-latek Zbigniew Ziobro – od zawsze „młoda twarz” PiS – jest w tym gronie akurat najstarszy.

„Są burzą i słońcem przyszłości. Młode byczki wkraczają”, Tadeusz Cymański, inny poseł Solidarnej Polski, z uśmiechem komentuje ka-

riery, jakie niedawni absolwenci wydziałów prawa porobili w resorcie sprawiedliwości. Szczególnie głośno o najmłodszych współpracownikach Ziobry i jednym z najmłodszych posłów w ogóle, Kanthaku, Kalecie i Jacku Ozdobie (28 lat, wiceminister klimatu), zrobiło się na początku tego roku, gdy zostali twarzami „ustawy kagańcowej”. Wszyscy kontynuują zwyczaj zapoczątkowany niegdyś przez samego Ziobrę – krytykują swoich wykładowców i nauczycieli ze studiów prawniczych, twierdząc, że to oni, a nie ich profesorowie, właściwie rozumieją prawo. Całkiem niedawno, gdy Rada Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Gdańskiego odrzuciła kandydaturę Jana Kanthaka na asystenta na tym wydziale, ten krzyczał w TVN o „dyskryminacji ze względu na to, że pracuje w Ministerstwie Sprawiedliwości”. Pytani o prawdziwe autorytety prawnicze i polityczne wszyscy zgodnie wymieniają Lecha i Jarosława Kaczyńskich oraz Zbigniewa Ziobrę. Jako student Sebastian Kaleta zapraszał na spotkania z młodzieżą na Uniwersytecie Warszawskim Jarosława Kaczyńskiego, Viktora Orbána i Andrzeja Dudę. Mieszkał wtedy w jednym pokoju z Piotrem Müllerem (31 lat), dziś rzecznikiem rządu.

Wiek ziobrystów to jeden z kluczy do zrozumienia tektonicznej zmiany, którą konsekwentnie wprowadza, najpierw w wymiarze sprawiedliwości, a docelowo w polskim życiu politycznym w ogóle, Zbigniew Ziobro.

Ideowe serce partii

Solidarna Polska teoretycznie jest na słabej pozycji. Ma 19 posłów, kilka tysięcy członków, jej losy zależą w wielkim stopniu od dwóch ludzi – Jarosława Kaczyńskiego, który jest suwerenem Ziobry, i premiera Morawieckiego, największego politycznego przeciwnika w koalicyjnym rządzie Zjednoczonej Prawicy. W praktyce, pomimo stosunkowo niewielkiego stanu posiadania, Solidarna Polska jest w awangardzie prawicowej rewolucji i umacnia się na pozycji gracza zdolnego do przejęcia największego „księstwa” po ewentualnym rozpadzie obozu Jarosława Kaczyńskiego.

Ostatnia, zorganizowana wręcz z dnia na dzień, konwencja Solidarnej Polski wyprzedziła oficjalny start kampanii prezydenckiej Andrzeja Dudy. W szczytce kryzysu sądowego i tuż po tym, jak marszałek Sejmu ogłosiła datę wyborów – trudno nie pomyśleć, że chodziło o wyprzedzenie prezydenta i wyznaczenie ostrego kursu.

Konwencja Solidarnej Polski wyprzedziła oficjalny start kampanii prezydenckiej Andrzeja Dudy.

Ziobro i jego ludzie postanowili – jak to dziś modnie się mówi – „przejąć narrację” w wojnie o sądy. Gdy Jarosław Gowin próbuje wyciszać spór, a Jarosław Kaczyński coraz częściej milczy, Solidarna Polska organizuje głośny polityczny spektakl. Na lutowej konwencji ogłaszano „walkę z sędziokracją” i „sędziowskim bizancjum” oraz powstrzymanie „zamaru stanu na ustrój demokratyczny RP”. To ostatnie zdanie to najnowszy *spin* Ministerstwa Sprawiedliwości – sędziowie Sądu Najwyższego i ich zwolennicy, kwestionując legalność posunięć rządu, dokonują właściwie zamachu stanu i, jak dodaje od siebie Patryk Jaki, „chcą wprowadzić quasi-totalitaryzm”. Działacz Solidarnej Polski i kontrowersyjny prawicowy blogger, Dariusz Matecki, pisał, że na konwencji jego partii widzom zaprezentowano „piękną orkę po krytykach reformy wymiaru sprawiedliwości”.

I tak rzeczywiście było – całe wydarzenie poświęcono zohydzeniu sędziów jako grupy zawodowej oraz wymiaru sprawiedliwości jako takiego i wykazywaniu, że właśnie partia Zbigniewa Ziobry wzięła kwestię sądownictwa w swoje ręce. Wystąpienia na konwencji zaplanowano dla – z wyjątkiem europosłanki Beaty Kempy – ludzi tak czy inaczej związanych z Ministerstwem Sprawiedliwości. Przemawiali Jaki, Warchoła, Kaleta, Wójcik i oczywiście sam „Szerzyf”. Po przejściu Krystyny Pałłowicz i Stanisława Piotrowicza do Trybunału Konstytucyjnego to z ekipy Ziobry rekrutują się politycy najbardziej radykalni i bezkompromisowi, jeśli chodzi o sądownictwo – i tacy, co do których nie będzie wątpliwości, że z przekonaniem wdrożą każdy pomysł ministra, nie oglądając się nawet na koalicjantów.

„Pod groźbą wejścia bratnich wojsk nie zrezygnujemy z reformy”, zapowiadał na antenie Radia Plus Sebastian Kaleta. Z kolei w głośnej sprawie obniżenia wyroku dla sprawcy śmierci trzyletniego dziecka głos zabral Michał Woś: „Myślę, że jest to bulwersujące orzeczenie, które pokazuje, że polski wymiar sprawiedliwości zapadł na głęboką chorobę, (...) to jest rażąca niesprawiedliwość

i niewspółmierność kary. Pamiętajmy, że zostało zamordowane bezbronne trzyletnie dziecko”. Później okazało się, że sędzia, który wydał ten wyrok, awansował już za czasów Zbigniewa Ziobry i dostał powołanie na sędziego dyscyplinarnego od nowej, przejętej przez PiS, KRS. „Mieliliśmy przykłady sędziów, którzy kradli kietbasę, bili żonę, a dalej orzekali”, przypominał niedawno na antenie TVP 1 starą śpiewkę Jacek Ozdoba.

Konwencja Solidarnej Polski miała też pokazać – i to się udało – że w całym obozie Zjednoczonej Prawicy to ziobryści są prawdziwie oddani sprawie, a w ich rękach znajdują się i pochodnia ideowości, i najcięższe kije na opozycję. Tak zwany twardy elektorat – szczególnie na prowincji,

Szczególnie głośno o najmłodszych współpracownikach Ziobry zrobiło się na początku tego roku, gdy zostali twarzami „ustawy kagańcowej”.

wśród zwolenników prawicy w stylu Macierewicza i o. Rydzyka – ma dostać sygnał, że etos „prawdziwego PiS” dzierżą i przechowują na trudniejsze czasy właśnie Ziobro i jego ludzie. Członkowie ugrupowania ministra sprawiedliwości czule pielęgnują więzi z toruńskimi antenami – TV Trwam i Radiem Maryja – w których są regularnymi gośćmi, wygłaszając tam zazwyczaj poglądy bardziej radykalne niż w mediach głównego nurtu. „Solidarna Polska chce się bowiem jawić jako najbardziej dynamiczna i ideowa część obozu władzy. Ziobro przed laty pragnął rozbić PiS, dziś chce go ulepić na swoje podobieństwo”, podsumował ambicje tego środowiska Wojciech Szacki na łamach „Polityki”.

Akcje w górę

Już po październikowych wyborach czytelne były oznaki wzrastania w siłę ekipy Ziobry. Media donosiły, że oczekiwania wystrzeliły w górę dzięki zwiększeniu przez koalicjantów Kaczyńskiego stanu posiadania w Sejmie. Ziobro ze swoimi 17 (dzisiaj ma już 19) posłami i dwoma senatorami miał po wyborach zażądać pozycji wicepremiera dla siebie i dodatkowego resortu dla Solidarnej Polski. Ostatecznie „Szerzyf” dostał mniej niż połowę tego,

a i tak zyskał. Dziś „jego człowiekiem” w KPRM jest 29-letni Michał Woś – wprowadzić nie dostał własnego resortu, ale pozycja ministra członka Rady Ministrów daje mu pewnie więcej swobody niż planowane wcześniej dla niego Ministerstwo Środowiska. Woś nie próżnuje – dziennikarze, którzy śledzą komunikaty prasowe Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, doskonale wiedzą, że przez pewien czas konferencji i briefingów najmłodszego ministra było tyle, ile wystąpień samego premiera.

To właśnie przykład Wosia pokazuje, jak dynamiczną karierę można zrobić, trzymając się Ziobry. W jego przypadku droga od radnego w Raciborzu do członka rządu RP trwała zaledwie trzy lata – kluczowym jej

etapem było objęcie funkcji doradcy ministra sprawiedliwości, a potem szefa jego gabinetu politycznego. Woś radnym w Raciborzu został w 2014 r., a w 2017 pilotował ważne wizerunkowo projekty, np. rejestr przestępców seksualnych, już jako podsekretarz stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości. Przy okazji „załatwił” środki z Funduszu Sprawiedliwości Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Raciborzu czy ochotniczej straży pożarnej i ściągnął na festyn Ziobrę oraz Cezarego Pazurę, co z pewnością nie zaszkodziło jego wyborczym szansom w mieście, gdzie – jak śmieją się media – zamienia w złoto wszystko, czego się dotknie.

Podobne kariery przy Ziobrze porobili wcześniej Jaki, Kanthak czy ▶



► Kaleta. Minister Ziobro – niektórzy dodają, że przy pomocy swojego brata Witolda – konsekwentnie wynajduje młodych ludzi, którzy zwiążą z nim karierę i na lata umocnią Ziobrową wizję państwa i prawa w instytucjach.

To esencja tego projektu. Przecież nawet gdy PiS straci kiedyś władzę, ci wychowankowie Ministerstwa Sprawiedliwości będą wyklądać na uczelnianach, zajmować stanowiska w Krajowej Radzie Sądownictwa, pracować w Sejmie lub kolejnych rządach, uprawiać zawody prawnicze.

Dzieci prawicowej rewolucji

Dlatego szczególnie ciekawa jest kwestia pokoleniowa. Kaleta, Kanthak czy Woś wychowali się w realiach, w których władza wymieniają się dwa prawicowe ugrupowania, a największym złem dla milionów wyborców jest jeden z tych dwóch zwalczających się obozów. Jeśli ktoś dołączył do pisowskiej młodzieżówki około roku 2012, to prawdopodobnie jedyną rzeczywistością polityczną, jaką zna, jest konflikt schyłkowej, bezideowej PO i drapieżnego, populistycznego, idącego po władzę i szybko unowocześniającego się PiS. Co jeszcze kilka, a już na pewno kilkanaście lat temu było nie do pomyślenia, dziś jest jak najbardziej możliwe. Można związać się ze Zbigniewem Ziobrą i całą swoją zawodową karierę, wszystkie awanse oraz wartościowe znajomości i okazje do realizowania politycznych ambicji zawdzięczać temu jednemu politykowi i jego środowisku.

Tak właśnie wykuwa się kadry na wojnę czy rewolucję – i tak wychował je sobie minister sprawiedliwości. Podczas gdy niektórzy politycy Zjednoczonej Prawicy mogą bronić wojny z sądami z obowiązku lub cynizmu, pokolenie młodych działaczy rzeczywiście wierzy w, jak sami piszą, „całościową wizję reformy wymiaru sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry”, bo tą wizją i programem nasiąkali od wczesnych lat studenckich. Jak uczy historia, najgorliwsi adeptami rewolucji i bezkrytycznymi wyznawcami jej doktryny zawsze są dwudziestokilkulatki, bo nie pamiętają faktycznej sytuacji za *ancien régime'u*, który tak namiętnie obalają.

Na ten pomysł jednak nie wpadł wyłącznie Zbigniew Ziobro. Podobnie zachował się choćby Donald Trump,



Jan Kanthak – przebojowy i skuteczny, jak zachwalał go Patryk Jaki, oraz Michał Woś – człowiek Ziobry w KPRM.

który do realizacji swoich pomysłów potrzebuje ludzi nie liczących się ze zdaniem politycznego głównego nurtu i uważających się za wewnętrzną opozycję także wobec bardziej centrowych czy kompromisowych nurtów w Partii Republikańskiej. Zanimowanie się uważanymi za niekonstytucyjne i bezsensowne planami zakazywania wjazdu mułom, budowy muru na granicy z Meksykiem czy deportowania i rozdzielania rodzin imigrantów Trump powierzył swojemu doradcy Stephenowi Millerowi, który w momencie wygranej Trumpa był 31-letnim działaczem skrajnego odłamu prawicy, z zerowym doświadczeniem w administracji rządowej.

Młodzi faktycznie mają mniej sentymentów. Dlatego niektórzy nazywają współpracowników Ziobry „ekipą na polexit”.

Głębokie kieszenie Temidy

Ktoś mógłby zapytać, jak i dlaczego ekipa pozornie najmniejszego

z trzech koalicjantów, formalnie nie-startująca nawet w wyborach jako osobna partia, miałyby urosnąć kiedyś do najważniejszej siły na prawicy. Tu trzeba pójść śladem pieniędzy.

Po wyborach w 2015 r. przynajmniej 17 osób z otoczenia Zbigniewa Ziobry znalazło zatrudnienie w spółkach skarbu państwa – donosiły o tym „Puls Biznesu” i TVN 24. Były to tak różne firmy jak Polska Grupa Zbrojeniowa, PKP i powiązana z PGNiG SA Geovita, zarządzająca ośrodkami wypoczynkowymi. W tej ostatniej dostał miejsce młody Sebastian Kaleta – gdy dziennikarze pytali go, jak będzie łączył pracę w ministerstwie, rolę rzecznika i funkcję w radzie nadzorczej firmy zajmującej się hotelarstwem, odpowiedział, że „prawo dopuszcza takie rozwiązanie”. Najwięcej ludzi kojarzonych z Ziobrą trafiło jednak do sektora ubezpieczeń: na liście firm, do których weszli zio-bryści, były PZU, PZU Zdrowie, PZU Życie i Link4. W tej ostatniej pracuje żona Zbigniewa Ziobry, Patrycja Kotecka, a prawnik, który reprezentował Ziobrę w procesach, Bartłomiej Litwińczuk – wtedy 36-letni – trafił aż do czterech rad nadzorczych. Dziś jest m.in. członkiem zarządu w PZU Życie SA. Brat Zbigniewa Ziobry, Witold, został doradcą zarządu Banku Pekao SA. Do listopada 2019 r. prezesem Pekao był zaś Michał Krupiński, który przyjaźni się z Ziobrami. Na styku bankowości i Solidarnej Polski działy się ciekawe rzeczy – portal IN-NPoland po wystąpieniach posłów Krzysztofa Brejzy i Arkadiusza Myrchy pisał, że „osoby, które wpłacały hojne darowizny na Solidarną Polskę, po wyborach dostały stanowiska w instytucjach podległych rządowi” albo w prywatnych firmach, w których udziały miał np. państwowy PZU.

O ile jednak spółki skarbu państwa i ich obsadzanie to typowa historia, o tyle prawdziwa kreatywność i taktyczne myślenie zio-brystów ujawniły się na innym polu. W 2012 r. Ministerstwo Sprawiedliwości powołało do życia Fundusz Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej. Pomysł w gruncie rzeczy był dość prosty. Pieniądze pochodzące z nawiązki zasądzanej sprawcom przestępstw Ministerstwo Sprawiedliwości rozdzielało w otwartym konkursie między organizacje społeczne, a te dzięki przyznanym dotacjom obejmo-

wały opieką ofiary przestępstw i ich bliskich. O zmianach – nie tylko w nazwie, bo dziś to Fundusz Sprawiedliwości – zrobiło się głośno wkrótce po objęciu resortu przez ministra Ziobrę. Okazało się, że pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwości nie otrzyma np. Centrum Praw Kobiet (rok wcześniej dotacja wyniosła 1,7 mln zł), bo zdaniem ministerstwa pomoc wyłącznie kobietom jest... dyskryminacją. Za rządów PiS Fundusz Sprawiedliwości

wyszło na jaw, że pokaźne kwoty były wydawane na spektakularne działania społeczne, takie jak doposażanie szpitali w karetki czy remonty straży pożarnych – które są okazją do korzystnego przedstawiania w mediach ministra i jego zastępców, ale w żaden bezpośredni sposób nie realizują celu pomocy ofiarom przestępstw. Mogą jednak służyć czemu innemu – ceremonie „wręczania” tych pieniędzy, z udziałem kamer (w formule

cji byłiby zwycięzcy konkursów. Ale ministerstwo zmieniło zasady przyznawania tych pieniędzy na bardziej uznaniowe – teraz minister ma większą swobodę decydowania, kto je dostanie.

Rzecznik praw obywatelskich pytał w 2018 i 2019 r. ministra Ziobrę, dlaczego środki przeznaczone na pomoc ofiarom przestępstw trafiają choćby do Fundacji Lux Veritatis o. Rydzika czy do wspomnianej Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Raciborzu (patrz: kariera Michała Wosia). Wcześniejsza kontrola NIK stwierdziła, że pieniądze wydawane są niezgodnie z ustawą o finansach publicznych. Media informowały, że szczególne nateżenie takich działań „społecznych” finansowanych ze środków podlegającego Zbigniewowi Ziobrze funduszu widać było w kampanii wyborczej w regionach, gdzie Solidarna Polska jest mocna.

A partia Ziobry, co być może w tym kontekście istotne, nie otrzymywała subwencji budżetowej. Co jednak równie ważne, jeśli nie ważniejsze, roczna subwencja dla partii

Środki przeznaczone na pomoc ofiarom przestępstw trafiają do Fundacji Lux Veritatis Rydzika i do Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Raciborzu.

rósł – z każdym kolejnym rokiem kwoty, które można było przeznaczyć na pomoc pokrzywdzonym, były większe. A jednak, jak wynikało z rozliczeń Ministerstwa Sprawiedliwości, pieniędzy do ofiar trafiało mniej.

„Tajemnica” Funduszu Sprawiedliwości okazała się prozaiczna. Dzięki alarmom organizacji społecznych, publikacjom Sebastiana Klauzińskiego w portalu OKO.press i kontrolom NIK

wcześniej nieznaną w przypadku przekazywania rządowych dotacji), organizują działacze i kandydaci Solidarności Polski w swoich okręgach wyborczych. Politycy z bezpośredniego zaplecza Zbigniewa Ziobry chwalili się, jak „pomagają” szpitalom i strażakom. Gdyby pieniądze były rozdzielane na zasadach konkursu, jak powinno to się odbywać, nie byłoby czym się chwalić – odbiorcami dota-

„Po łyk zdrowia – do Mrągowa!”

Ze Stanisławem Bułajewskim - burmistrzem Mrągowa rozmawia Agnieszka Kacprzyk.

Czy jest Pan rodowitym Mrągowianinem?

Do Mrągowa przeprowadziłem się z mamą, wujkiem i siostrami z podpiśkiej wsi, w której muszę przyznać – łatwo nie było. Zamieszkałem w Mrągowie w 1987 roku – tam wówczas tętniło takie życie, że mnie – nastolatkiowi – Mrągowo jawiło się niczym Hollywood. Biło na głowę nawet Olsztyn. Potem wyjechałem na studia prawnicze do Białegostoku, po studiach rozpocząłem pracę na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. Pracując na UWM nieprzerwanie mieszkam w Mrągowie, w którym w 1998 r. kandydowałem do rady miasta. Wtedy po raz pierwszy wygrałem wybory, a co było dla wielu jeszcze większym zaskoczeniem – zdobyłem więcej głosów niż wieloletni działacz „Solidarności” – w ten sposób działałem w samorządzie ponad 20 lat. Te samorządowe doświadczenia teraz procentują.

A co dla Mrągowa jest kluczowe w dalszym rozwoju?

W perspektywie kilku czy kilkunastu lat widzę Mrągowo jako miasto uzdrowskie sięgające do swojej przedwojennej tradycji. Miasto, w którym przez cały rok są kuracjusze i ich rodziny. Sprzyja temu i klimat, i warunki przyrodnicze. Kiedyś

w Polsce było ponad 240 uzdrowisk, dziś jest nieco ponad 45, a popyta na tego typu usługi ciągle rośnie.

Jakiego rodzaju kroki trzeba podjąć, aby zmierzać w tym kierunku?

Przede wszystkim warto postawić na tzw. srebrną gospodarkę, czyli ofertę nie tylko dla seniorów, ale i osób, które chciałyby zadbać o swój rozwój fizyczny. Mrągowo ma świetną bazę hotelową, jesteśmy w pierwszej piątce w Polsce miast o najwyższej liczbie miejsc noclegowych w przeliczeniu na mieszkańca. Modernizujemy infrastrukturę drogową, lada moment wykonywane będą operaty w kierunku niezbędnym do uruchomienia w przyszłości uzdrowiska. Zabiegamy również o to, aby reaktywować kolej na trasie Olsztyn-Mrągowo-Ełk. Chcemy za symboliczną złotówkę przejąć dworzec PKP, który obecnie jest w słabym stanie, a następnie za pozyskane środki dokonamy jego rewitalizacji – tak by znowu tętniło tu życie. Ponadto rusza największa inwestycja ostatnich lat, która ma być zrealizowana na terenie Mrągowa - 22 stycznia 2020 r. ogłoszony został przetarg na budowę i przebudowę głównych kolektorów deszczowych. Warto też wspomnieć o drobnych, ale dla Mrągowa znaczących inwestycjach jak zadaszenie amfiteatru (w tej chwili jesteśmy w trakcie przygotowywania do wykonania jego projektu). Te działania są niezbędne, aby program artystyczny nie był uzależniony od prognozy pogody.

Czy całoroczna turystyka to jedyny obszar rozwoju?

Poza turystyką widzę dużą przestrzeń na zrównoważony przemysł współpracujący z naturą. I to się dzieje. W Mrągowie działa obecnie aż 1200 aktywnych firm. Bardzo prężnie rozwija się jeden z zakładów Mleku, gdzie trwa właśnie największa inwestycja mleczarska – budowa proskowni, budżet tej inwestycji szacuje się na ponad 500 milionów złotych. Równie dynamicznie rozwija się firma AdamS plasująca się w dziesiątce największych fabryk w branży okiennej. Dobra współpraca między samorządem a takimi inwestorami, przynosi wymierne korzyści mieszkańcom.

A jakie Pana zdaniem realne korzyści dla mieszkańców, przedsiębiorców i turystów może przynieść współpraca pomiędzy samorządami z Kraju Wielkich Jezior Mazurskich?

Należę do ludzi, którzy nie pozorują działań, dlatego wierzę tylko w takie aktywności, za którymi stoi konkret. Reaktywowałem Mrągowską Radę Biznesu, której celem jest m.in. pomoc przedsiębiorcom w pozyskiwaniu wsparcia finansowego. Więc, jeśli pyta Pani o to, jak chciałbym działać zarówno jako burmistrz, jak i członek stowarzyszenia, powiem krótko: skutecznie.

Mazury to Biznes

Mazury.
Biznes z Natury
www.mazurytobiznes.pl

Projekt realizuje Stowarzyszenie Wielkie Jeziora Mazurskie 2020 w partnerstwie z gminami Giżycko, Mikołajki, Miłki, Mrągowo, Orzysz, Pisz, Ruciane-Nida, Ryn, Węgorzewo, Miasto Giżycko, Miasto Mrągowo.



Rzeczpospolita
Polska



Zdrowe życie, czysty zysk

Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego





Jacek Ozdoba (drugi z lewej) i Sebastian Kaleta (pierwszy z prawej) to jedni z najmłodszych posłów i kolegów partyjnych Ziobry. Patryk Jaki jest w tym gronie wyjadaczem.

- z 19 posłami w Sejmie wyniosłaby nie więcej niż 10 mln zł. Wielkość Funduszu Sprawiedliwości to ok. 340 mln zł.

Marsz przez instytucje

Włoski filozof i marksista Antonio Gramsci sformułował prawie 100 lat temu idee, które zaistniały w szerokiej świadomości dzięki sloganowi o „marszu przez instytucje”. Gramsciemu chodziło – w największym skrócie – o to, że samo przejęcie władzy w państwie nie daje gwarancji powodzenia rewolucji. Należy również przejść instytucje formujące autorytety, intelektualistów i standardy społeczne. Nie ma dziś wątpliwości, że trwający od kilku lat marsz PiS po całość władzy jest tym właśnie – „prawicowym gramscizmem”, długim marszem przez instytucje, który skończyć się może tylko ich przejściem lub likwidacją.

Odkąd Zbigniew Ziobro został ministrem sprawiedliwości, powołano do życia, obsadzono jego współpracownikami lub „zrepolonizowano” wiele instytucji prawnych. Jest Pracownia Liderów Prawa, czyli „seminaria edukacyjne pod Honorowym Patronatem Ministra Sprawiedliwości Zbigniewa Ziobro”. Jest placówka badawcza – Instytut Wymiaru Sprawiedliwości, przejęty na początku kadencji przez Marcina Romanowskiego (jednego z bohaterów tekstu w PRZEGLĄDZIE o wpływach Opus

Dei). Do tego dochodzi opisany szeroko powyżej Fundusz Sprawiedliwości, nad którym na przemian czuwali różni bliscy współpracownicy Ziobry. Są także sędziowie delegowani do Ministerstwa Sprawiedliwości – czyli tacy, którzy nie orzekają, tylko pracują w ministerstwie. Rok temu stowarzyszenie sędziowskie Iustitia ujawniło, że było ich ponad 160. Zdaniem niektórych prawników delegacja może być formą nagrody, bo – jak pisała „Gazeta Prawna” – „sędzia w resorcie ma lepiej”, choćby dzięki otrzymywanemu dodatkowi do pensji. Jednym z takich delegatów był zamieszany w hejtowanie innych sędziów w internecie Jakub Iwaniec – przypominał dziennik.

Także relacje z mediami pokazują bardziej dalekosiężne ambicje Solidarnej Polski – niedawno portal

cernów uznawanych oficjalnie przez PiS za wrogie. Żona ministra Ziobry, była dziennikarka, Patrycja Kotecka, znalazła zatrudnienie jako szefowa w Link4, spółce córce PZU. Gdy portal Wirtualnemedi.pl zapytał Koteczkę – pracującą przecież jako szefowa marketingu, więc i z mediami – kto jest człowiekiem roku, wskazała prezesa TVP Jacka Kurskiego. A tak się też składa, że obecny szef TVP zakładał z Ziobrą Solidarną Polskę w 2012 r. i do dziś mają nie najgorsze relacje – ludzie Zbigniewa Ziobry mogą liczyć na dobry czas antenowy u państwowego nadawcy.

O ciepłych stosunkach z o. Rydzykiem była już mowa, ale oprócz tego przychylnie na „młodych byczków” z Ministerstwa Sprawiedliwości patrzy także media braci Karnowskich. W kampanii wyborczej na stronach wPolityce.pl można było przeczytać wzruszające laurki o Wosiu czy Kalecie – chodzą do kościoła, uprawiają sport, wychowani zostali na patriotów, lubią też gry komputerowe, ale nie mają na nie czasu, bo ciężko pracują dla Polski. Na pewno pracują ciężko – na swoją pozycję, i to na lata naprzód.

Ostatecznym efektem tego długiego marszu ma być to, że cokolwiek w najbliższych latach się stanie, kluczowe pozycje w instytucjach prawnych, wymiarze sprawiedliwości i zawodach prawniczych będą zajmowali ludzie „uznający całościową wizję reform pana ministra”. I jak mówił w rozmowie z tygodnikiem „Wprost” jeden z takich ludzi, „nigdy nie było nas tak dużo”. Jeśli Kaczyński straci władzę – ludzie Ziobry mają być gotowi; jeśli Polska znajdzie się na drodze bez odwrotu do unijnych sankcji – tak samo. Jeśli zaś prawica skreśli w stro-

Wielkość Funduszu Sprawiedliwości to ok. 340 mln zł.

Oko.press ujawnił, że Ministerstwo Sprawiedliwości miało „wiele interesów” z Wirtualną Polską. Na portalu ukazywały się anonimowe, podpisane nazwiskiem fikcyjnego dziennikarza, teksty przychylnie ministerstwu. Fundusz Sprawiedliwości – co wiemy ze sprawozdań i dzięki interpelacjom poselskim – ma olbrzymie, sięgające kilkunastu milionów na kampanię, budżety promocyjne, które wydaje w prywatnych mediach, również należących do międzynarodowych kon-

nę jakiejś konserwatywnej technokracji – „korporacyjno-kapitalistycznego frankizmu”, jak ktoś niedawno nazwał tę wizję – i na tę okazję gotowi będą gorliwie katolicy, uformowani przez studenckie korporacje i zaznajomieni z państwową biurokracją resortowi chłopcy.

Off the record prawnicowcy mówią tak: władza się zmienia, ale zmiany dokonane przez tę władzę będą nieodwracalne.

Jakub Dymek

Z Galicji



Jan Widacki

Demokracja według PiS

Politycy Prawa i Sprawiedliwości, jak można sądzić z ich wypowiedzi, nie bardzo wiedzą, co to jest demokracja. Analizując ich wystąpienia, od prezydenta i premiera poczynawszy, a na najgłupszym z posłów skończawszy, można się pokusić o zrekonstruowanie tego, jak pojmują demokrację.

Bardzo często wyrażają oni zdziwienie, a nawet oburzenie, że osoby protestujące przeciw dewastacji państwa prawa i w obronie sądów, nie uznają wyników ostatnich (a także, niestety, przedostatnich) wyborów i w konsekwencji nie uznają rządów większości, kontestując jej decyzje. Niektórzy w swojej demagogii tak się nawet zapędzają, że twierdzą, iż poddanie niezależnych dotąd sądów i niezawisłych sędziów pod kontrolę i władzę rządzącej większości jest... poszerzeniem demokracji. Dla nich demokracja to po prostu rządy większości. A jako takie, rządy niczym nieskrępowane. To więcej niż błędne rozumienie demokracji.

Gdyby demokracja ograniczała się do rządów wybranej w wolnych wyborach większości (a tylko tak demokrację zdaje się postrzegać PiS), gdyby nie było jeszcze innych niezbędnych ograniczeń dla tej większości i jej działań, byłoby groźnie! Czy tak pojmujący demokrację akceptowaliby uchwalenie przez partię – dziś PiS, za kilka lat inną, wybraną w wolnych, demokratycznych wyborach – ustawy, znów demokratycznie, większością głosów, że delegalizuje się opozycję, a jej posłów łaskawie internuje, bo równie demokratycznie, to jest większością głosów, można było uchwalić, że się ich rozstrzela za budynek Sejmu?

Nie? Dlaczego? Przecież wszystko byłoby „demokratycznie”. Czy wybrani przez większość wyborców w demokratycznych wyborach nie mogą większością głosów uchwalić czegoś takiego? No nie mogą. Dlaczego? Dlatego, że demokracja nie kończy się na większości głosów.

Najkrócej mówiąc, demokracja to rządy większości, ale z poszanowaniem praw mniejszości. Mało tego. Ta większość nie ma władzy nieograniczonej! Nie wolno jej ustawami, ani w żaden inny sposób, zmieniać czy obchodzić prawa zapisanego w konstytucji. Jeśli politycy mają większość konstytucyjną, mogą zmieniać konstytucję, ale też nie dowolnie. Nawiasem mówiąc, PiS większości konstytucyjnej nie ma, ma jedynie większość zwykłą. Większość konstytucyjna, czyli ta wymagana m.in. do zmiany konstytucji, to w Polsce dwie trzecie głosów w Sejmie w obecności co najmniej połowy ustawowej liczby posłów. Ale nawet gdy jakaś partia polityczna zdobędzie w wyborach

większość konstytucyjną i będzie miała w Sejmie dwie trzecie lub więcej mandatów, to i tak nie może zmienić konstytucji w sposób zupełnie dowolny. Musi się z tymi zmianami zmieścić w pewnych ramach wyznaczonych przez akty prawa międzynarodowego. Od Karty ONZ poczynawszy, na traktatach europejskich i zawartych w nich zobowiązaniach skończywszy.

To właśnie niezależna od władzy ustawodawczej i wykonawczej władza sądownicza (sądy i trybunały) ma obowiązek kontrolować, czy te dwie pierwsze nie łamią prawa. Gdyby sądy i trybunały były podporządkowane „demokratycznie wybranej większości”, cała ta kontrola straciłaby wszelki sens. Sędzia stałby się takim samym urzędnikiem jak prokurator, spokojnie więc ten ostatni mógłby od razu wydawać wyroki, sąd byłby zbędny!

Gdyby jakiś demokratycznie wybrany reżim (na marginesie, Hitler też doszedł do władzy na drodze demokratycznej), nie uznając żadnych ograniczeń, większością głosów uchwalił prawo jawnie i drastycznie łamiące prawa człowieka, ludobójcze, to wspólnota międzynarodowa miałaby prawo nawet interweniować zbrojnie.

Tego zupełnie, zdaje się, nie mogą pojąć nasze (?) europosłanki i wzorcowo wręcz głupiotki europoseł, doktor od więziennictwa i nawigacji (swoją drogą, co na ten doktorat o więziennictwie robiony pod kierunkiem puł-

kownika nawigatora gowinowa Rada Doskonałości Naukowej i sam wicepremier Gowin?). Na przykładzie tego europośła widać, że można mieć głowę jak Perykles, a nie rozumieć demokracji.

Wykrzykują oni w europarlamencie, że każde państwo Unii Europejskiej ma prawo samo reformować swój wymiar sprawiedliwości. Oczywiście, że każde państwo ma takie prawo, Unia nikomu nie narzuca kształtu reformy ani jej nie zabrania. Unia ma tylko obowiązek pilnować, aby te reformy mieściły się w granicach zakreślonych w prawie unijnym, by nie gwałciły zasad cywilizowanego państwa prawa. Tych zasad, które Polska, podpisując traktaty unijne, zaakceptowała, przyjmując, że będzie uznawać skodyfikowane w Unii Europejskiej wartości. A do takich należą m.in. trójpodział władz, niezależność władzy sądowniczej i niezawisłość sędziów. To, co nasz rząd nazywa reformą, te zasady gwałci, dlatego Unia ma nie tylko prawo, ale i obowiązek tym się zajmować. Każde tworzone prawo musi się zmieścić w ramach zakreślonych przez konstytucję i przez akty prawa międzynarodowego. Tego PiS nie rozumie albo udaje, że nie rozumie.

Demokracja nie kończy się na większości głosów.

Marek Książek

Pozorne umowy księdza proboszcza

Proboszcz najważniejszej parafii w Olsztynie ukarany grzywną za naruszenie Kodeksu pracy przy zatrudnieniu opiekunki domu pielgrzyma

Jak to się stało, że ks. dr Andrzej L., od 23 lat proboszcz parafii św. Jakuba w Olsztynie, zawiadujący XIV-wieczną katedrą na Starym Mieście, zamiast wypłacić 20 tys. zł byłej podwładnej, godzi się na występowanie w roli obwinionego? I odpierając zarzuty w sądzie, zastanawia się głośno, czy była pracownica jest pokrzywdzoną, czy może „chce wyłudzić z parafii środki, które jej się nie należą”.

Emerytka, co pracy się nie bała

Mocno dziś schorowana 65-letnia Teresa N. od półtora roku toczy bój z proboszczem, co kosztuje ją chyba tyle zdrowia, ile wykryty jakiś czas temu nowotwór. Ale gdy w maju 2016 r. podejmowała pracę opiekunki przykatedralnego domu pielgrzyma, zwanego Centrum św. Jakuba, była pełną wigoru, świeżo upieczoną emerytką, udzielającą się we wspólnocie parafialnej. Kiedy wikary z katedry zapytał, czy nie chciałaby dorobić do emerytury, poczuła, jakby złapała Pana Boga za nogi. Co prawda, obaj jej synowie już są na swoim, ale młodo pomagać wnukom, a i samej dobrze mieć trochę więcej na coraz droższe życie.

Dom pielgrzyma został oddany do użytku kilka lat temu, po przebudowie dawnej stajni, dzięki dofinansowaniu z funduszy unijnych. Do nowego miejsca pracy pani Teresa miała załedwie 15 minut pieszo, a i robota wydawała się prosta: miała dbać o czystość dużej sali, toalet, kuchni i sześciu pokoi na piętrze. Chociaż wcześniej pracowała jako laborantka na uczelni, to i takiego zajęcia się nie bała. Dostała klucze, co świadczyło o zaufaniu, jakim darzyli ją księża z parafii. Czuła się nie tyle gospożą, ile gospodynią obiektu.

Początkowo proboszcz zatrudnił ją na czas określony, do końca 2016 r., i tylko na pół etatu, przyznając obowiązujące wynagrodzenie minimalne w wysokości 925 zł brutto. Jednocześnie zgłosił pracownicę do obowiązkowego ubezpieczenia społecznego w ZUS, co ją ucieszyło, bo mogła liczyć na zwiększoną emeryturę. Jak wspomina, ks. Andrzej L. powiedział wtedy: „Daję 1000 zł i będzie pani pracować po cztery godziny dziennie”. Podziękowała za tę hojność

i ostro wzięła się do roboty, a wobec gości była miła i pomocna. Przyjeżdżali tam nie tylko pielgrzymi z kraju i zagranicy, lecz także goście księdza proboszcza, honorowego prałata Jęgo Świątobliwości, emerytowanego wykładowcy teologii moralnej na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim. Jeśli któryś np. źle się poczuł, Teresa N. prowadziła go do lekarza, na dowód czego pokazuje SMS z podziękowaniem od niejakiej pani Lidii. Nawet będąc już w domu po pracy lub w sobotę, w każdej chwili na wezwanie proboszcza otwierała centrum. Odbывało się tam np. przyjęcie z okazji ingresu abp. Józefa Górzyńskiego, a także inne spotkania z cateringiem, po których musieli doprowadzić pomieszczenia do lśniącej czystości. Twierdzi, że faktycznie pracowała więcej niż na pół etatu, co potwierdza część świadków.

Umowa pozorna, praca rzeczywista

Chyba dobrze się spisywała, skoro niecałe dwa miesiące później ks. Andrzej L. zaproponował jej cały etat. I taką umowę, w obecności księgowej, oboje podpisali. Tyle że była to umowa pozorna, *pro forma*, ponieważ parafia ubiegała się o pozyskanie za pośrednictwem urzędu marszałkowskiego dotacji ze środków unijnych, a jednym z warunków było wykazanie, że ma dwa pełne etaty (czyli jeden etat musiał już być). Takie oświadczenie ustne, nieco ponad dwa lata później, ksiądz proboszcz złożył do protokołu pokontrolnego sporządzonego przez inspektora Państwowej Inspekcji Pracy. Potem w sądzie tę wersję zmienił.

Pani Teresa pamięta również, że umowa na cały etat była konsekwencją wizyty „pani od funduszy unijnych”. Faktem jest, że od 1 lipca 2016 r. dostała minimalne wynagro-

dzenie (1850 zł brutto, 1394 zł netto), ale tylko na papierze, bo na rękę zarabiała 1100 zł miesięcznie. Chociaż w tym czasie płaca minimalna co roku rosła, osiągając na początku 2018 r. wysokość 2100 zł brutto. Dlaczego pani Teresa na taką fałszywkę – bo tak to trzeba nazwać – się zgodziła? Odpowiada, że, po pierwsze, umowę podpisywała z poważnym księdzem. A po drugie – była zadowolona, że pracodawca będzie przekazywał do ZUS składki od pełnego etatu, więc zwiększy się jej emerytura.

W takim to układzie współpraca między opiekunką a proboszczem trwała prawie dwa lata, aż w czerwcu 2018 r. proboszcz oznajmił pani Teresie, że Unia nie daje już na nią pieniędzy i dlatego ponownie może jej przyznać tylko pół etatu. Tak tę rozmowę zapamiętała, chociaż proboszcz zaprzecza, że coś takiego mówił. Potem zachorowała, ale nie brała zwolnienia lekarskiego, ponieważ od stycznia 2018 r. nie miała umowy na piśmie – tu ksiądz zrzuca winę na księgową, która nie wystawiła umowy „przez przeoczenie”. W końcu doszło do większych zgrzytów i pani Teresa oddała klucze do domu pielgrzyma, co gospodarz parafii odebrał jako porzucenie pracy. 20 czerwca 2018 r. została wezwana na plebanie, gdzie proboszcz miał jej zaproponować dalszą pracę, ale na czarno. Początkowo przystała na to, lecz nazajutrz wysłała mu SMS, że nie godzi się na taki układ i prosi o wypłatę różnicy między kwotą wynikającą z formalnej umowy o pracę a tą, którą dostawała do ręki. Bez skutku. Dostała jedynie 550 zł za czerwiec, co proboszcz uznał za gest dobrej woli, bo w tym miesiącu niewiele pracowała (była w szpitalu). Drugie tyle otrzymała jako ekwiwalent za 11 dni urlopu. Rozżalona pani Teresa napisała skargę do metropolity warmińskiego abp. Józefa



Pani Teresa opiekowała się przykatedralnym Centrum św. Jakuba.

Górzyńskiego, lecz po wyjaśnieniach ks. Andrzeja sprawa wróciła do punktu wyjścia. W lipcu napisała kolejny SMS: „Ponieważ ksiądz nie chce rozwiązać sprawy polubownie, idę do sądu, funduszy unijnych i NIK”. Ktoś jednak jej doradził, że właściwszym organem jest Państwowa Inspekcja Pracy. I tam się zwróciła.

Prezes sądu w radzie parafialnej

Inspektor z Okręgowego Inspektoratu Pracy w Olsztynie w sierpniu 2018 r. stwierdził liczne nieprawidłowości, w tym dwukrotnie wystawione pozorne umowy na cały etat Teresy N., a także brak rozwiązywania stosunku pracy na piśmie. Proboszcz tłumaczył, że porozumiał się z opiekunką ustnie. Potem już pisemnie odpowiadał na jej zarzuty i pytania inspektora pracy – w tym po wizycie (interwencyjnej?) u przełożonego tegoż kontrolera oraz po konsultacji z Maciejem Nawackim, prezesem Sądu Rejonowego w Olsztynie, który ostatnio zastąpił podarciem uchwały olsztyńskich sędziów w obronie Pawła Juszczyszyna. Dlaczego właśnie z nim? Bo Nawacki od 10 lat jest aktywistą rady parafialnej przy parafii św. Jakuba. No i prezesem sądu, w którym miała się toczyć sprawa.

Pojawienie się w tym wszystkim Nawackiego spowodowało zresztą zamieszanie z wyznaczeniem sędziego do prowadzenia procesu. Najpierw, w lutym 2019 r., wylosowana sędzia Katarzyna Zabuska poprosiła o jej wyłączenie, bo zachodzi konieczność przesłuchania sędziego Nawackiego jako świadka, a przecież ma z nim relacje koleżeńskie i towarzyskie. Potem takie same oświadczenia złożyli pozo-

stali sędziowie wydziału karnego sądu rejonowego. O wyłączenie poprosił też sam prezes, wyjaśniając, że w radzie parafialnej omawiany był wniosek o ukaranie proboszcza. Powstał impas, lecz prezes znalazł wyjście – wyznaczona przez niego inna pani sędzia uznała, że Maciej Nawacki nie musi w procesie zeznawać, bo ks. Andrzej L. konsultował z nim tylko odpowiedź na pismo pokrzywdzonej, co odbyło się już *post factum*. Sędzia Zabuska (która wcześniej wycofała swój podpis pod kandydaturą Nawackiego do KRS) musiała więc sprawę prowadzić, co nie było łatwe ze względu na wielu świadków, którzy głównie

W ciągu dwóch lat proboszcz nie wypłacił prawie 20 tys. zł wynagrodzenia wynikającego z umowy.

zeznawali, ile faktycznie godzin opiekunka pracowała. Poza tym proboszcz co i raz wyjeżdżał, nawet do Kancelarii Prezydenta RP „na uroczystość wręczenia odznaczeń państwowych”, więc terminy kolejnych rozpraw sędzia musiała dostosowywać do dyspozycyjności obwinionego. W aktach jest na to dowód – pismo pełnomocnika księdza, który podał siedem konkretnych dat, w których mogą odbyć się rozprawy. Z pozoru prosta sprawa trafiła do sądu w styczniu ub.r.

Już w stanowisku parafii z 13 listopada 2018 r. proboszcz przeniósł ciężar odpowiedzialności na Teresę N., zarzucając jej zawyżanie powierzchni do sprzątania oraz kłamstwo w sprawie środków unijnych. Była opiekunka istotnie powiedziała inspektorowi PIP, jakoby proboszcz zwolnił ją z pracy, bo „Unia przestała na nią płacić”,

i dlatego proponował jej pracę na czarno. Ksiądz odparował, że Unia nigdy nie płaciła na żadnego pracownika zatrudnionego w parafii.

Oszczędnny gospodarz

Ale w tym samym stanowisku ks. Andrzej L. pisze: „Parafia jako beneficjent środków unijnych, a nie Centrum św. Jakuba, przez dwa lata musiała wykazać zatrudnienie dwóch pracowników, z czego się wywiązała”. Ta kwestia jeszcze raz pojawiła się w wyjaśnieniach proboszcza, składanych już w sądzie karnym, bo tam ostatecznie – po nieudanych próbach polubownego załatwienia sporu – z wniosku PIP trafiła sprawa. Proboszcz nie przyznał się do winy, ale potwierdził, że parafia wcześniej otrzymała dofinansowanie unijne na modernizację budynków gospodarczych. Rzecz w tym, jak sprawdziliśmy w urzędzie marszałkowskim, że w latach 2016-2018 przyznano parafii ponad 2,3 mln zł dofinansowania na wspomniany projekt, jednak pod warunkiem utworzenia i utrzymania przez dwa lata nowych miejsc pracy. Proboszcz zatem nie kłamał, bo formalnie nie była to dotacja na zatrudnienie, ale przy takim dofinansowaniu parafii opłacało się przyjąć dwie osoby na pełny etat. W tym panią Teresę, na której, do

czasu gdy rozliczył projekt, proboszcz zaoszczędził prawie 20 tys. zł wynagrodzenia (nie licząc ubezpieczeń i zaliczki podatkowej). Z punktu widzenia społecznego jest to sprawa kluczowa. Niestety, ani dzielny inspektor PIP, ani sąd nie zgłębili tego wątku, koncentrując się na pozornych umowach podpisanym przez proboszcza.

Wyrok został ogłoszony 13 lutego. Co prawda, sąd uniewinnił ks. Andrzeja L. od zarzutu wystawiania umów pozornych, uznając, że Teresa N. pracowała krócej niż osiem godzin, ale skazał go na 1500 zł grzywny za brak ewidencji czasu pracy opiekunki i niewystawienie jej umowy o pracę w 2018 r. Ten wyrok – jeszcze nieprawomocny – przyniósł pani Teresie jedynie satysfakcję moralną, bo o pieniądze musi walczyć w sądzie pracy. A udziela się teraz w innej parafii. ■

Adopcyjny węzeł gordyjski

Domy dziecka muszą odejść na śmietnik historii

Rozmawia Anna Brzeska

Kilka tygodni temu prezydentka Gdańska Aleksandra Dulkiewicz otworzyła nową placówkę pogotowia opiekuńczego. Skrytykowałaś to wydarzenie. Dlaczego?

– W 2020 r. nie ma miejsca dla domów dziecka, a tym bardziej dla nowo wybudowanego domu dziecka. Ich czas przeminął. Powinny odejść na śmietnik historii. My jednak nadal mamy takie wyobrażenie, że dzieci w pieczy zastępczej to sierotki, które potrzebują przede wszystkim ciepłego kąta, akceptacji i miski zupy. Ostatnio zadano mi pytanie – wiem, że w dobrej wierze – czy dzieci trafiające do pieczy zastępczej „są wdzięczne”. To dobrze pokazuje, jak mało opinia publiczna wie na temat dzieci z trudnych miejsc. To są dzieci poranione, zdradzone przez dorosłych i wściekłe. Mają o co i na kogo. Natomiast nie są to dzieci wdzięczne.

Kiedy – przynajmniej w założeniu – rozpoczął się w Polsce proces odchodzenia od instytucjonalnej opieki nad dziećmi i jak jest on realizowany?

– Zdecydowano o tym 20 lat temu, na mocy wytycznych Komisji Europejskiej. Jednak ku ciągłemu zdumieniu całego środowiska rodzinnej pieczy zastępczej okazuje się, że nasze państwo rozumie ten proces nie jako likwidację domów dziecka, lecz jako likwidację dużych domów dziecka i przekształcanie ich w placówki 14-osobowe. Żadna placówka nie jest optymalnym miejscem do wychowania dziecka. Gdyby tak było, wszystkie nasze dzieci – w tym biologiczne, chciane i kochane – oddawalibyśmy do szkół z internatem. **Byłam przekonana, że ubywa domów dziecka, a tylko niektóre są przekształcane.**

– Nie. Liczba miejsc w placówkach się nie zmniejsza. Zmienia się jedynie to, że małe placówki powstają zamiast dużych. Choćby w 2018 r. powstało 19 nowych domów dziec-



ANNA KRAWCZAK

– badaczka Interdyscyplinarnego Zespołu Badań nad Dzieciństwem UW, członkini Stowarzyszenia na rzecz Leczenia Niepłodności i Wspierania Adopcji Nasz Bocian; doktorantka w Instytucie Kultury Polskiej UW. Prowadzi rodzinę zastępczą.

ka. W placówkach mających siedzibę w dużych gmachach – przykładem jest warszawski Nasz Dom – przekształcenie wygląda tak, że powstają oddziały 14-osobowe w tym samym budynku, ale z osobnymi wejściami. W ten sposób obchodzi się ustawę o wspieraniu rodziny i systemie pieczy zastępczej.

Czy przez te 20 lat w ogóle zmniejszyła się liczba placówek?

– Tak, ale ten proces przebiega bardzo, bardzo powoli. Terminy są przesuwane. Ponieważ szybko stało się jasne, że państwo nie zdoła od razu zlikwidować opieki instytucjonalnej, wprowadzono okres przejściowy, w którym obowiązuje limit wieku dzieci umieszczanych w placówkach – nie mogą do nich trafiać dzieci poniżej siódmego roku życia. I rzeczywiście, najmłodsze dzieci zaczęto umieszczać w rodzinach zastępczych, ale w 2019 r. okazało się, że ponad 1,3 tys. dzieci poniżej tego wieku wciąż przebywało w domach dziecka. 1 stycznia 2020 r. zaczął obowiązywać nowy limit – dziesięć

rok życia. Jestem niezmiernie ciekawa, jak Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej sobie z tym poradzi, skoro wcześniej nie potrafiło przenieść z domów dziecka nawet tych najmłodszych dzieci.

Dlaczego się nie udało?

– Długo zastanawiałam się nad tym fenomenem i doszłam do jednego wniosku: nikt nie ma rzeczywistej, szczerzej woli, by to zrobić. Nie jest to bowiem przedsięwzięcie niemożliwe do zrealizowania. Trafiłam na fascynującą historię, która wydarzyła się w końcu XIX w. w australijskiej Nowej Południowej Walii. Jej władze zorientowały się w pewnym momencie, że wszystkie osierocone dzieci przebywają w domach dziecka, co było przede wszystkim bardzo kosztowne. Aby rozwiązać problem, powołano radę pomocy dzieciom. Na jej czele stał oczywiście członek parlamentu, ale jej członkiniami były same kobiety – nie polityczki, lecz po prostu panie z towarzystwa, przewodniczące lokalnych organizacji charytatywnych itp. Te kobiety zebrały się i powiedziały, że trzeba skończyć z domami dziecka w Nowej Południowej Walii. Na mocy przyznanych im przez radę uprawnień przychodziły do domów dziecka, zabierały stamtąd dzieci i umieszczały je w rodzinach zastępczych. Po prostu. W ciągu 10 lat udało im się zlikwidować domy dziecka. Z jednym zastrzeżeniem – nie zlikwidowano domów podległych instytucjom religijnym, bo tam wpływy rady nie sięgały.

To był XIX w. Co w Polsce, w XXI w., stoi na przeszkodzie zlikwidowaniu domów dziecka?

– Domy dziecka, mimo że to instytucje o wiele droższe dla budżetu niż rodziny zastępcze, mają swoje poważne zalety z punktu widzenia samorządów. Po pierwsze, bardzo łatwo nimi zarządzać. Rodziny zastępcze są zaś rozproszone, prywatne i nie ma nad nimi bezpośredniej kontroli. Oczywiście mają one koordynatorów i stale współpracują z sys-

temem, ale nikt z zewnątrz nie pełni w nich przecież całodobowych dyżurów. Po drugie, rodziny zastępcze nie generują miejsc pracy, bo nie pracuje w nich personel: wychowawcy, kucharki, księgowe, intendentzi itd. Nie ma ani jednej zawodowej rodziny zastępczej, która miałaby podpisaną umowę o pracę. To są wszystko umowy-zlecenia. Aktualnie w Polsce mamy 1125 domów dziecka. Każdy z nich zatrudnia minimum dziesięć osób na etacie. Wyobraźmy sobie społeczny skutek zwolnienia ponad 11 tys. ludzi.

Wyjaśnijmy może, jaki jest obecny status rodzin zastępczych w Polsce.

– W Polsce wyróżniamy trzy typy rodzin zastępczych: rodziny spokrewnione, czyli dziadkowie dziecka lub rodzeństwo; rodziny niezawodowe, zajmujące się maksymalnie trójką dzieci, nieotrzymujące za to pensji, a jedynie 1056 zł świadczenia na dziecko, wykonujące zadanie powierzone im przez powiatowe centrum pomocy rodzinie albo ośrodek pomocy społecznej; oraz rodziny zawodowe, pracujące bezpośrednio dla np. PCPR w ramach umowy-zlecenia. Otrzymują 2200 zł brutto wynagrodzenia.

Możliwe, że samorządom pod względem finansowym bardziej opłaca się utrzymywać domy dziecka niż rodziny zastępcze.

– Nie. Domy dziecka są dla nich opłacalne w rozumieniu zarządczym. Prowadzą kartoteki, wszystko jest tam uporządkowane, zawsze będą mieć wolne miejsce dla nadprogramowego dziecka. Oczywiście

Zacznijmy od tego, że dziecko, które zostaje umieszczone w domu dziecka, spędza tam np. cztery lata i po tym czasie jego sytuacja prawna się reguluje, dzięki czemu może być skierowane do adopcji, możemy określić jako „państwowe”. O jego losach decyduje bowiem zespół osób zatrudnionych przez instytucje państwowe: wychowawca z domu dziecka, wyznaczony opiekun prawny, ewentualnie kurator. Adopcja jest realizowana szybko, o ile znajdzie się rodzina. Jeśli to małe dziecko, raczej się znajdzie.

Nasze państwo nie likwiduje domów dziecka jako takich. Przekształca tylko te duże w placówki 14-osobowe.

Czyli wszystko dzieje się sprawnie. W czym tkwi problem?

– W tym, że we współpracy z rodzinami zastępczymi proces kierowania dziecka do adopcji wygląda zupełnie inaczej. To, że dziecko staje się podmiotem, a nie numerem w tabeli, jest korzystne z punktu widzenia dobra dziecka, ale nie systemu. W Polsce w rodzinach zastępczych dzieci spędzają średnio aż trzy lata i siedem miesięcy – badania na ten temat prowadziła ostatnio Alina Prusinowska-Marek. Taki czas nie mieści się w żadnych limitach, za granicą byłby absolutnie nie do zaakceptowania. Jeśli bowiem dziecko jest w rodzinie tak długo, tworzą się więzi. Z jednej strony, są one kluczowym elementem procesu zdrowienia emocjonalnego dziecka, ale z drugiej – rodzina wchodzi w rolę

Wydaje mi się, że to jest źródło konfliktu interesów między rodzinami zastępczymi a ośrodkami adopcyjnymi.

– Pierwszą, najważniejszą przyczyną jest bardzo wolne tempo procedowania przez sądy rodzinne. Druga to wspomniana ustawa z 2011 r., której przepisy w dużej mierze nie są egzekwowane i która nie doprecyzowała form pieczy zastępczej. To jednak bardzo zawiliły wątek, więc go pomijamy. Trzecią składową nazwałabym elementem ideologicznym. Chodzi tu o sposób

postrzegania przez państwo, czyli rząd, rodziny biologicznej w odniesieniu do rodziny adopcyjnej czy rodziny zastępczej. I o to, jakie wartości przypisuje każdej z tych form.

O ideologii porozmawiamy za chwilę, ale chciałabym jeszcze wiedzieć, dlaczego dzieci nie mogą po prostu być pozostawiane w pieczy zastępczej, skoro i tak są tam długo.

– Polskie prawo w ogóle nie przewiduje już takiej formy jak piecza długoterminowa. Została wykreślona z ustawy w 2011 r., mimo że ta forma pozwalała dać rodzinę i bezpieczny dom tym dzieciom, którym trudno byłoby znaleźć stabilną rodzinę adopcyjną, bo np. były zbyt duże lub miały wiele deficytów. Dodam, że długoterminowa piecza zastępcza funkcjonuje z powodzeniem za granicą, a w wielu krajach jest filarem, na którym opiera się cały system. W Polsce zaś dzieje się tak, że jeżeli uda się przez te cztery czy pięć lat w rodzinie zastępczej wyprowadzić dziecko z deficytów, usuje się je – jak to mówimy – wyadoptować, bo po adopcji będzie bezkosztowe dla systemu. Rodzinom, które przekształciły się z zastępczych w adopcyjne, nie trzeba już płacić świadczenia na dziecko. Co więcej, po adopcji system już nie musi tymi rodzinami się interesować. A pamiętajmy, że trafiają tam nie niemowlęta oddawane po porodzie, lecz dzieci z tzw. ścieżki interwencyjnej.

Czyli wcześniej zabrane przez służby w ramach interwencji w rodzinie biologicznej.

Liczba miejsc w placówkach się nie zmniejsza. Choćby w 2018 r. powstało 19 nowych domów dziecka.

można rozliczyć rodzinę ze świadczenia na dziecko, ale nie jesteśmy w stanie policzyć, ile plasterków żółtego sera dziennie dostaje wychowanek czy wychowanka. Powiem o jeszcze jednej ważnej rzeczy, którą wiemy z badań prowadzonych przez nasz zespół. Dotyczy ona ustawy z 2011 r. o wspieraniu rodziny i systemie pieczy zastępczej, która miała tę pieczę wzmocnić, ale w efekcie stawia rodziny zastępcze na przegranej pozycji w stosunku do domów dziecka, jeśli chodzi o ich postrzeganie przez samorządy.

rzecznika tego dziecka. Może np. sprzeciwić się adopcji, argumentując, że będzie dla dziecka niekorzystna, bo ono ma już swój dom, swoją rodzinę i więzi, od lat chodzi do lokalnej szkoły czy przedszkola. I to jest niewygodne dla systemu. Stosuje on więc różne metody nacisku na rodziny zastępcze – perswazję, a często i szantaż – by zmieniły zdanie. Same ośrodki adopcyjne widzą działania rodzin zastępczych jako blokowanie i utrudnianie adopcji. **Dlaczego dzieci w Polsce tak długo pozostają w pieczy zastępczej?**

► – Tak, przede wszystkim w sytuacjach, gdy zagrożone jest życie lub zdrowie dziecka. To dzieci z deficytami, zaburzeniami posttraumatycznymi, nierozwijające się prawidłowo w wyniku wieloletnich i znaczących zaniedbań ze strony rodziców. Zupełnie inne niż dzieci sprzed 60 lat, kiedy do systemu trafiały naturalne sieroty, których rodzice i krewni zginęli w trakcie wojny. Wcześniej było zresztą podobnie – rodziców dzieciom odbierały choroby i wysoka śmiertelność okołoporodowa. Takie dziecko było sierotą, ale na ogół nikt go nie krzywdził, nie zaniedbywał. Dzisiejsze rodzicielstwo zastępcze czy adopcyjne to kompletnie inne wyzwanie. Tymczasem rodzina adopcyjna od momentu orzeczenia adopcji ma takie same prawa i obowiązki jak rodzina biologiczna, bez preferencyjnego dostępu do specjalistów czy wsparcia w postaci konsultacji, szkoleń, warsztatów. Dodajmy, że bardzo duża część tych dzieci ma alkoholowy zespół płodowy, czyli FAS, lub zaburzenia więzi. To są wszystko problemy wymagające gruntownych i kosztownych terapii.

W jakim kierunku powinno iść państwo, jeśli chodzi o wsparcie środowiska pieczy zastępczych?

– Polska piecza powinna iść w kierunku profesjonalizacji, czyli zawierania umów z rodzinami zawodowymi. Jednak wiele powiatów nie chce tych umów podpisywać, bo woła utrzymywać rodziny niezawodowe,



Wróćmy więc do problemów wynikających z elementu ideologicznego, wskazanego przez ciebie jako jedna z przyczyn pozostawiania dzieci przez długi czas w pieczy zastępczej. O co tu chodzi?

– Zacznę od takiej historii: pewna dziewczynka została odebrana matce jako niemowlę z powodu bardzo ciężkich zaniedbań rodzicielskich. Sąd pozbawił matkę władzy rodzicielskiej po dwóch latach trwania sprawy. W tym czasie dziecko przebywało w rodzinie zastępczej, matka zaś nie podjęła żadnych działań na rzecz odzyskania go. Nie spotykała się z córką częściej niż raz na kwartał, a podczas spotkań nie była w stanie – lub nie chciała – nawet córki dotknąć. Po rozprawie sytuacja prawna dziecka była już jasna,

Co wtedy dzieje się z dzieckiem?

– Taki proces trwa w Polsce około roku lub dłużej. Jeśli matka podjęła działania, by odzyskać dziecko – np. znalazła pracę albo rozpoczęła terapię – jest pewne prawdopodobieństwo, że sąd prawa rodzicielskie jej przywróci. W takiej sytuacji bardzo niewiele par chcących adoptować dziecko decyduje się pozostać w styczności z nim, nie wiedząc, jak jego sprawa się skończy i czy w ogóle powinni budować z dzieckiem więź. Ich motywacja jest przecież czysto adopcyjna, nie zastępcza. Chcą być rodzicami tego dziecka na zawsze. Są też świadomi, że wyrządzą mu krzywdę, jeśli dziecko wróci do matki biologicznej.

Czy mówiąc o ideologii, miałas na myśli to, że takich spraw jest ostatnio więcej? Matkom częściej zaczyna zależeć?

– Niewątpliwie rodzina biologiczna przedstawiana jest przez obecny rząd jako pewnego rodzaju świętość. Uczciwie trzeba jednak powiedzieć, że nie ma żadnych dowodów na powiązanie z rządową narracją takich decyzji matek biologicznych, jakich przykład podałam.

Ale ważne wydaje się tu działanie sądu – nieodrzućcie wniosku matki.

– Właśnie. Z moich obserwacji wynika, że sądy w ostatnich latach zaczęły o wiele częściej podejmować decyzję o rozpatrzeniu wniosków o przywrócenie praw rodzicielskich, mimo że mogą je odrzucić. Odrzucenie wniosku jest postępowaniem w pełni uzasadnionym dobrem dziecka, ponieważ sąd widzi, że dziecku została już złożona obietnica, że będzie miało mamę i tatę, że zaczyna ono tworzyć z nimi więzi. Wie również, że rodzic biologiczny stracił prawa rodzicielskie, co znaczy, że nie wykonał planu pracy przewidzianego dla danej rodziny – np. nie podjął terapii przeciwważnościowej. W takich sytuacjach rozpatrywanie przez sąd wniosku o przywrócenie władzy rodzicielskiej jest bardzo zastanawiające.

Są jeszcze inne symptomy, które potwierdzają ideologiczne oddziaływanie na ten obszar?

– Choćby to, że obecny rząd wstrzymuje realizację konwencji antyprzemocowej. Rodzina biolo-

W Polsce w rodzinach zastępczych dzieci spędzają średnio aż trzy lata i siedem miesięcy.

którym nie muszą płacić pensji. Co jednak wydaje mi się ważniejsze – ustawa, która reguluje te wszystkie kwestie, nie powinna już być nowelizowana, tylko należy ją napisać od nowa. Podobnie zresztą jak Kodeks rodzinny i opiekuńczy, który powstał w 1964 r. Weźmy choćby zawarte w nim pojęcie władzy rodzicielskiej, które w dużym stopniu organizuje nasz sposób myślenia o relacji z dzieckiem. Jeśli mowa o władzy – to i o przedmiocie, który w tej władzy się znajduje. I jest nim dziecko. A w końcu dziecko nie może być traktowane przedmiotowo.

można zatem było skierować je do adopcji. Ośrodek znalazł kandydatów na rodziców adopcyjnych, ci spotkali się z dziewczynką. Potem doszło do tzw. powierzenia pieczy – to taka sytuacja, w której dziecko, mimo że formalnie nie jest jeszcze adoptowane, zaczyna mieszkać z rodzicami adopcyjnymi, poznaje ich jako mamę i tatę. I właśnie w tym okresie biologiczna matka dziewczynki złożyła wniosek o przywrócenie władzy rodzicielskiej. Sąd – i to jest tu istotne – przyjął wniosek i wstrzymał procedurę adopcyjną, by rozpatrzyć wniosek matki biologicznej.

giczna jest traktowana jako miejsce, gdzie nie ma prawa dzieć się nic złego, a gdy się dzieje, jest zamykane pod dywan. Jeśli jednak nie da się tego zrobić, bo dziecko np. trafiło do szpitala – wszystkie wysiłki skupiają się na tym, by do rodziny biologicznej wróciło. Poza tym jedną z dużych zmian, które miały zostać wprowadzone przez nowelizację w ubiegłym roku, było finansowe karanie gmin, jeśli dzieci w ciągu roku nie wrócą do rodzin biologicznych. Na szczęście ten pomysł przepadł, bo nowelizacja nie doszła do skutku, ale zdumiewające jest to, że taka koncepcja w ogóle powstała. Kolejny przykład: brak dbałości o dotrzymywanie terminów wyznaczonych w planach pracy rodziny, która stara się o odzyskanie dziecka. Dzieci bardzo długo pozostają więc w zawieszeniu. Marek Michałak przygotował projekt, wzorowany na prawie brytyjskim, zawierający zapis, by czas dany rodzinie biologicznej na pracę z nią skrócić do pół roku zamiast obecnych 18 miesięcy. Jeżeli przez ten okres rodzina nie wykonałaby żadnego kroku, by odzyskać dziecko – i chodzi tu nie o to, by przez pół roku rodzice przeszli całą terapię uzależnieniową, ale by ją chociaż zaczęli – ich szansa na odzyskanie dziecka przepadałaby.

Co się stało z projektem?

– Został bardzo skrytykowany. Według niektórych to „pogwałcenie władzy rodzicielskiej” i „bezzasadne zabieranie dzieci”, co jest z kolei „dramatyczną decyzją”. Tymczasem w prawie brytyjskim ten okres wynosi właśnie 26 tygodni, przy czym praca z rodziną biologiczną jest naprawdę intensywna. Rodzina otrzymuje wsparcie, możliwość uczestniczenia w kursach, przyznaje się jej asystenta. Jednak jeśli nie przyjmie pomocy

i nie wykona planu pracy, jest to odnotowywane w dokumentacji i nikt się nie waha przed umieszczeniem dziecka w pieczy długoterminowej lub w rodzinie adopcyjnej. W Polsce rodzic może prowadzić grę z systemem przez wiele lat i blokować adopcję dziecka, czasem aż do osiągnięcia przez nie pełnoletności.

Co z dziećmi, które rodzicom biologicznym udało się odzyskać?

– W Polsce nie gromadzi się żadnych danych o dzieciach, które wróciły do rodzin biologicznych. Nie wiemy więc, ile reintegracji się udało, czy dzieci nie doświadczały potem przemocy. Z doświadczeń innych krajów wynika, że około trzech czwartych dzieci wraca ze swoich rodzin biologicznych do systemu. To jednak nie wynika z kwestii ideologicznych i trzeba dodać, że nie

Niestety, to jednak wcale nie znaczy, że dzieci zostaną w rodzinach. Ze wsparciem socjalnym nie idzie bowiem wzrost kompetencji wychowawczych i emocjonalnych rodziców. Wiele dzieci z rodzin „z grupy ryzyka” trafi więc finalnie do systemu jako kilkulatki, najczęściej w wieku szkolnym, kiedy zaczną sprawiać trudności wychowawcze i szkoła odkryje dysfunkcyjność ich rodzin. To wyjaśnia rozbieżność między liczbą adopcji – która spada – a rosnącą liczbą dzieci, które trafiają do pieczy zastępczej. Co do zasady w krajach rozwiniętych liczba adopcji krajowych jest bardzo niska, a liczba dzieci trafiających do pieczy albo rośnie, albo utrzymuje się na wysokim poziomie. Idziemy dokładnie tą samą ścieżką, choć jeszcze nie mamy odwagi ogłaszać zmierzchu adopcji.

1 stycznia 2020 r. zaczął obowiązywać nowy limit wieku dzieci umieszczanych w placówkach – dziesięć lat życia.

bardzo da się te statystyki poprawić. Ten kiepski wynik wiąże się z tym, o czym mówiłam wcześniej – dzisiejsze dzieci trafiające do pieczy zastępczej to przede wszystkim dzieci z trudnych miejsc, w których dysfunkcje lub przemoc przeszły z etapu krótkotrwałego kryzysu na poziom przewlekłej patologii. Spada zaś liczba tych, które zostały oddane przez matki tuż po porodzie, a tym samym spada liczba adopcji niemowląt. Wiele osób wiąże ten efekt z programem 500+, ale prawda jest taka, że występuje on w każdym kraju rozwiniętym, gdzie istnieje wsparcie socjalne i podnosi się stopa życiowa. Matki już nie czują się tak zagrożone ekonomicznie, co jest przecież pozytywnym zjawiskiem.

Jaka jest prognoza na przyszłość?

– Jestem pesymistką. Cały ten galimatias to węzeł gordyjski. Potrzebna jest zmiana nie tylko ustawy, ale też sposobu naszego myślenia o dziecku. To wokół dziecka powinien być zbudowany system, a nie wokół jego rodziny. Jeśli rodzina chce wejść w proces zdrowienia, to wspaniale, ale jeśli nie chce – należy się zająć szansami dziecka, nie dorosłych. Dziecko jest najbardziej bezbronny ogniwem systemu, ale ma bardzo dużą szansę, by zatrzymać tę smutną sztafetę pokoleniową – jeśli tylko zostanie mu udzielona pomoc tu i teraz. I jeśli zagwarantujemy mu wychowanie w bezpiecznej i stabilnej rodzinie.

Anna Brzeska



Zamów pocztową prenumeratę PRZEGŁĄDU OSZCZĘDNOŚĆ CZASU I PIENIĘDZY!

Zamówienia można składać do 25 lutego 2020 r. Realizacja od kwietnia 2020 r. po dokonaniu przedpłaty:

74 zł – II kwartał

222 zł – II, III, IV kwartał

- we wszystkich placówkach pocztowych na terenie kraju lub u listonoszy;
- drogą elektroniczną pod adresem: prenumerata.poczta-polska.pl.

Od stycznia 2020 r. nie kontynuujemy prenumeraty redakcyjnej.
Prosimy o niedokonywanie wpłat na konto Fundacji Oratio Recta.



Wojciech Osiński

Korespondencja z Berlina

Po długim namyśle postanowiłam nie kandydować w 2021 r. na stanowisko kanclerza. Podejmując decyzję, kierowałam się zamiarem ustabilizowania sytuacji w CDU – oświadczyła Annegret Kramp-Karrenbauer (na zdjęciu), zwana AKK, 10 lutego na konferencji prasowej w berlińskiej centrali chadeków. Po czym dodała, że w nadchodzących miesiącach pokieruje procesem wyłonienia nowego kandydata na szefa rządu federalnego. Po znalezieniu odpowiedniej osoby AKK chciałaby również zrezygnować ze stanowiska szefowej CDU, ponieważ według niej przyszły kanclerz powinien także kierować partią.

– Rozdzielenie przed rokiem funkcji przewodniczącej i kanclerza RFN oraz przeciągająca się debata o przyszłym szefie rządu osłabiają CDU w okresie, gdy Niemcy potrzebują silnej partii rządzącej – zaznaczyła AKK w Konrad-Adenauer-Haus. Tym samym przyznała, że decyzja jej poprzedniczki i mentorki Angeli Merkel była błędem. Równocześnie szefowa CDU próbowała podtrzymać pozór, że w partyjnej hierarchii nadal ważna jest lojalność. – Na życzenie pani kanclerz pozostanę federalną minister obrony – oznajmiła. Zapowiadając powrót do połączenia obu wspomnianych funkcji, AKK powstrzymała falę dalszych spekulacji na temat kandydata z ramienia siostrzanej CSU. Niemiecka prasa bowiem odnotowała, że szef tej partii i premier Bawarii Markus Söder w ostatnich tygodniach promował swoją kandydaturę. Nagła decyzja AKK jest pokłosiem politycznego trzęsienia ziemi w Turyngii.

Kryzys rządowy w Turyngii

Dwa tygodnie temu lokalny parlament w Erfurcie nieoczekiwanie wybrał na premiera Turyngii Thomasa Kemmericha z FDP. Jego zwycięstwo umożliwiły głosy z CDU oraz Alternatywy dla Niemiec (AfD). Odtąd szef tamtejszej chadecji Mike Mohring nie może się odkleić wizerunkowo od populistów, co położyło się cieniem na całej CDU. Skandal w Turyngii zaszkodził także FDP. Wiceszef liberałów, którzy w lokalnych wyborach do erfurckiego landtagu w październiku 2019 r. ledwo przekroczyli próg wyborczy, na początku był w euforii. „To wielki sukces dla naszego kolegi Thomasa Kemmericha. Wygrał kandydat demokratycznego centrum”, cieszył się Wolfgang Kubicki na Facebooku.

Spore kontrowersje budzi fakt, że politycznym lewarkiem dla Kemmericha okazał się odłam AfD, który w Turyngii jest wyjątkowo skrajny i dlatego obserwowany przez Federalny Urząd Ochrony Konstytucji (BfV).



Zmierzch niemieckiej chadecji

Wskutek politycznego trzęsienia ziemi w Turyngii szefowa CDU po zaledwie 14 miesiącach rezygnuje ze stanowiska

Na celowniku niemieckiego kontrwywiadu znalazł się przede wszystkim frontman tzw. Skrzydła, Björn Höcke, który w przeszłości krytykował berliński pomnik Ofiar Holokaustu i świadomie używał słów budzących jak najgorsze skojarzenia, np. *Lebensraum* – przestrzeń życiowa, albo *Umvolkung* – zmiana składu etnicznego społeczeństwa. Dzięki współpracy CDU z AfD pokonany został dotychczasowy premier Bodo Ramelow z ramienia Die Linke, która wygrała jesienne wybory w Turyngii. W niemieckich mediach wybór mało znanego polityka FDP na szefa rządu Turyngii wywołał oburzenie. Co prawda, zwycięstwo Kemmericha było demokratyczne i prawomocne, ale sam fakt, że dał on się wybrać przy poparciu partii izolowanego dotąd Höckego, wstrząsnął niemiecką sceną polityczną. Zostało bowiem naruszone tabu centrowych ugrupowań, które zakazywało tworzenia jakichkolwiek większości z AfD.

Zarządzanie kryzysowe

Wydarzenia w Turyngii sprowokowały we wszystkich obozach myślenie o przyspieszonych wyborach – i lokalnych w Erfurcie, i ogólnokrajowych. Najszczerzej wyznała to współprzewodnicząca Zielonych Annalena Baerbock, która stwierdziła, że prestiżowa porażka chadeków w Turyngii może zainfekować rządy Wielkiej Koalicji. „CDU powinna się zastanowić, czy jest w stanie kierować stabilnym rządem federalnym. Niestabilna sytuacja w Turyngii nie może się przełożyć na całe Niemcy”, napisała na Twitterze. Die Grünen, którzy w obliczu kolejnego kryzysu rządowego zdecydowali się na taktykę spokojnego czekania, nie mówią jeszcze wprost o rozwiązaniu Bundestagu. Natomiast podkreślają nieuchronność rozpisania nowych wyborów w Turyngii. Także komisja koalicji CDU/CSU-SPD w Berlinie wypowiedziała się za przyspieszonymi wyborami w tym landzie.

Tyle że kolejny plebiscyt może znów doprowadzić do patowej sytuacji. Szefowa CDU nadal wyklucza współpracę z Lewicą i AfD. – Każde zbliżenie do lewicowych i prawicowych populistów osłabia chadecję – powtarza AKK. A jednak niektórzy komentatorzy twierdzą, że minister

obrony rzuca się do szarży, która nie przyniesie zwycięstwa. Jej przekonanie, że odcinaniem się od innych obozów poruszy swój elektorat i skonsoliduje środowiska niechętne chadekom, okazało się mylne. Już od miesięcy mnożą się głosy, że AKK nie radzi sobie z zarządzaniem kryzysowym w ugrupowaniu. Niektórzy partyjni koledzy od początku wytykali swojej nowej przewodniczącej błędy. Kiedy na dodatek latem 2019 r., po odejściu Ursuli von der Leyen do Brukseli, została federalnym ministrem obrony, zamiast komplementów spadły na nią gromy. Przejęcie tego resortu miało podreperować wizerunek szefowej CDU, ale odebrało jej resztki sympatii wyborców i zaszkodziło wiarygodności. Gdy jesienią 2019 r. zaproponowała utworzenie na północy Syrii strefy bezpieczeństwa pod parasolem ONZ, szef niemieckiego MSZ Heiko Maas (SPD) nie krył oburzenia, że AKK wołała o tym najpierw poinformować media.

Kolejnym ciosem były wspomniane wybory w Turyngii, gdzie CDU przegrała z Lewicą i AfD. Po tym upokorzeniu namaszczona w 2018 r. przez Merkel na przyszłą kandydatkę na kanclerza AKK nie zamierzała jednak się poddać i wierzyła, że zaprowadzi porządek. Ignorowała sondaże, w których wypadała znacznie gorzej niż inni pretendenci do fotela szefa CDU i rządu federalnego. Wybór Kemmericha pozbawił ją złudzeń.

Przyszły kurs CDU

Tymczasem politycy SPD, Zielonych i Lewicy obawiają się skreślenia CDU w prawo po zapowiedzianym odwołaniu umiarkowanych pań Merkel i AKK. – Socjaldemokraci będą rządzić z CDU tylko pod egidą Merkel. Nikt z nas nie jest zainteresowany współpracą z chadekami, którzy przechylają się w prawo. Szefostwo CDU musi oświadczyć, w jakim kierunku zamierza iść – mówi wiceprzewodnicząca SPD Anke Rehlinger. Z kolei Michael Roth (SPD), sekretarz stanu w resorcie spraw zagranicznych, nazywa sytuację w CDU niepokojącą, bo nie wiadomo, w jakim obozie partia ta szuka sojuszników. Wątpliwości dotyczące kursu chadeków pod nowym kierownictwem zgłosiła także współprzewodnicząca Die Linke. – Jeżeli następcą AKK zostanie **Friedrich Merz**,

to wkrótce CDU zawrze koalicję z AfD – uważa Katja Kipping. Natomiast zdaniem szefa frakcji Lewicy w Bundestagu Dietmara Bartscha odwrót AKK jest logiczny. – Rezygnacja szefowej CDU potwierdza, że Wielka Koalicja od początku była pomyłką, która wyraziła krajowi nieopisane szkody. AKK została zmuszona przez własną partię do odwrótu, podobnie jak była szefowa SPD Andrea Nahles – przekonuje Bartsch. – Pozostaje mieć nadzieję, że CDU w przyszłości nie pozwoli się wodzić za nos skrajnie populistycznej AfD – ostrzega w podobnym tonie przewodnicząca klubu poselskiego Zielonych Katrin Göring-Eckardt.

O ile przewidywanie sojuszu CDU z populistami na szczeblu federalnym wydaje się przedwczesne, o tyle prognozy dotyczące Merza jako następcy AKK są całkiem prawdopodobne.

Friedrich Merz tylko nieznacznie przegrał z AKK na kongresie CDU pod koniec 2018 r. 64-letni prawnik i ekspert finansowy z Nadrenii Północnej-Westfalii jest także znakomitym mówcą, który łączy talent polityczny ze zdecydowaniem. A w CDU nie brakuje głosów domagających się powrotu starego wyjadacza.

Potencjalni sukcesorzy

W lutym 2000 r. odwieczny wróg obecnej kanclerz został następcą Wolfganga Schäublego na fotelu szefa frakcji CDU/CSU w Bundestagu. Dwa lata później nowa szefowa CDU Angela Merkel odwołała go z tego stanowiska i sama je zajęła. Jego rezygnację z polityki miesięcznik „Cicero” nazwał „spektakularnym upokorzeniem jednego z najzdolniejszych polityków w RFN. Z kolei w powrocie Merza w 2018 r. wielu chadeków dostrzegało początek rewolucji przy jednoczesnym zaspokojeniu tęsknoty za czymś utraconym. Po długiej przerwie były lider kojarzy się dziś zarówno z odnową, jak i z tradycją CDU.

Tymczasem krytycy wytykają mu powiązania z dużymi pieniędzmi. Merz od lat zasiada w radach nadzorczych wielu wpływowych spółek. Na początku listopada 2018 r. niemieccy śledczy przeszukali biura spółki inwestycyjnej Blackrock w ramach sondowania nielegalnego schematu podatkowego, ale Merza, który jest dyrektorem rady nadzorczej niemieckiej placówki amerykańskiego potentata, uwolnili ▶

► od zarzutów. Dziennikarze „Spiegla” wytropili jeszcze więcej niejasności w biznesowych relacjach chadeckiego multimilionera, ale one raczej mu nie zaszkodzą. Trzon CDU jest znów spragniony silnego faceta, który ją przeprowadzi przez rafa kryzysu. Zresztą niedawno Merz zapowiedział, że odejdzie z zarządu Blackrock, aby poświęcić się partii.

Liczyć na fotel szefa CDU może także minister zdrowia **Jens Spahn**, przedstawiciel młodego konserwatywnego pokolenia w CDU. Jeszcze niedawno 39-letni polityk należał do najgorliwszych krytyków Angeli Merkel. Domaga się m.in. ograniczenia liczby imigrantów, zakazu noszenia burek i zniesienia podwójnego obywatelstwa. Gdy przejął tekę ministra, jego krytyka pod adresem silnych kobiet w CDU nieco ucichła. Spahn już jako 22-latek zasiadał w Bundestagu. „Jestem gotowy na większą odpowiedzialność”, oświadczył w wywiadzie dla „Bilda”, rozwiewając wątpliwości. Tyle że jego kandydatura nie wywołuje wśród części chadeków euforii, bo jako homoseksualista nie jest najlepszym dowodem na powrót CDU do konserwatywnych korzeni.

O ile dla niektórych Merz utracił już polityczną świeżość, Spahn zaś przez wielu jest nazywany protegowanym AKK, o tyle szczęśliwym trzecim kandydatem może się okazać **Armin Laschet**, premier Nadrenii Północnej-Westfalii. Pytany o ambicje zawodowe 58-letni wiceprzewodniczący CDU

pozostaje dyskretny, choć ma prawo zgłosić roszczenia do partyjnego przywództwa i ubiegania się o fotel kanclerski. Uchodzi raczej za kontynuatora umiarkowanej polityki Merkel, lecz potrafi też uwypuklić konserwatywne poglądy, popierając choćby zakaz noszenia burek.

Polityczna przydatność

Niemieckie media zgodnie zauważyły, że partia Angeli Merkel potrzebuje odnowy. „Dotychczasowy Kompas CDU nie wskazuje już właściwego kierunku działania. Podstawowe problemy pozostają nierozwiązane, a jej przywództwu grozi paraliż”, odnotował hamburski dziennik „Die Welt”.

„W berlińskim Konrad-Adenauer-Haus panuje chaos i ślepotą, blokując właściwe spojrzenie na realia we wschodnich krajach związkowych. AKK wyprowadziła na manowce wielką partię, którą była kiedyś CDU”, czytamy na portalu tygodnika „Die Zeit”.

Natomiast dziennik „Stuttgarter Zeitung” zastanawia się, dlaczego AKK nie chce ustąpić natychmiast, nie przedłużając już politycznej agonii. „Zapowiedziana przez szefową CDU rezygnacja tworzy próżnię władzy, która jest dla jej ugrupowania ryzykowna i szkodliwa. Okresu przejściowego nie da się przedłużyć do grudnia konwencji partyjnej. Czy nie wystarczy, że w Urzędzie Kanclerskim siedzi szefowa rządu, która wyraźnie zbliża się do daty końcowej swojej przydatności politycznej? Czy naprawdę potrzebujemy dodatkowo szefowej CDU, która w przyszłości nie odegra żadnej ważniejszej roli w polityce?”, pyta badeńska gazeta.

„Frankfurter Rundschau” zauważa, że korzenie zmierzchu CDU sięgają znacznie dalej niż nominacja AKK na szefową partii. „To przede wszystkim Angela Merkel przeoczyła moment, w którym urosła w siłę populistyczna AfD, a nawet częściowo jej to ułatwiła”, czytamy w dzienniku, którego publicysta nie potrafi zrozumieć, dlaczego niektórzy komentatorzy coraz głośniej domagają się powrotu Merkel na stanowisko szefowej CDU. „Kto wie, może wezwie się na pomoc obecną kanclerz, w nadziei, że ponownie uda się jej zamieść rozdzierającą partię konflikty pod dywan, pod którym tak pięknie i długo były one ukryte”, przypuszcza Tobias Möllers.

Ślepa uliczka

W obronie AKK i jej decyzji występują politycy lewicowej opozycji. „Zasługą Kramp-Karrenbauer było to, że stawiała czoło pokusom populistycznym, zachowując istotę chadecką”, ocenia współprzewodnicząca Die Linke Katja Kipping w rozmowie z agencją AFP. Liderka Lewicy podtrzymuje tezę, że AKK poniosła porażkę nie wskutek własnych błędów, ale raczej z powodu politycznych wygibasów Mike’a Mohringa, który jakoby celowo szukał zbliżenia z AfD. Tyle że wydarzenia w Turyngii nie wynikają z ambicji szefa regionalnej chadeckiej. AKK była naturalną kontynuatorką polityki stwarzania pozorów, że CDU może pozostać partią, która trwale zagospodaruje centrum. Ustępująca szefowa nadal unika wszelkich kontaktów z Lewicą i AfD w myśl zasady „wyważonej równowagi”. Tyle że przyjęcie tej formuły umieściło CDU na krze, która może tylko topnieć.

Odczuli to na własnej skórze chadecy w Erfurcie, którzy wykonywali rozkazy z berlińskiej centrali. Próbowali bowiem zrobić coś, co we wschodnim landzie wydaje się niemożliwe: odwojować ile się da na prawicy – co jest naturalne w przypadku ugrupowania o charakterze konserwatywnym – i zarazem odbić lubianemu w Turyngii premierowi Ramelowowi elektorat lewicowy. O ile to pierwsze częściowo się powiodło (na co wskazują niektóre aktualne sondaże), o tyle na drugim zadaniu cieniem położyła się wizerunkowa katastrofa tandemu z AfD. Fakt faktem, że znający wschodnie realia Mohring chciał współpracować z Die Linke i poprzeć Ramelową, ale AKK wysłała jasny zakaz, który jest podtrzymywany.

Przyśpieszone lokalne wybory raczej więc nie zlikwidują patowej sytuacji w Erfurcie, mogą za to ściągnąć na CDU więcej niechęci. Prawdopodobnie zyskaliby na tym socjaldemokraci i Zieloni, którzy zapewniliby Ramelowowi stabilną większość, ale to wrócenie z fusów, tym bardziej że Höcke cieszy się w Turyngii niesłabnącą popularnością. Dwie rzeczy wydają się pewne: kobieta już nie pokieruje w przyszłości CDU, a wybory w Hamburgu za chwilę. Czas do 2021 r. będzie zatem w Niemczech jedną długą kampanią wyborczą.

Wojciech Osiński

Rząd Prawa i Sprawiedliwości wyrzucił w błoto miliard złotych i chce wyrzucić jeszcze pięć miliardów. Szczegóły w najnowszym numerze tygodnika „NIE”.



Obóz z widokiem na ojczyznę

W chaosie panującym w Libanie na dalszy plan schodzą problemy syryjskich uchodźców



Jeden z obozów w Arsalu. Mieszkające tu dzieci nie znają innej rzeczywistości.

Marcin Ogdowski
Korespondencja z Libanu

Pod koniec ubiegłego roku Liban ponownie trafił na czołówki serwisów informacyjnych. Do Bejrutu – długo będącego areną krwawej wojny domowej – jak przed laty ściągnęły tłumy dziennikarzy. Szczęśliwie tym razem nie chodziło o wojnę. Ale i bez niej Liban się chwieje, antyrządowe protesty raz słabną, raz wybuchają z dużą mocą. W całym tym zamieszaniu na dalszy plan schodzą problemy milionowej rzeszy syryjskich uchodźców, przerażonych widmem eskalacji konfliktu. „Znów będziemy musieli uciekać?”, zastanawia się wielu z nich.

1.

Okolice Arsalu to teren objęty reżimem stanu wyjątkowego. Na rogatkach miasteczka rozstawiono wojskowe punkty kontrolne. Żołnierze nie wykazują przesadnej wścibskości, czasem nawet machają ręką na nasze paszporty. Ale są – z hełmami, zapasem amunicji i M16 gotowymi do strzału. Bliskość granicy z Syrią to szansa dla szmuglerów deficytowych

towarów, handlarzy ludźmi i narkotyków. Na libańskim pograniczu niejedna fortuna wyrosła na tym gruncie. Lecz dla zwykłych ludzi – gdy z powodu wojny znikła zwyczajna transgraniczna wymiana – sąsiedztwo Syrii to powód do niepokoju. Kilka lat temu bandyci z Państwa Islamskiego próbowali przejąć kontrolę nad Arsałem. – Wejście libańskiej armii w 2017 r. poprawiło sytuację – przyznaje Nanaf, „softys” jednego z syryjskich namiotowisk. – Trzy lata wcześniej całe nasze obozowisko spłonęło podpalone

W Arsalu i okolicy schronienie znalazło niemal 60 tys. uchodźców. Jest ich więcej niż miejscowych.

przez nieznaną sprawców, którzy chcieli wywołać chaos. Teraz to nie do pomyślenia.

Arsal udało się ocalić, lecz nadal zwolennicy Państwa Islamskiego spotykają się w jednym z meczetów na modły i dyskusje. Nawet jeśli coś knują, libańskie służby mają ich na oku. Tak przynajmniej twierdzą arsalczycy. A może to tylko wyraz naiwnej wiary Libańczyków? Gdy Tony, który naszej dziennikarskiej ekipie służył

za przewodnika i ochroniarza, dostał informację o kolejnej strzelaninie z udziałem wojska i bliżej nieokreślonych bandytów, kazał nam czym prędzej zwinąć się z restauracji, do której dopiero co weszliśmy. Obiad musiał poczekać.

2.

W Arsalu i okolicy schronienie znalazło niemal 60 tys. uchodźców. W samym miasteczku mieszka ok. 10 tys. Libańczyków, w podległym mu administracyjnie regionie – cztery razy tyle.

Uciekinierów z Syrii jest zatem więcej niż miejscowych. Ponad połowa Syryjczyków żyje w namiotach, nieliczni w wynajmowanych domach, mieszkaniach, pokojach i pomieszczeniach gospodarczych.

Syria jest tuż-tuż, za pierwszą linią widoczną z miasta wzgórz; tak blisko i zarazem tak daleko. – Wróciłbym choćby dziś – deklaruje Ibrahim, 37-latek, w Libanie od 2012 r. – Uciekłem z rodziną, gdy spłonął

► nasz dom, ale to nie jest problem. Dom można przecież wyremontować albo nawet postawić na nowo.

Pytam zatem, w czym rzecz, i słyszę – nie pierwszy raz zresztą – że chodzi o przymusowy pobór. Wykupienie się z armii Al-Asada kosztuje 9 tys. dol. – kwotę dla większości uchodźców astronomiczną.

Już wcześniej zastanawiałem się nad motywacjami ojców syryjskich rodzin, które uciekły do Libanu i innych krajów. Uważałem, że mając kilkoro dzieci, poświęciłbym się bez wahania – wrócić do Syrii, wstąpił do armii, skoro najbliższym stworzyłoby to możliwość bezpiecznego powrotu do domu. Aż pewnego razu Paweł – dziennikarz, który spędził na syryjskim froncie wiele miesięcy – uświadomił mi, czym jest tamtejsza rządowa armia. Maszynką do mielenia mięsa armatniego, która na skutek fatalnego wyszkolenia i dowodzenia wypłuka ludzkie ochłapy w zatrważającym tempie. Co więcej, to wojsko, które z bestialstwa uczyniło jedną z metod postępowania. – Nie chcę zabijać kobiet i dzieci – mówi wprost Ibrahim.

3.

– Kiedy słyszę Syrię, chce mi się płakać – 69-letnia Nadia z trudem wstrzymuje łzy. – Mój dom jest właśnie tam, nie tu, w tym namiocie, w Libanie.

Jeden z jej sąsiadów przyznaje, że czasami nielegalnie przekracza libańsko-syryjską granicę, by w pobliskich górach zobaczyć się z rodziną, która została w kraju. Te spotkania utwierdzają go w przekonaniu, że w Syrii

Z Al-Kusajr wychodziło 25 tys. cywilów. I wtedy wojsko zaczęło strzelać. W kilka minut zginęło 1,5 tys. ludzi.

żyje się jeszcze gorzej. Wojna weszła już co prawda w fazę schyłkową, ale konsolidacja władzy oraz czystki, które przeprowadza Al-Asad, wciąż powodują masowe cierpienia ludności cywilnej, a zwłaszcza sunnitów. Siepacze reżimu mają jasny rozkaz – zniechęcić ich do powrotu do kraju. Wystarczy więc błahy albo wręcz absurdalny powód, by pod zarzutem współpracy z pokonaną opozycją trafić za kraty. Na przykład blizny. Więzienia pełne są takich osób. Syn jednej z moich rozmówczyń został ranny w początkach wojny. Przypadkiem,



Nadia z wnuczką, której ojciec zginął, szukając czegoś do jedzenia. W głębi jedna z córek Nadii.

gdy opuścił schronienie, by poszukać paliwa do generatora. Odłamki granatu moździerzowego pokiereszowały mu wówczas plecy. Broni w dłoniach nie trzymał – ani wcześniej, ani później. Dziś los tego mężczyzny – podobnie jak innych rzekomych bojowników – ma być przestrożą. I jest.

– Gdybym miał kogoś, kto pracuje dla reżimu, kto zapewniłby rodzinie protekcję, wróciłbym – deklaruje Nana. – W innym przypadku to proszenie się o kłopoty, a nawet o śmierć.

4.

A mówimy o ludziach, którzy swoje już przeżyli. Abdel, 60-latek z Al-Kusajr, do Libanu trafił w czerwcu 2012 r. – Miasto zajęła Wolna Armia Syrii, oblegało je wojsko Al-Asada – wspomina ostatnie tygodnie przed ucieczką. – Rządowi strzelali do wszystkiego.

Wreszcie ktoś na górze się dogadał i wyznaczyli nam, cywilom, drogę, którą można było się ewakuować. Wyszedłem z żoną, trójką dzieci, wyszedł też dorosły syn z trzema córkami. W sumie 25 tys. osób. I wtedy wojsko zaczęło strzelać. W kilka minut zginęło 1,5 tys. ludzi.

Po tym zdarzeniu rodzina Abdela szła przez cztery dni. Część uciekinierów zmarła z braku wody. – Wśród ewakuowanych byli pacjenci ze szpitala – opowiada mężczyzna. – Na drogę dostali tylko koce, wielu wykrwało się na śmierć.

– Płakaliśmy, gdy do nas dotarli, tak źle wyglądali – mówi Fatima, Libanka z Arsalu, mając na myśli pierwsze grupy uchodźców.

– Libańska armia dała nam chleb na powitanie – wspomina Nadia. Dla starszej kobiety ten gest miał dramatyczną wymowę. Kilka dni wcześniej jeden z jej synów odłączył się od grupy, by na pobliskim rumowisku poszukać czegoś do jedzenia. Eksplozja pocisku, który przyleciał nie wiadomo skąd, zabiła go na miejscu. Dwie doby wcześniej urodziła mu się córka. Dziś to już siedmiolatka.

– Któregoś wieczoru przyszli do nas ludzie i ostrzegli, że musimy uciekać – relacjonuje Nadia. – Że wszyscy niechrześcijanie zostaną wkrótce zabici przez wojsko. Ruszyliśmy, unikając głównych dróg. Męczyłam się potwornie, bo po nieudanej operacji nóg od 20 lat chodzę o kulach.

– To wielki luksus zasypiać i budzić się bez ostrzału – do rozmowy włącza się córka Nadii. – Mieliliśmy sąsiadkę, która chowała się pod koc, przekonana, że da jej schronienie – nie kryje rozbawienia. A potem, w równie żartobliwym tonie, opowiada o popłochu, w jaki ona i sąsiedzi wpadali na dźwięk spadających bomb bezkulkowych. Szybko jednak poważnieje. – Armia Wolnej Syrii przekonywała nas, że wkrótce będzie dobrze. Tymczasem Al-Asad wciąż tam jest. Tyle ofiar i wszystko na nic.

5.

Ta ofiara – poza śmiercią i ranami – ma też inny wymiar. Uchodźcy stracili w Syrii domy, mieszkania,

ogrody, sady, żywy inwentarz i masę ruchomości. Większość żyje w prowizorycznych schronieniach już siódmy rok. Niczego solidniejszego postawić im nie wolno, bo obozowisko musi mieć charakter tymczasowy. Uchodźcy powinni wrócić do siebie – tego oczekuje libański rząd.

Latem nie jest to aż tak problematyczne, ale zimą – zwłaszcza w nocy, gdy temperatura spada poniżej zera – w namiotach robi się bardzo zimno. – Dręczą nas przeziębienia, grypy, zapalenie płuc – wylicza Nanaf.

Dlatego tak istotne jest odpowiednie docieplenie namiotów. Dwa lata temu w Arsalu pojawili się Polacy. Dysponujące dotacją rządu RP Polskie Centrum Pomocy Międzynarodowej (PCPM) wydało niemal 3,5 mln zł na zakup gąbek, plastikowych płacht oraz belek wzmacniających konstrukcję namiotów. W 2019 r. skala przedsięwzięcia była już mniejsza – na rzecz uchodźców przeznaczono wówczas 1,3 mln zł. Przy okazji przeprowadzono niezbędne szkolenia z zakresu ochrony przeciwpożarowej. Namioty bowiem wyposażone są w piecyki, latem służące do gotowania, zimą również do ogrzewania. Jeśli akurat jest czym grzać. Mazut – paliwo wykorzystywane w tym celu – drożeje z tygodnia na tydzień. To efekt fatalnej sytuacji ekonomicznej Libanu, której skutki dotyczą nie tylko rdzennych mieszkańców, ale i uchodźców.

– Obawiam się, że kryzys wywoła zamieszki – Nanaf wzdycha głośno. – Znów będziemy musieli uciekać? Dokąd?

6.

Konflikt narastał od dawna, ale w ostrą fazę wszedł jesienią zeszłego roku, gdy władze zapowiedziały podwyżkę podatków i wprowadzenie nowych danin. Oburzyło to przede wszystkim młodzież, plan rządu zakładał bowiem opodatkowanie połączeń przez komunikatory typu WhatsApp. Ceny zwyczajnych rozmów telefonicznych są w Libanie wygórowane, stąd wielka popularność tej technologii.

Oczywiście powodów do frustracji było więcej – kraj od kilku lat ma kłopoty z dostępem do wody pitnej i tonie w śmieciach. Niewydolna służba zdrowia, droga

edukacja, problemy z ustanowieniem i przestrzeganiem praw pracowników – oto codzienność większości Libańczyków. Fatalna polityka gospodarcza skutkuje drożyzną – ceny podstawowych produktów rosną o kilkanaście procent w skali miesiąca. A na to nakłada się nieefektywna polityka energetyczna. Większość energii elektrycznej pochodzi z generatorów zasilanych pochodnymi ropy (powietrze w Libanie jest jednym z najbardziej toksycznych na świecie). Co więcej, handel tym surowcem oraz największe huby generatorów należą do ludzi pośrednio bądź bezpośrednio związanych z rządem. I na tym gruncie rozrosła się koszmarowa korupcja. Libańczycy mają dostęp do „państwowego”, tańszego prądu tylko przez kilka godzin na dobę. Przez większość dnia muszą korzystać ze znacznie droższych usług prywatnych. Którzy, będąc jednocześnie władzą, ani myślą zmieniać ów stan



Nanaf, „sottys” jednego z syryjskich namiotowisk.

POMAGAMY UCHODŹCOM

Zbiórkę dla syryjskich uchodźców w Libanie prowadzi Fundacja Polskie Centrum Pomocy Międzynarodowej. Pieniądze można wpłacić online na stronie:

pcpm.org.pl/liban

lub przelać dowolną kwotę

na konto Fundacji PCPM:

mBank 18 1140 1010 0000 5228 6800 1003

Tytuł wpłaty:

Wsparcie dla uchodźców syryjskich

rzeczy. – Zmusi ich do tego ulica – twierdzą protestujący.

Upadają kolejne sektory gospodarki. Prężna jakiś czas temu budowlanka – w której zatrudnienie znalazło wielu syryjskich mężczyzn – to dziś głównie puste kamieniołomy, opuszczone budowy i nieruchome dźwigi. Podupadająca libańska klasa średnia coraz rzadziej korzysta z usług Syryjek, zatrudnianych jako pomoc domowa. Pracują jeszcze dzieci uchodźców – głównie w sklepach i na targowiskach – bo ich praca jest tańsza. Taki stan rzeczy przekłada się na uchodźcze menu. Dla Syryjczyków mięso to rarytas, jedzą głównie ryż i chleb, z niewielkim dodatkiem warzyw i owoców. I marzną w niedogranych namiotach.

7.

Z obozowiska na obrzeżach Arsalu łatwo dostrzec oddalone o kilkadziesiąt kilometrów góry Libanu. Ośnieżone pasmo przypomina o panującej zimie i ostro kontrastuje z widokiem stóp trzyletniej Maalak. Bosych, wsuniętych w szmaciane klapki.

– Nie jest ci zimno? – pytam. Dziewczynka kręci głową, zdziwiona moją troską. Na emigracji urodziło się ponad pół miliona Syryjczyków. Te dzieci nie znają innego świata niż obozy – czy to w Libanie, czy w Turcji, czy w Jordanii – i w jakiejś mierze nawykły już do życia w niedostatku.

Maalak z miejsca zdobywa moje serce. Ten uśmiech, ta odwaga, ta ciekawość ludzi. Przybiłem jej piątkę, zrobiłem zdjęcie. Śmiałem się, choć wcale do śmiechu mi nie było. Z dziećmiakami bowiem jest najgorzej – to im najbardziej chciałoby się pomóc, ale dziecka nie można przecież wywieźć z tego miejsca, w którym dorosli już dawno stracili nadzieję. To czyjaś córka albo syn; mała osoba kochająca i kochana. Pomagam więc, jak potrafię. Trochę jako wolontariusz, trochę jako darczyńca, ale przede wszystkim jako dziennikarz i pisarz. Opisuję rzeczywistość takich dzieci jak Maalak, otwieram niektórym oczy na rzeczywistość cywilnych ofiar wojny.

Wy też możecie pomóc.

Marcin Ogdowski jest wydawcą portalu Interia.pl, pisarzem, specjalistą ds. wojskowych. Przez kilkanaście lat pracował jako korespondent wojenny

Mateusz Mazzini

Zima w Tampere nawet w dobie katastrofy klimatycznej stanowi dla kierowców spore wyzwanie. Drugie największe miasto Finlandii, mające nieco ponad 220 tys. mieszkańców, przez większość doby pogrążone jest wówczas w mroku, słońce pojawia się na maksymalnie pięć-sześć godzin. A gdy wielometrowe zasy śniegu topnieją, z nieba często pada rześisty deszcz, który zamaraża i zwiększa niebezpieczeństwo na drogach. Tampere nie jest pod tym względem wyjątkiem, bo z podobnymi warunkami muszą się zmagać kierowcy nie tylko w Finlandii, ale też w Norwegii i Szwecji. Mimo to piesi w tych krajach mają pełne prawo czuć się bezpieczni, zarówno w okolicach przejść, jak i wzdłuż słabiej oświetlonych tras.

Według danych Fińskiego Urzędu Statystycznego w całym 2019 r. na tamtejszych drogach śmierć poniosło 205 osób. Liczba ta obejmuje wszystkich, którzy zginęli w wypadkach drogowych, a więc kierowców, pieszych, pasażerów, ale też rowerzystów i motocyklistów. I choć sama ta liczba jest niska, jeszcze więcej można się dowiedzieć ze szczegółowego podziału ofiar na grupy według sposobu przemieszczania się. Wynika z niego, że w ciągu 12 ostatnich miesięcy w Finlandii zginęło zaledwie 15 pieszych. Innymi słowy, stanowili oni nieco ponad 7% wszystkich ofiar na drogach. Dla porównania, średnia dla całej Unii Europejskiej wynosi 21%. W Polsce odsetek jest jeszcze wyższy – 29%. Najlepiej na Starym Kontynencie wypadają Norwegowie, którym udało się ten wynik zredukować do ok. 1%, niewiele gorsi są Szwedzi (4%). Na końcu tej tabeli plasują się Łotysze, gdzie piesi stanowią nieco ponad jedną trzecią wszystkich ofiar, i Rumuni z aż 37%.

Skąd tak ogromne dysproporcje w statystykach? Intuicyjnie odpowiedź dzieliłobyśmy, że wynikają z czynników infrastrukturalnych i kulturowych. W krajach Europy Zachodniej i Północnej drogi są przecież „lepsze”, a ludzie jeżdżą młodszy, sprawniejszymi samochodami. W dodatku nie szarżują za kółkiem jak ułani z dawnych demoludów, więc i wy-

Bezpiecznie na nogach

Choć Polakom trudno w to uwierzyć, są na świecie kraje, które inwestują w bezpieczeństwo pieszych



padków powodują mniej. I rzeczywistość – geograficzna prezentacja tych danych na pierwszy rzut oka potwierdza tę czysto populistyczną tezę. Najmniej pieszych ginie w krajach bogatych i rzadziej zaludnionych, gorzej wygląda sytuacja w państwach wciąż goniących Zachód. Przyczyn tego, że piesi w niektórych częściach Europy, ale także świata, giną rzadziej, jest jednak więcej i nie zawsze da się je wytłumaczyć najnowszą historią lub zwyczajami kierowców.

Samorząd w fińskim Tampere rozpoczął pilotażowy program wykorzystujący sztuczną inteligencję do zwiększenia bezpieczeństwa pieszych.

Tampere jest dobrym przykładem tego, jak bardzo złożone stają się dzisiaj sposoby dbania o bezpieczeństwo pieszych na drogach. W grudniu zeszłego roku tamtejszy samorząd rozpoczął testowanie pilotażowego programu wykorzystującego mechanizm sztucznej inteligencji i tzw. internet rzeczy do zminimalizowania ryzyka potrącenia pieszego przez samochód. W ramach partnerstwa publiczno-prywatnego z firmą

informatyczną Tieto ratusz uruchomił system zbierający dane na temat ruchu kołowego i pieszego w mieście. Wykorzystuje w tym celu miejskie kamery przemysłowe, które śledzą ruch pojazdów i osób w Tampere. Obraz przesyłają do chmury, w której sztuczna inteligencja nie tylko analizuje, gdzie i kiedy natężenie obu rodzajów ruchu jest najwyższe, ale również wyszukuje schematy. Analizując setki tysięcy przypadków przechodzenia przez jezdnię, w tym

ruchy przechodniów przed i po wykonaniu tej czynności, system już teraz jest w stanie z dokładnością 99% przewidzieć, kiedy w ciągu dnia idąca chodnikiem lub poboczem osoba zdecyduje się na przejście na drugą stronę. Nawet w warunkach nocnych program osiąga bardzo dobre wyniki, bo statystyka celnych przewidywań dochodzi wtedy do 75%, mimo gorszych warunków atmosferycznych i braku naturalnego światła.

Kiedy dane te są już opracowane w chmurze, mogą być przesyłane w dowolne miejsce. Na przykład do systemu sygnalizacji świetlnej czy wczesnego ostrzegania kierowców. Poinformują za pomocą sygnału dźwiękowego lub w innej formie, że pieszy najprawdopodobniej zaraz zamierza wejść na przejście lub na jezdnię. Rzecz jasna, mowa tu o krótkim, maksymalnie kilkusekundowym czasie reakcji, ale każdy, kto kiedykolwiek prowadził samochód, doskonale wie, że nawet taka chwila może zrobić ogromną różnicę i uratować komuś życie.

Testowane w Tampere rozwiązanie jest kosztowne i skomplikowane, trudno zatem się spodziewać, nawet przy najśmielszych założeniach dotyczących rewolucji technologicznej, żeby stało się modelem rozpowszechnionym na skalę masową. Oczywiście jest jednak, że sztuczna inteligencja to tylko wisienka na fińskim torcie bezpieczeństwa pieszych. Efektowny dodatek do i tak dobrze funkcjonującego systemu.

W Finlandii, Szwecji i Norwegii istnieje wiele instrumentów infrastrukturalnych, które zwiększają bezpieczeństwo pieszych w sąsiedztwie drogi. Są one tak wydajne, że od lat służą za modele rozwiązań w innych krajach. Badaniem szwedzkich metod zajęli się urzędnicy amerykańskiego Departamentu Transportu. Za oceanem w 2018 r. zmarło 6227 pieszych, 16% wszystkich ofiar wypadków drogowych. W dodatku liczby te rosną skokowo. W porównaniu z 2008 r. całkowita liczba pieszych, którzy ponieśli śmierć w wypadkach, wzrosła tam aż o 41%. Stało się jasne, że Ameryka zaczyna mieć ogromny problem z bezpieczeństwem na drogach, i to nie tylko z bezpieczeństwem kierowców.

Po inspirację Amerykanie pojechali do szwedzkiego Lund. Tamtejszy samorząd od kilku lat przeznaczając spore pieniądze na program WALCYNG, co jest połączeniem dwóch angielskich słów: *walking*, czyli chodzenie, oraz *cycling* – jazda na rowerze. Urzędnicy w Lund wyszli bowiem z założenia, że skoro piesi i rowerzyści są w wypadkach co najwyżej ofiarami, sami rzadko je powodując, to należy zmienić proporcje uczestników ruchu. Zmniejszyć liczbę samochodów i zachęcić

mieszkańców do przemieszczania się na piechotę lub rowerem. Co ciekawe, WALCYNG nie obejmuje transportu publicznego, bo motywacją jest ochrona nie środowiska, ale ludzkiego życia. Autobus zaś, nawet największy i najwolniejszy, wciąż porusza się po drodze. I, co najważniejsze, może wyrządzić dużo większe szkody niż grupa pieszych czy rowerzystów.

Uruchomienie WALCYNG poprzedziły długie badania zwyczajów mieszkańców Lund za kierownicą. Wielu jeździ autem nie z potrzeby, ale z przyzwyczajenia. Zdecydowana

kątem powodów, dla których wolą auto, i zapytały, jaką zmianę wzięliby pod uwagę. Z badań wynikał główny wniosek – ludzie przesiedliby się na rower, jeśli chodziłoby o przemieszczanie się z punktu A do punktu B: dojazd do pracy czy szkoły, wyjście do restauracji. Natomiast zakupy Szwedzi woleliby już robić na piechotę niż na dwóch kółkach.

Dlatego wszelkie inwestycje infrastrukturalne podporządkowano wnioskowi z tego badania. W Lund przestano budować ścieżki rowerowe obok centrów handlowych, za to poprowadzono je do większych

W ostatnich 10 latach w Szwecji powstało 12,6 tys. nowoczesnych przejść dla pieszych. Sytuację na drogach poprawiają też naprzemienne pasy.

większość podróży samochodowych odbywała się na krótkich dystansach 3-5 km. To cecha nie tylko Szwedów z Lund – ani nawet z innych miast. Podobne statystyki znaleźć można w badaniach dotyczących prawie wszystkich krajów na kontynencie. Komisja Europejska szacuje nawet, że wyeliminowanie przejazdów samochodowych na trasach do 5 km i zastąpienie ich przemieszczaniem się pieszo i rowerami wyeliminowałoby połowę całego ruchu samochodowego w europejskich miastach. W Lund władze poszły krok dalej. Przebadaly mieszkańców pod

centrów biznesowych i kompleksów biurowych. To samo zrobiono w pobliżu szkół i kampusu uniwersyteckiego. Zamiast wymuszać zmianę nawyków, co byłoby czasochłonne i nie musiało dać spodziewanych efektów, postanowiono dopasować do nich tkankę miejską. Projektom w ramach WALCYNG towarzyszyła też kampania marketingowa, oparta na informowaniu o korzyściach z zostawienia auta w domu. Co ciekawe, samorządowcy do końca nie zdradzili, że chodziło im przede wszystkim o zwiększenie bezpieczeństwa na drogach.

Eksperyment w Lund wpisuje się w szwedzką strategię zmian infrastrukturalnych. W 1997 r. wprowadzono program o nazwie Vision Zero (ang. Wizja Zerowa), który ma zmienić Szwecję w kraj bez żadnej ofiary śmiertelnej wśród pieszych. W jego ramach wszystkie powstające tam drogi, jak również remontowane stare, zmieniono w tzw. drogi 2+1. Czyli drogi trzypasmowe, na których znajdują się dwa pasy w jedną stronę i jeden w przeciwną. Środkowy pas co jakiś czas zmienia kierunek jazdy, „przyklejając się” raz do lewego, raz do prawego skrajnego odcinka. Ta naprzemiennosc wymusza większą ostrożność kierowców, redukuje ich średnią prędkość i znacznie zmniejsza liczbę wypadków. Szwedzkie ministerstwo infrastruktury szacuje, że w ciągu pierwszej dekady funkcjonowania Vision Zero program pozwolił uniknąć

UDZIAŁ PIESZYCH WŚRÓD OFIAR WYPADKÓW W %

Norwegia	1
Holandia	8
Niemcy	13
Francja	16
Austria, Dania, Włochy	17
Unia jako całość	21
Hiszpania, Czechy	21
Portugalia, Chorwacja	22
Wielka Brytania, Węgry	25
Polska	29
Łotwa	35
Rumunia	37

Źródło: Eurostat/Care, dane za 2016 r.

► co najmniej 145 śmierci na tamtejszych drogach.

Drugim jego kluczowym elementem było przeprojektowanie przejść dla pieszych. W ciągu ostatnich 10 lat w Szwecji powstało 12,6 tys. przejść w pełni wyposażonych w elementy zwiększające bezpieczeństwo. Taki zestaw obejmuje progi zwalniające, pasy namalowane farbą świecącą w ciemności, fluorescencyjne obwoluty znaków drogowych oraz dodatkową sygnalizację świetlną wbudowaną w powierzchnię samej drogi. Tu z kolei szacunki są jeszcze bardziej optymistyczne. Nowe przejścia zredukowały zdaniem rządu w Sztokholmie liczbę pieszych ofiar aż o połowę.

Podobnie do zmniejszenia ryzyka dla pieszych podeszła Wielka Brytania. Na Wyspach remonty dróg polegały jednak nie na wytyczeniu naprzemiennych pasów, ale na zwiększeniu liczby rond. Badania przeprowadzone przez tamtejsze organy nadzoru ruchu wykazały, że zamiana prostopadłych skrzyżowań na drogach krajowych i w bardziej ruchliwych miejscach właśnie na ronda przekłada się na mniejszą liczbę wypadków i ofiar śmiertelnych. Jeden warunek: rondo nie może być duże. Idealne rozmiary to średnica od 4 do 25 m. W latach 90. pozwoliło to zredukować bilans ofiar śmiertelnych wśród pieszych o 30-40% w różnych

częściach kraju. Dodatkowo wprowadzono zmiany w prawie, które zmniejszają prawdopodobieństwo niebezpiecznych sytuacji na drodze. Do takich zmian należy umożliwienie rowerzystom poruszania się po chodniku. Choć na początku decyzja ta wywołała kontrowersje, a jej przeciwnicy skarżyli ją w sądach jako niezgodną z brytyjskim dorobkiem prawnym, z czasem przyzwyczajono się, że rowerzysta ma prawo zjechać z jezdni i kontynuować jazdę po chodniku, jeśli sytuacja na drodze może doprowadzić do zagrożenia życia lub zdrowia.

Brytyjską metodą na podniesienie bezpieczeństwa na drogach jest budowa rond.

Brytyjczycy zainwestowali też w publiczną kampanię edukacyjną oraz programy w szkołach, w ramach których tłumaczono, jakie prawa ma pieszy i cyklista na drodze. I tak liczba ofiar śmiertelnych wśród przechodniów w latach 2004-2018 spadła o prawie jedną trzecią, z ponad 600 do 420. Mimo to wynik nie jest jeszcze satysfakcjonujący, bo nadal na Wyspach piesi stanowią relatywnie wysoki odsetek ginących w wypadkach (25%).

Są jednak na Starym Kontynencie kraje, które wciąż nie potrafią sobie poradzić ze śmiercią pieszych

w katastrofach drogowych. Należą do nich chociażby Włochy (17% wszystkich ofiar wypadków), gdzie piesi giną przy drogach tak często, że nawet wydawcy kultowego przewodnika turystycznego Lonely Planet umieścili zachowanie szczególnej uwagi przy przechodzeniu przez jezdnię jako jedno z najważniejszych zaleceń dla wyjeżdżających na Półwysep Apeniński. Włosi do redukcji liczby ofiar dopiero się przygotowują. W uchwalonej niedawno Narodowej Strategii Bezpieczeństwa Drogowego zawarto elementy, których próżno szukać w podobnych dokumentach

w krajach nordyckich czy Wielkiej Brytanii. Pośrednio wskazują one bowiem, gdzie i dlaczego na pieszych we Włoszech czyha największe niebezpieczeństwo. Wypadki nieproporcjonalnie często powodują tam kierowcy w delegacji oraz ci, którzy prowadzą, rozmawiając przez telefon. Przy czym mówimy tu o rozmowie z telefonem przy uchu, a nie za pomocą zestawu samochodowego. Dlatego włoskim sposobem na zwiększenie bezpieczeństwa na drogach, zarówno kierowców, jak i pieszych, ma być wprowadzenie surowych kar, w wysokości nawet kilkuset euro, właśnie za kierowanie ze smartfonem w ręce. Z kolei w przypadku osób łamiących przepisy w czasie delegacji o ich wykroczeniach mają być informowani bezpośrednio ich pracodawcy. Czy metody te okażą się skuteczne, pokażą najbliższe lata.

Na rozwiązania z Europy patrzy – i często je kopiuje – cały świat. Brytyjskie ronda przeniesiono do Las Vegas, a szwedzkie naprzemiennie pasy i nowoczesne przejścia dla pieszych wprowadził Nowy Jork. Zwłaszcza w tym drugim przypadku podziało, bo przechodzenie przez jezdnię w tym mieście, jak pokazują statystyki, jest teraz najbezpieczniejsze od lat 60. Jednak żadne, nawet najsukcesywniejsze metody nie zastąpią zwykłej ludzkiej ostrożności – zarówno za kółkiem, jak i na chodniku. Uratować, podobnie jak zabić się na drodze, najłatwiej możemy sami.

Mateusz Mazzini

ART'N'VOICES
Midnight Stories
Contemporary Music of Polish Composers

Pierwszy album
ART'N'VOICES
w wytwórni DUX.
Dwanaście wyjątkowych kompozycji
i prawie godziną muzyki, która Cię zachwyci.
Wejdź na www.dux.pl
i przekonaj się sam.

www.dux.pl | www.empik.com | sklepy i księgarnie muzyczne

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Nie od wczoraj wiadomo, że najuważniejszym czytelnikiem i uczniem włoskiego historyka i filozofa komunistycznego Antonia Gramsciego jest prawica, w tym polska prawica, zarówno przed dojściem do władzy, jak i – szczególnie – po jej zdobyciu. Gramsci ze swoją teorią hegemonii kulturowej (twórcie instytucje kultury, nowy język, i tak – zamiast w drodze rewolucji – przejmując rząd dusz i mózgów, zdobędziecie realną władzę) po prostu się oplaca. Wyraźnie to widać w powoływaniu nowych instytucji, zawłaszczaniu starych, przejmowaniu tego, co się da przejąć.

Biały Kruk znalazło się wcześniej także na liście wydawnictw naukowych ministra Gowina. Opublikowało ono m.in. cukierkową biografię Antoniego Macierewicza. Dalej „Kurier WNET MMXX” (81 950 zł), gazeta wydawana przez Krzysztofa Skowrońskiego, prowadzącego prawicowe radio WNET w internecie; kwartalnik „Wyklęci” wydawany przez Fundację Kwartalnika „Wyklęci” (79 750 zł); „Semper Fidelis”, czasopismo wydawane przez Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich (12,1 tys. zł); miesięcznik „W Drodze” wydawany przez zakon do-

nowe atrakcyjne inicjatywy, jak choćby powstanie Narodowego Instytutu Polskiego Faszystu, przepraszam, oficjalna nazwa brzmi: Instytut Dmowskiego i Paderewskiego, a Paderewski w tej grupie fortepianem się przykrywa i głowę pod wiekiem kryje. Dmowski faszystą? Przecież już Komorowski mu wyfasował pomnik w centrum politycznym Warszawy! A szefem czyni się Jana Żaryna, chwalcę ONR, ścichapkę antysemitę, skrajnego prawicowego radykała z papierami historyka.

Słusznie zainteresował poseł Lewicy Adrian Zandberg: „Dlaczego myśl polityczna endecji została przez ministerstwo

Gliński ceni, płaci i żenuje

Najjaskrawiej widać to po, kiedyś niemal rytualnych, dotacjach dla czasopism świata kultury. Poprzednicy dawali wszystkim lub prawie wszystkim po troszeczkę, nielicznym sporo więcej. Obecni (nazwijmy ich glińskimi) dają tylko swoim, niektórym swoim dużo, a części bardzo dużo. Kto swojak, a kto obcy? Prof. Piotr Gliński, obsadzony przez PiS na stolku ministra kultury i dziedzictwa narodowego (tak, tak, bo to jedyne w historii świata społeczeństwo niepokalone, bezgrzeszne, czyste, to aniołowie i anielice od poczęcia do sześcenięcia), obsypuje kasą wszystkich tych, od których był radykalnie daleko, kiedy był jeszcze politykiem Unii Wolności lub ekoterrorystą bliskim Zielonym. A nie daje tym, których wtedy czytał, podziwiał, do których aspirował, aspirował i niedoaspirował. Teraz, jako wyaspirowany, swobodną dłoń rozdziela. Przytula do serca, a oni przytulą konkretne tysiące (za OKO.press): kwartalnik „Kronos. Metafizyka, Kultura, Religia” (97,5 tys. zł); dwumiesięcznik „Arcana” (52 tys. zł); „Christianitas” wydawane przez Fundację Świętego Benedykta (48,4 tys. zł) przez trzy lata, razem 145,2 tys. zł); „Rzeczy Wspólne”, pismo wydawane przez Fundację Republikańską, i „Pressje”, kwartalnik wydawany przez Klub Jagielloński (46,2 tys. zł); miesięcznik „WPiS. Wiarra, Patriotyzm i Sztuka”, wydawnictwa Biały Kruk (82,5 tys. zł). Wydawnictwo

minikanów (55 tys. zł); „Mały Gość”, czasopismo dla dzieci i młodzieży wydawane przez redakcję kościelnego tygodnika „Gość Niedzielny” (35 948 zł); „Czterdzieści i Cztery”, kwartalnik poświęcony mesjanizmowi polskiemu, wydawany przez środowisko związane niegdyś z „Froncą” (13 695 zł); „Promyczek Dobra”, czasopismo wydawane przez diecezję tarnowską (55 tys. zł); „Civitas Christiana”, czasopismo wydawane przez katolicką fundację o tej samej nazwie (25 300 zł); „Gazeta z okazji 100-lecia urodzin Jana Pawła II” (28 831 zł), wydawnictwo Instytutu Gość Media, czyli „Gościa Niedzielnego”; „Nowa Konfederacja”, czasopismo środowisk konserwatywnych (ale niekościelnych – 70 152 zł).

Powie ktoś: ma władzę, ma prawo, tamci dawali swoim, a on swoim. Niestety, tak to nie wyglądało nigdy. Tu po prostu periodyki, które bez jakichkolwiek transparentnych kryteriów zostaną przypisane do raczej niechętnych „dobrej zmianie”, nie dostają od lat nic.

Gramsciańska ofensywa trwa. Prawica zbudowała jedynie kiedyś, kiedy była w opozycji, Muzeum Powstania Warszawskiego, teraz przejmuje (Muzeum Historii II Wojny Światowej) i kastruje, albo osłabia (Muzeum Historii Żydów Polskich), łamiąc własne zobowiązania co do zasad wyboru dyrektora. Dorzuca wciąż kolejne dziesiątki milionów IPN, podejmuje

potraktowana wyjątkowo? Dlaczego inne stronnictwa, takie jak Polska Partia Socjalistyczna czy Bund, nie zasłużyły na podobne placówki badawczo-edukacyjne? Czy ministerstwo powoła do życia instytucje zajmujące się historią innych ruchów politycznych? Biorąc pod uwagę rolę PPS w odzyskaniu niepodległości i ukształtowaniu niepodległego państwa, uderza brak muzeum poświęconego historii demokratycznego socjalizmu i związanych z nim ruchów społecznych. Kiedy ministerstwo planuje powołać do życia takie muzeum?”.

Czas na powołanie Narodowego Koncernu Wielkiej (Największej) Narodowej Prawdy Polskiej. A nikt inny nie ma w Polsce racji bytu politycznego, kulturalnego, naukowego, wydawniczego.

Dziewczyna, która spadła z nieba

Z lubelskiej ulicy zniknęło nazwisko Lucyny Hertz – żołnierki 1. Armii WP, która zmarła z ran odniesionych podczas powstania warszawskiego

Przemysław Kmiecik

„Krwí przelanej za ojczyznę nie wolno w żaden sposób dzielić i nie wolno dzielić tych, którzy za nią polegli” – te słowa padły w roku 2017 z ust prezydenta Andrzeja Dudy podczas uroczystości ku pamięci żołnierzy 1. Armii Wojska Polskiego, walczących przeciw Niemcom podczas II wojny światowej. W tym samym czasie, gdy prezydent oddawał polskim żołnierzom teatralny hołd, jego sojusznicy polityczni burzyli poświęcone im pomniki i zmieniali nazwy upamiętniających ich ulic. Wszystko na podstawie tzw. ustawy dekomunizacyjnej. Ten kontrowersyjny akt prawny, który rzekomo dotyczył symboli totalitaryzmu, od początku jest wykorzystywany do usuwania z przestrzeni publicznej znacznie szerszej kategorii postaci.

Z Otwocka na Sorbonę

Ofiarą dekomunizacji padają też żołnierze tzw. Ludowego Wojska Polskiego. Twórcy ustawy przekonywali, że każdy przypadek będzie skrupulatnie badany, a każdy życiorys poddawany dokładnej analizie. W rzeczywistości jednak zmiany przeprowadza się masowo, a Instytut Pamięci Narodowej za symbol totalitaryzmu uznaje niemal każdą osobę związaną z ruchem komunistycznym.

Przywołajmy tu sprawę Lucyny Hertz, żołnierki 1. Armii WP, zmarłej z ran odniesionych podczas powstania warszawskiego, której nazwisko zniknęło w roku 2017 z jednej z lubelskich ulic. Zdominowana przez PiS i PO rada miasta decyzję tę podjęła niemal jednogłośnie, po otrzymaniu odpowiednich instrukcji z IPN. Zmiana wyszła zresztą naprzeciw żądaniom lokalnych środowisk prawicowych. Już wcześniej wskazywały one, że Hertz, jako „aktywistka Kom-somołu”, nie zasługuje na miejsce na mapie miasta. Wkrótce dekomunizatorzy poszli o krok dalej. Pisowski



wojewoda zdecydował o zmianie nazwy ulicy 1. Armii WP, potępiając tę formację jako „przypudówkę Armii Czerwonej”. W ten sposób dekomunizacja w wydaniu lubelskim zmieniła się w deptanie pamięci o żołnierzach, którzy pod biało-czerwonym sztandarem przelewali krew w boju z niemieckim okupantem.

Lucyna Hertz urodziła się w roku 1917, w rodzinie żydowskiego rzemieślnika z Otwocka. Bardzo wcześnie zafascynował ją komunizm. Już w wieku 15 lat trafiła do nielegalnej organizacji działającej w jej gimnazjum. Bez wątplenia stała się ideową komunistką, szczerze wierzącą w możliwość realizacji w Polsce hasła równości i sprawiedliwości społecznej. Gdy więc w roku 1935 rozpoczęła studia biologiczne na Uniwersytecie Warszawskim, związała się z akademicką grupą komunistyczną Życie. Na utrwalenie przekonań Lucyny Hertz wpływ miała antysemita atmosfera połowy lat 30. Rozgorzała wtedy dyskusja nad wprowadzeniem na uczelniach gett ławkowych, mających odseparować studentów żydowskiego pochodzenia. Dochodziło do inspirowanych przez nacjonalistyczną prawicę antysemitkich zamieszek. W obronie żydow-

skich studentów występowała lewica, w tym ruch komunistyczny. Lucyna Hertz, osobiście zagrożona polityką etnicznej dyskryminacji, wielokrotnie brała udział w akcjach przeciwko gettom ławkowym.

W 1937 r. zdecydowała się na wyjazd do Francji, gdzie udało się jej dostać na studia chemiczne na paryskiej Sorbonie. Wcześniej bezskutecznie ubiegała się o przyjęcie na ten kierunek na UW. W Paryżu jednym z jej wykładowców był znany z lewicowych poglądów Frédéric Joliot, zięć Marii Skłodowskiej-Curie. I tu angażowała się w działalność polityczną, uczestnicząc m.in. w akcjach pomocowych na rzecz Republiki Hiszpańskiej, walczącej wówczas z puczystami gen. Franco.

Dywiersantka

Wybuch II wojny światowej zastał ją w Warszawie, dokąd przyjechała w trakcie przerwy wakacyjnej. Z falą uchodźców dotarła do Lwowa, który w międzyczasie znalazł się pod okupacją radziecką. Dla Żydówki było to jak wybór między życiem a śmiercią. W strefie niemieckiej byłaby narażona na prześladowanie, a radzieckie władze umożliwiły jej kontynuowanie studiów chemicznych na Politechnice Lwowskiej. Nic dziwnego, że Lucyna Hertz odnalazła się w nowej rzeczywistości i szybko wstąpiła do Kom-somołu – młodzieżowej organizacji komunistycznej.

Gdy w czerwcu 1941 r. Związek Radziecki został zaatakowany przez III Rzeszę, Lwów wpadł w ręce niemieckie i stał się areną antysemitkich pogromów. Lucyna Hertz znów znalazła się w ciągnącej na wschód fali uchodźców. Dotarła aż nad Wołgę, gdzie miała się różnych zajęć. Była sanitariuszką, pomagała przy żniwach, tępiła szczury, w kołchozie pod Astrachaniem pracowała jako rybaczka, a w kołchozie pod Stalingradem jako traktorzystka. Front jednak ciągle się zbliżał. Latem 1942 r. Niemcy przypuścili atak na Stalingrad.

Lucyna Hertz znów musiała uciekać i trafiła do fabryki chemicznej w miejscowości Gubacha na Uralu, gdzie podjęła pracę jako traserka.

Zmęczona uchodźczą dolą podjęła decyzję o wstąpieniu do wojska. Sprzeciwiło się temu kierownictwo fabryki, które nie chciało tracić dobrze wykształconej pracownicy. Ona jednak nie zamierzała się poddawać i w końcu udało się jej uzyskać zgodę na opuszczenie zakładu, by kontynuować studia. Ze szkoły szybko zrezygnowała i pod koniec 1943 r., zamiast wracać do Gubachy, ruszyła do Sielc, gdzie formowały się polskie oddziały zbrojne.

Najpierw trafiła do świeżo formowanej 3. Dywizji Piechoty. W jednostce uznano, że jako doświadczona

polskim mundurom. Każdy siada, gdzie może. I o dziwo przed zgromadzonymi zasiada młoda dziewczyna, podporucznik. Pada szereg pytań i próśb: »Powiedzcie, panienko, czy tam dużo naszych chłopców? Czy będzie u nas wolna ziemia bez panów? Kiedy przyjdziecie do nas?«. Kobieta opowiada o wojsku, co jest potężnie wyposażone i wyrosło na ziemi rosyjskiej, o braterstwie Słowian, o londyńskich panach, którzy pozwolili uciec z Rosji Andersowi wtedy, gdy naród rosyjski broczył we krwi. Opowiada, jak polscy żołnierze pomagają chłopom białoruskim w odbudowie ich chat, aby już nigdy nie było nienawiści między Polakami, Białorusinami i Ukraińcami. Mówi, że Polska będzie

cy kompanii fizylierów do spraw polityczno-wychowawczych. Z uwagi na doświadczenie partyzanckie wysyłano ją często do patroli zwiadowczych.

1 sierpnia wybuchło powstanie warszawskie. I choć polscy żołnierze z jednostek formowanych w ZSRR rwali się do walki, Moskwa przyjęła ambiwalentną postawę, momentami jawnie wrogą wobec zrywu stolicy. Dopiero kilka tygodni później rozpoczęła się ograniczona operacja desantowa. 15 września 3. Dywizja Piechoty otrzymała zadanie sforsowania Wisły z rejonu Saskiej Kępy na Czerniaków. Desant ruszył nocą, a najpierw poszedł w bój 9. Pułk Piechoty. Pierwszemu rzutowi udało się zdobyć przyczółek na lewym brzegu i rozpoczęła się przeprawa reszty oddziału. Była godz. 5 rano, 17 września, gdy do swojej łodzi wskakiwała Lucyna Hertz. Nie dołynęła jednak na drugi brzeg. Ciężko raniona niemieckim

17 września 1944 Lucyna Hertz w czasie forsowania Wisły, by dostać się na Czerniaków, została raniona niemieckim pociskiem moździerzowym.

działaczka najlepiej sprawdzi się jako instruktorka propagandy, ale taka rola jej nie odpowiadała. Chciała walczyć. W pobliskim Biełoomucie, pod okiem specjalistów z NKWD, organizowano w tym czasie spadochronowy Polski Samodzielny Batalion Specjalny. Była to jednostka do działań dywersyjnych, przeznaczona do zrzutów na tyłach wojsk niemieckich. Gdy pojawiła się możliwość przeniesienia do tego oddziału, Lucyna Hertz zgodziła się bez wahania. Będąc chemiczką, szybko opanowała przydatne w dywersji tajniki mineralogii. Wkrótce ukończyła też kurs dowódców oddziałów partyzanckich i została awansowana na podporucznika.

W maju 1944 r. przerzucono ją do lasów parczewskich na Lubelszczyźnie. Po wylądowaniu dywersanci nawiązali łączność z oddziałami Armii Ludowej. Lucyna Hertz zajęła się przejmowaniem zrzutów broni dokonywanych przez samoloty radzieckie oraz akcjami wysadzania mostów i torów kolejowych. Jak relacjonowali jej towarzysze broni, „cieszyła się dużym autorytetem wśród żołnierzy, imponowała odwagą, a nawet wręcz bravurą”. W wojennych wspomnieniach można również znaleźć relację ze spotkania Lucyny Hertz i innych dywersantów z miejscowymi chłopami we wsi Glinnik: „Wszyscy zbili się w grupki dookoła żołnierzy i ze zdziwieniem przyglądają się dawno niewidzianym



15 września 1944 r. 3. Dywizja Piechoty otrzymała zadanie sforsowania Wisły z rejonu Saskiej Kępy na Czerniaków, by pomóc powstańcom.

taką, jaką będzie ją chciał mieć naród polski”. Dla tych ciężko doświadczonych przez okupację chłopów widok Lucyny Hertz, „dziewczyny, która spadła z nieba” i innych polskich żołnierzy z pewnością był wtedy zapowiedzią wyzwolenia.

Nie dołynęła na drugi brzeg

W lipcu 1944 r. na Lubelszczyznę wkroczyła Armia Czerwona. Doświadczeni żołnierze dywersji wykorzystywani byli teraz do tworzenia aparatu bezpieczeństwa przy PKWN-owskiej władzy. Lucyna Hertz jednak na własną prośbę wróciła w szeregi wojska. Znowu znalazła się w 3. Dywizji Piechoty, w 9. Pułku Piechoty, gdzie objęła funkcję zastępcy dowód-

cy pociskiem moździerzowym trafiła do szpitala w Otwocku. Wdała się gangrena, lekarze zmuszeni byli amputować jej obie nogi. Lucyna Hertz zmarła w męczarniach 22 października 1944 r., w tym samym mieście, w którym 27 lat wcześniej przyszła na świat.

I choć podobno krwi przelanej za ojczyznę nie wolno dzielić, dziś piętnuje się ją jako symbol totalitaryzmu. Komunistyczne przekonania i szczerą, choć też naiwną, wiarą w możliwość budowy sprawiedliwego ustroju okazują się wystarczającym do tego powodem. Jednocześnie obecna władza nie ma większych oporów przed wynoszeniem na piedestał osób o poglądach skrajnie prawicowych, czasami otwarciem faszystowskich, a nawet zbrodniarzy. ■

Rozmawia Rafał Piłkuła

Literatura bez hamulców

Jak Kościół obraża ludzi

Polska w „Czarnym słońcu” to republika konkordatowa, rządzona przez Ojca Premiera i podległych mu księży, Kościół wykorzystuje przywileje do dokonywania i tuszowania rozmaitych zbrodni, manifestowanie europejskości, otwartości i tolerancji jest zakazane. Na ile to tylko mroczna dystopia, a na ile scenariusz możliwy do zrealizowania w naszym kraju?

– Wszystko może się wydarzyć, Polska z „Czarnego słońca” również, ale książka jest celowo przegięta, satyryczna, kampowa. W końcu pojawiają się w niej harleyowcy kanibale. Do tego kompletna zależność od Kościoła, system wodzowski, półlegalne zbrojne bojówki terroryzujące wszystkie możliwe mniejszości. Nie spodziewałbym się takiego odjazdu, ale mogę się mylić. Faktem jest jednak, że PiS, o którym nie należy mówić, że jest partią faszystowską, skrajnie prawicową itd., czyni ukłony w stronę zarówno Kościoła, jak i radykalnej prawicy, próbując zachować elektorat.

W dobie nadmiaru bodźców, całego chaosu informacyjnego wielu ludzi ucieka w internetową egzystencję.

Polexit jest możliwy. Nigel Farage zapowiedział, że kolejna z Unii wyjdzie Polska. Z drugiej strony Marian Turski mówił, że „Auschwitz nie spadł z nieba, Auschwitz tupał, dreptał małymi kroczkami, zbliżał się”. Może taka brunatna Polska też się zbliża?

– Członkostwo w Unii na razie skutecznie hamuje takie zapędy. Rząd, który by się zdecydował na wyjście z Unii, skazałby się na upadek, a Polskę na kryzys ekonomiczny. Jako Polska nie mamy zbyt bogatych złóż surowców ani zaawansowanych technologii, jesteśmy szeroką równiną, kiedyś dobrą do tego, aby spróbować najechać na Rosję, teraz dobrą do stawiania magazynów i centrów logistycznych. W pojedynkę nie jesteśmy w stanie wiele osiągnąć. Zagrożenie jest chyba gdzieś indziej. Polska z racji położenia geopolitycznego jest areną walki o wpływy. Wojna informacyjna trwa u nas w najlepsze, a myślę, że będzie

jeszcze ostrzej, podziały będą jeszcze większe, ale do czego to ostatecznie doprowadzi, to nie wiem.

W twojej książce Polska odkrywa bogate złoża surowców nad Bałtykiem i to daje władzy niezależność ekonomiczną.

– Gdyby rzeczywiście odkryto takie złoża, byłaby to ogromna zmiana polityczna, ekonomiczna itd. Wtedy wszystko byłoby możliwe.

Czyli Holocaust się nie powtórzy?

– Mówienie, że jabłka na drzewach są tak samo ciężkie jak latem 1939 r., to panika, nic potrzebnego. Takie czarnowidztwo jest równie szkodliwe jak ucieczka w tępy konsumpcjonizm. W dobie nadmiaru bodźców, tego całego chaosu informacyjnego, wielu ludzi ucieka

w internetową egzystencję. Wolą żyć na Instagramie, seriale na Netflixie, grają w gry albo po prostu piją, starają się nie dostrzegać rzeczywistości. Inni z kolei walczą na Facebooku, piszą alarmistyczne posty, oskarżają innych o obojętność. Oczywiście jeżeli miałbym wybierać między Kylie Jenner (amerykańska celebrytka – przyp. red.) a Gretą Thunberg, wybieram tę drugą, ale uważam, że nie można popadać w przesadę, w rozpacz, trzeba działać i mieć nadzieję. Wiem, że Holocaust się nie powtórzy, bo III Rzesza już była. Dziś – przynajmniej w Europie Zachodniej – mamy narzędzia polityczne, które uniemożliwiają takie zdarzenia. Możemy

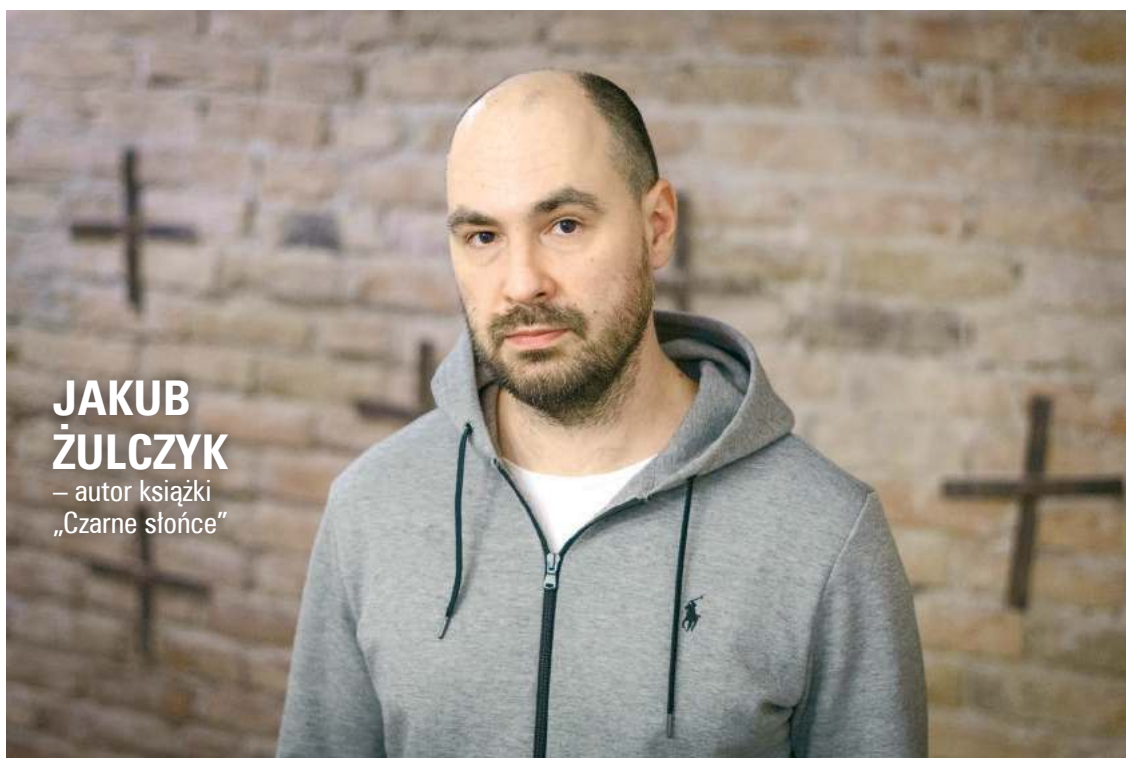
się obawiać kryzysu klimatycznego i związanego z nim kryzysu uchodźczego, zmian, które przyniesie rozwój technologii. Czuję, że w bliskiej przyszłości, być może jeszcze za naszego życia, dojdzie do wielkiej zmiany, której jeszcze nie potrafimy nawet nazwać. Holocaust się nie powtórzy, bo on już był. Prawdziwe niebezpieczeństwa to te, których nie potrafimy sobie wyobrazić.

Od premiery „Czarnego słońca” minęło już trochę czasu. Towarzyszyły jej kontrowersje. Książka, choć nie wprost, była nazywana krytyką obecnego obozu władzy i jego sojuszu z Kościołem. Polemizował z tobą m.in. Rafał Ziemkiewicz.

– Spodziewałem się większego ataku prawicowych publicystów, zresztą Ziemkiewicz odniósł się nie do samej książki, bo jej pewnie nie czytał, ale do wywiadu, jakiego udzieliłem „Dziennikowi Gazecie Prawnej”. No i nie była to polemika, on po prostu powiedział, że jestem chory psychicznie. Generalnie odbiór był lepszy, niż się spodziewałem, bo to nie jest łatwa książka, i to na wielu poziomach. Przede wszystkim to kpina, dosyć poważna, z Kościoła i religii jako takiej, nie tylko katolickiej, do tego kpina z tej całej romantycznej, bogoojczyźnianej narracji. Niekiedy w bardzo niepoważny, nawet wulgarny sposób piszę o bardzo poważnych sprawach. Taki popowy, bluźnierczy język może komuś się nie spodobać. Ponadto książka jest dosyć trudna pod względem formalnym, łatwo się pogubić.

Pisanie wymagało od ciebie dobrej znajomości Ewangelii.

JAKUB ŻULCZYK – pisarz, dziennikarz, scenarzysta – razem z Moniką Powalish stworzył scenariusz do serialu „Belfer”, a z Krzysztofem Skoniecznym do serialu „Ślepnąc od świateł” na podstawie własnej powieści. Laureat Nagrody Literackiej m.st. Warszawy 2018 w kategorii proza, nominowany do Paszportu „Polityki” w 2014 r.



JAKUB ŻULCZYK

– autor książki
„Czarne słońce”

– Szykując się do pisania tej książki, przeczytałem, po raz kolejny, wszystkie ewangelie, w tym apokryficzne. Odbylem przy okazji trochę teologicznej przygody, poznawałem rdzeń tej religii. Ja nie jestem wierzący, nie wierzę w żadne dogmaty. Praktykuję medytację, jestem bliski buddyzmu, ale czy buddyzm jest religią? Co do Jezusa, to uważam, że był bardzo mądrym i dobrym człowiekiem, ale tylko człowiekiem. Był swego rodzaju buntownikiem, anarchistą, kimś, kto burzył zastany porządek i dążył do zmiany. Wyrzucał kupców ze świątyni, uzdrawiał w szabat, siadał do stołu z celnikami i prostytutkami.

Jest pozytywnym bohaterem. Czy to wyraz jakiejś tęsknoty za właściwym obliczem Kościoła?

– Tak naprawdę nigdy nie byłem żarliwym katolikiem, chociaż pochodzę z typowej katolickiej rodziny. Jako dziecko czytałem ewangelie na równi z mitologią grecką czy rzymską, na równi z komiksami o superbohaterach. Jezus był dla mnie takim właśnie superbohaterem, herosem, kimś w rodzaju Supermana. Bardzo chciałem, żeby był moim kumplem, ale nie uważałem go za Boga.

Dlatego „Czarne słońce” jest dla ciebie formą osobistego rozlicze-

nia z Kościołem? Tym Kościołem, który dziś ma wielką władzę i działa niczym partia polityczna?

– Wychowałem się w latach 80. Pamiętam je jak przez mgłę, ale Jan Paweł II był pierwszą znaną osobą, o której się dowiedziałem. Rola Kościoła była ogromna, wpływ na moralność i mentalność społeczeństwa trudny do oszacowania. Ale po 1989 r. Kościół stał się partią polityczną, z którą każda władza III RP musi się dogadywać. Kościół ma realne wpływy ustawodawcze. Zauważ, że już

Próbuję dotrzeć do tych katolików, którym nie jest wszystko jedno, którzy chcą Kościoła kierującego się Ewangelią, a nie polityką.

jedna trzecia samorządów w Polsce ogłosiła się strefą wolną od LGBT. Tymi działaniami kieruje przecież powiązana z Kościołem organizacja Ordo Iuris, która formalnie dzieli Polaków na lepszych i gorszych, wyklucza i piętnuje. Kościół wiezie prym w dzieleniu Polaków.

Nie wszyscy katolicy w Polsce popierają takie działania.

– Mój kolega powiedział kiedyś, że poziom polskiej piłki klubowej w rzeczywistości obraża prawdziwych kibiców. Z Kościołem jest podobnie, on obraża wielu porządných ludzi,

którzy przy okazji są katolikami. Niestety, tych, którzy próbują zmieniać Kościół od środka, jest niewielu. Jest środowisko „Tygodnika Powszechnego”, KIK, ale większość wierzących w Polsce nie zajmuje się takimi problemami: co tydzień chodzą na mszę, chrzczą dzieci, biorą śluby i chowają bliskich na parafialnych cmentarzach. Nie ma w tym nic złego, to po prostu integralny element ich rzeczywistości, którego nie próbują podważać. „Czarnym słońcem” próbuję dotrzeć do tych katolików, którym nie jest

wszystko jedno, którzy chcą Kościoła kierującego się Ewangelią, a nie polityką. I którzy widzą, że mowa nienawiści, wykluczanie całych grup ludzi, tępota, kunktatorstwo, w końcu obrzydliwa zbrodnia, jaką jest gwałcenie dzieci i tuszowanie tego – że to wszystko nawet nie stało obok tego, co mówił Jezus.

Czytając „Czarne słońce”, nie można nie odnieść wrażenia, że to twoja bardzo osobista książka. W jednym z wywiadów mówiłeś, że pisałeś ją z poczuciem wolności, odrzuciłeś wewnętrznego cenzora.

► – Tym razem pozwoliłem sobie na brak hamulców, nie przejmowałem się tym, że czegoś nie powinienem napisać, a coś w książce powinno się znaleźć. Oczywiście nie jest tak, że pisałem tę książkę dla siebie, bo zawsze pisze się dla czytelnika. Jednak pisałem tę książkę z poczuciem,

i świetne opracowania Witkowskiego z Krytyki Politycznej. Po dwóch miesiącach miałem w wyszukiwarce takie wyniki wyszukiwań – od antysemitycznych przez skrajnie narodowe po terrorystyczne hasła – że się dziwię, że ABW nie odwiedziła mnie w domu (śmiech).

Prawdziwe niebezpieczeństwa to te, których nie potrafimy sobie wyobrazić.

że to nie będzie kandydatka do nagród literackich i że nie zarobię na niej dużych pieniędzy. Nie chciałem pisać „Ślepnąc od świateł 2”, pisać według utartego schematu z gwarancją komercyjnego sukcesu.

Jak wyglądała praca nad tą książką? Śledziłeś informacje w sieci, oglądałeś „Wiadomości” TVP, czytałeś rozpolitykowane trolli na Twitterze?

– Oglądałem dużo prawicowego YouTube’a, Brauna, Bubla, Międlara, wszystkich tych weteranów wojen psychicznych. Czytałem też mnóstwo tekstów – zarówno antysemityczne broszury niejakiego Henryka Pajaka, jak

Nie ograniczyłeś się do publicystyki, fragmenty twojej książki, np. rozdział „Jankiel”, gdzie mamy historię transportu do Treblinki, wymagały poważnej kwerendy historycznej.

– Piszac ten rozdział, wzorowałem się na autentycznej historii, którą znalazłem na stronie Instytutu Yad Vashem. Chciałem, żeby opis podróży do obozu był jak najbliższy prawdy. Chodziło nie tylko o warsztat pisarski, ale też o zwyczajny szacunek dla materii.

Twoja książka wpisała się w wyrażoną krytykę Kościoła. Po filmie „Kler” Smarzowskiego, dokumencie „Tylko

nie mów nikomu” braci Siekielskich teraz twoja powieść. Krytyka Kościoła wchodzi do mainstreamu?

– Krytyka Kościoła jest w Polsce bardzo popularna od wieków. Nie chcę sięgać aż do „Monachomachii” Krasickiego, ale zobacz, jakie były dwa największe bestsellery w Polsce po 1989 r., wciąż niepokonane – demaskatorska, mocno sensacyjna książka „Byłem księdzem” Romana Kotlińskiego oraz „Alfabet Urbana”, który sam w sobie może Kościoła nie krytykował, ale stosunku Urbana do Kościoła chyba nie trzeba nikomu tłumaczyć. Także bardzo ciągnie Polaków do samej satyry na Kościół, do zaglądania mu pod sukienkę, nie są bezkrytyczni wobec tej instytucji, wydaje mi się, że można to powiedzieć o dużej części praktykujących katolików. Czy można to przekuć w czynny sprzeciw, to inna sprawa. A jeszcze inna to fakt, że Polska to najszybciej laicyzujący się kraj w Europie – i być może filmy Smarzowskiego i Siekielskich czy też moja książka to tego symptomu, a nie powody.

Rafał Piłkuła



CODZIENNIE. OD 20 LAT.

PRAWDZIWY OBRAZ ŚWIATA KSZTAŁTUJE SIĘ Z WIELU WĄTKÓW. ANALIZUJEMY RÓŻNE PUNKTY WIDZENIA, ABY DOKŁADNIE OPISAĆ ZMIENIAJĄCĄ SIĘ RZECZYWISTOŚĆ. TAK POWSTAJE OBIEKTYWNA INFORMACJA.

DZIĘKUJEMY, ŻE JESTEŚCIE Z NAM!

interia

20/20



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Niepatriotyczne uniesienie

Jak głosi legenda, rycerze Łokietka, aby wykryć niemieckich buntowników, sprawdzali polskość mieszczan krakowskich, każąc im recytować rodzime łamańce: soczewica, koło miele młyn. Kto się w tych głoskach zaciął lub nie dość słowiańsko zaszeleścił, zostawał usieczon. Dziś testów na polskość, jako i definicji polskości, przybywa w zawrotnym tempie, a przestrogi w rodzaju: „Możesz nie lubić schabowego i kapusty, ale nie nazywaj siebie Polakiem”, zalewają nas w tysiącu wariantów. Marszałek Senatu pod presją prawicowych trolli publicznie dowodzi swojej niesemickiej, rdzennie polskiej genealogii, opozycja wyłania kandydatkę na urząd prezydencki ze względu na jej zasłużonych dla polskości przodków, a wszystko to na marne, wszak to tłum podszczuwany przez narodowców decyduje, kto Polak, kto Żyd, wymachiwanie czystej krwi życiorysem nic tu nie da. Kiedy już wszyscy wszystkich sprawdzą, ani jeden Polak się nie ostanie, co zresztą okazać się może zbawienne dla Polski, bo jak wiemy od innego marszałka: „Naród to piękny, tylko ludzie k...wy”.

Kilka dni temu nie przeszedłem testu, co do którego miałem podejrzenia graniczące z pewnością, że go przebrnę. Otóż nie beczałem na Beczale. Komuś półzartem przyszło do głowy po wiedeńskiej premierze „Halki” Mariusza Trelińskiego, by tym, którzy nie zapłaczą rzewnie podczas „Jodlanej” arii w wykonaniu maestra Piotra Beczały, odbierać polskie obywatelstwo.

Szedłem na warszawską premierę tego spektaklu ze spokojem, bo wzruszam się łatwo, w dodatku „szalenie delikatny jestem na kacu”, jak pisał wieszcz, a od przejęcia władzy przez kaczystów towarzyszy mi kac permanentny. Tym bardziej już podczas mazura poczułem nagłą tęsknotę za barkiem we foyer. W pokoleniu wychowanym na peerełowskiej telewizji mazur z II aktu wywołuje isticie szampański odruch Pawłowa, bo ten hit Moniuszkowski puszcany był zawsze w tle noworocznego toastu. Z kolei aria Jontka „Szumią jodły” – nasz odpowiednik „E lucevan le stelle” z „Toski”, choć napisany bez mała pół wieku wcześniej – jest skarbem narodowej wokalistyki, wywołującym niezmiennie zbiorową rozkosz widowni, której włos się jeży z przejęcia. Jeśli w operze zdarzają się bisy, to właśnie podczas gwiazdorskich wykonań takich evergreenów, co zresztą jest zjawiskiem nadzwyczajnym i dość kłopotliwym – niedawno wiedeńska publiczność wymusiła wielominutową owacją bis na Jonasie Kaufmannie, a zazdrosna diwa wykonująca partię Toski już nie wyszła na scenę, przez co spektakl nie mógł być kontynuowany. Beczała nie bisował, choć owacje zebrał rześiste i zasłużone, mnie skóra się

zgałębiała już podczas arii „I ty mu wierzysz”, ale mimo chęci zapaść nie zdołałem. Byłem przejęty i dotknięty, bo ciało moje po prostu nie miało dotąd okazji słuchać z drugiego rzędu tenora tej klasy, to była reakcja organiczna na odpowiednie natężenie i długość fali dźwiękowej. „Halka” to muzyka żywa i świetnie brzmiąca na tle sobie rówieśnych dzieł rangi światowej – czego dowiodło choćby niedawne wykonanie włoskiej wersji językowej przez legendarny zespół Europa Galante pod dyrykcją Fabia Biondiego.

Pomyślało mi się, że ten genialny tenor, swój chłopak z Czechowic-Dziedzic, który zanim odkrył moc swojego głosu, skończył technikum mechaniczne, a dziś jest najbardziej pożądaną gwiazdą opery na świecie, mógłby być bohaterem nowej władzy ludowej, gdyby kaczysci zupełnie nie odpuścili sobie kultury nazywanej wysoką. Władza obrała inny kierunek – nie będzie ludu straszyć Moniuszką, wystarczy, że dostał mu się Dworzec Centralny w stolicy. Nowym wieszczem na kolejne pokolenia staje się śpiewający Zenek (Z w koronie na plakatach zapowiadających premierę filmowej biografii Martyniuka nieodparcie kusi, by to imię czytać jako Zenek – od żenady ma się rozumieć).

Litera Z w koronie na plakatach zapowiadających premierę filmowej biografii Martyniuka nieodparcie kusi, by to imię czytać jako Zenek.

Wracając do nowej „Halki” – spektakl Mariusza Trelińskiego jest wielce efektowny nie tylko za sprawą jego filmowej proveniencji – u tego reżysera zawsze ważny jest ruch sceniczny, w tym przypadku także ruch samej sceny obrotowej, na której Boris Kudlička zbudował scenografię rodem z peerełowskiego hoteliszcza, à la zakopiański Kasprowy. Cinkciarze i dewizowcy, biały niedźwiedź, co to wszyscy z nim mamy dziecięce fotografie z Krupówek, trzej górale tańczący cepeliowskie hołubce nad ogniskiem z rozdmuchanej lamety – w takim uniwersum odbywa się tragiczne weselisko w tle śmierci nieszczęsnej dziewczyny. Zaszalała tu Dorota Roqueplo zmyślnymi i efektownymi kostiumami, tworząc czarno-biały opartowski *design* sukienek weselniczek, suknię ślubną z monstrualnym kardowelonem, Jontkową kurtkę ze skaju żywcem zdjętą z kierowcy busika linii Zakopane-Kiry, a nawet góralskie czarne stroje z motywami białych parzenic, przywołujące myśl o tym, jak mogłyby wyglądać mundury goralenvolku. „Halkę” Trelińskiego mogę z czystym sumieniem polecić jako danie pyszne i pożywne, także tym, którzy zwykli stronić od okazji do patriotycznych uniesień.



Godło 2004



Stefan i majonez 2010

CZKAWKA ŁÓDŹ KALISKA



Siostry pierwsze 1988



Instrukcja zabijania sztuki
w hołdzie Andy Warholowi
dla pieniędzy 2007



Wystawa w radomskiej Elektrowni wpisuje się w bogaty program obchodów 40-lecia działalności grupy artystycznej Łódź Kaliska, które przypadło na wrzesień 2019 r. Formacja działa od 1979 r. w niemal niezmiennym składzie: Marek Janiak, Adam Rzepecki, Andrzej Świetlik i Andrzej Wielogórski (Makary), Andrzej Kwietniewski odszedł w 2007 r., później dołączył Sławomir Bit, a współpracowała



Wolna amerykanka 2003

z grupą także Zofia Łuczko. Przewrotność, prowokacja, antymuzealność – to określenia nieodłącznie związane z Łodzią Kaliską. Jej członkowie od lat konsekwentnie negują wszystkie formy sztuki, zarówno awangardowej, jak i tradycyjnej, stawiając na zabawę i przekraczanie barier estetycznych i etycznych. Ta najbardziej prześmiewcza w polskiej sztuce

formacja artystyczna wciąż wywołuje skrajne reakcje – od wykluczenia po entuzjazm.

**Mazowieckie Centrum
Sztuki Współczesnej
Elektrownia Radom
ul. Kopernika 1
do 15 marca**



Chłodnia szczęścia 2003

FOT. ARCHIWUM ARTYSTÓW ŁÓDŹ KALISKA



POCHWAŁA DONKISZOTERII

Można się dziwić, dlaczego Teatr Dramatyczny sięga po bardzo popularną pozycję musicalową. Czy chodzi o miłą dla ucha przystępność utworu, czy o krzepiące przesłanie, że nawet życiowa przegrana ma jakiś sens i może być czymś pięknym? Zapewne ten drugi powód był decydujący, by w prościutki sposób pokazać dosyć atrakcyjny los bohatera nieco nawiedzonego, ale szlachetnego. Zrobione to zostało bez zbędnego przepychu, ale efekt jest ciekawy wizualnie. Dobrze gra dęty zespół instrumentalny. Najślabiej wypada śpiew i nieco rozwlekłe tempo przedstawienia. Czy publiczność tego nie zauważy?

Bronisław Tumiłowicz

Dale Wasserman, „Człowiek z La Manchy”, przekład Antoni Marianowicz, Janusz Minkiewicz, reżyseria Anna Wieczur-Bluszcz, Teatr Dramatyczny m.st. Warszawy, premiera 31 stycznia 2020

ZASŁUCHAJ SIĘ

Piotr Beczała, Helmut Deutsch
Karłowicz, Moniuszko. Pieśni
Narodowy Instytut Fryderyka Chopina

Wszystkie pieśni Mieczysława Karłowicza i tylko pięć wybranych z olbrzymiego dorobku Stanisława Moniuszki – oto materiał na nowej płycie naszego najlepszego tenora Piotra Beczały. Piękny, belcantowy głos podaje nam romantyczne melodie i młodopolskie teksty. Dominują pieśni do słów Kazimierza Przerwy-Tetmajera, ale są również Adam Asnyk, Juliusz Słowacki i Zygmunt Krasiński. Piotr Beczała śpiewa wszystko ze znakomitą dykcją, więc rozumiemy każde słowo. Przeżywamy razem z nim rozterki poetów i kompozytora, który przedwcześnie zginął pod tatrzańską lawiną. Na zakończenie słuchamy kilku popularnych pieśni Moniuszki, z najsłynniejszą „Prząśniczką”, którą zwykle śpiewają kobiety. Płytę zamyka arcydzieło ze słowami Mickiewicza „Znasz-li ten kraj”, pieśń najtrudniejsza, bo wymagająca długiego oddechu.

Bronisław Tumiłowicz



Alice Hoffman

Totalna magia

tłum. Danuta Górka

Albatros, Warszawa 2020

Kolejne pokolenia Owensów, a raczej Owensówien, bo rodzą się niemal same dziewczynki, zawsze są niezwykle, ale ta inność wystawia je na cierpienie. Cięży na nich klątwa przodkini, która odepchnięta przez ukochanego mężczyznę niejako zakazała potomkom miłości. Przy okazji przekleństwem wydaje się obłożone odrzucanie magicznego dziedzictwa, choć zaakceptować je też trudno. Ludzie boją się czarownic i wygadują na ich temat brednie, tylko podsycające lęk i wrogość. Lecz w sprawach sercowych bardzo ich potrzebują, więc do domu przy ulicy Magnolii w miasteczku w Massachusetts nocami zakradają się zdesperowane kobiety. Bo miłość to szaleństwo, to magia. Nie sposób przed nią się obronić, niezależnie od tego, co się sobie obiecywało i co przeżyło. Po „Zasadach magii”, w których z klątwą mierzyła się trójka rodzeństwa, Franny, Jet i Vincent, mamy ciąg dalszy, z wnuczkami Vincenta, wybierającymi jedna po drugiej ucieczkę z ulicy Magnolii. Kto „Totalną magię” pokochał w wersji filmowej, pewnie pozostanie jej wierny, np. za bardziej efektowną i feministyczną walkę z upiorem Jimmy’ego, ale tak naprawdę to dwie odrębne historie i w każdej można znaleźć coś dla siebie.

Aleksandra Pańko



Henryk Cirut

Malarstwo warmińskiego lasu

CIRUT design, Olsztyn 2019

Przedstawiany już na tych łamach fotografik Henryk Cirut w wydany ostatnio albumie ukazuje piękno lasu. Obrazy ujęte w kadrze można interpretować na różny sposób. „Cirut podpatrzył przedziwny proces powstawania abstrakcyjnego piękna wygenerowanego przez owady, bakterie, grzyby, słońce, wiatr w końcowym etapie cyklu życia umarłych drzew”, jak napisał we wstępie Marek Melnyk. Według niego to, co zobaczył fotograf, było nie ilustracją krajobrazu, tylko wyrazem jakiejś kosmicznej religii. Jeśli brać pod uwagę pasję, z jaką emerytowany uniwersytecki wykładowca pedagogiki, ale i absolwent liceum sztuk plastycznych, tropi po lasach różne dziwne formy obumarłego drzewostanu, to bardziej na miejscu jest tu kosmologia jako filozofia przyrody. Cirut widzi Naturę w nowych kształtach, które na fotografiach wyglądają tak niesamowicie, jakby pochodziły z innego świata. Album wzbogacają wiersze Kazimierza Brakonieckiego, Wojciecha Kassa i Stanisława Raginiaka.

Marek Książek



NA EKRANACH

MATTHIAS I MAXIME

reż. Xavier Dolan, prod. Kanada, w kinach od 21 lutego

Barokowy Xavier Dolan robi film oszczędny i powściągliwy? Tym razem zamiast pastelowych wnętrz i cekinów w szafie bohaterów dostajemy stonowane barwy ścian i przepecone, znoszone podkoszulki. Trudno się dziwić, skoro pokazana została tu zgraja kumpli stojących w rozkroku między szalonym czasem młodości a upominającą się o nich dorosłością. W tej paczce zaś oni: Matthias i Maxime. Pierwszy dorastał w ciepłym gniazdku, którego budżet stale zasila firma ojca. Drugiego „wychowała” samotna matka narkomanka. Matthias właśnie ma się żenić, Maxime – wyjechać do Melbourne. Zanim jednak postawią milowe kroki, pocałują się przed kamerą – przegrali zakład z siostrą Matthiasa, studentką reżyserii, która potrzebuje ich udziału w etiudzie na zaliczenie. Złączenie warg skieruje ich przyjaźń na zupełnie nowe tory, dając Dolanowi (reżyseruje i wciela się w Maxime’a) pole do popisu. Kanadyjczyk rewelacyjnie bawi się ikonografią heteroseksualnych przyjaciół. Wszystko, co naturalnie ro-



bią w swoim gronie, na ekranie ma homoerotyczne zabarwienie. Przy okazji udaje się twórca uchwycić lęk całego pokolenia: przed określeniem siebie, przed wyrażeniem swoich potrzeb.

Artur Zaborski

SERIAL

GENIALNA PRZYJACIÓŁKA

Na platformie HBO GO już można oglądać drugi sezon serialu „Genialna przyjaciółka”, nakręconego na podstawie bestsellerowego cyklu Eleny Ferrante, w reżyserii Saveria Costanza i Alice Rohrwacher. Lila i Elena mają już po 16 lat. Ta pierwsza wyszła za mąż, druga pilnie się uczy. Ich przyjaźń wkracza w nową fazę. Przypadkowe spotkanie z dawnym kolegą wiele zmieni w ich życiu. W ośmioodcinkowym serialu poznamy bolączki okresu przyśpieszonego dojrzewania, trudy odkrywania własnej tożsamości i poszukiwania celu. Mocną stroną serialu jest realistyczne przedstawienie robotniczych Włoch lat 50. i 60.

HBO GO, HBO OD 24 MARCA



ZAJRZYJ TU

CICHE ZWIEDZANIE MUZEUM

By umożliwić kontakt ze sztuką wszystkim odbiorcom, Muzeum Śląskie wprowadziło ciche godziny podczas zwiedzania galerii stałych, a także utworzyło specjalną strefę wyciszenia. Rozwiązania te podniosą komfort zwiedzania osobom o wysokiej wrażliwości na bodźce. Ciche godziny obowiązują w środy od 17.00 do 20.00. W tym czasie w galeriach będą wyłączone ścieżki dźwiękowe.



W kasach muzealnych można pobrać słuchawki wyciszające, dostępne

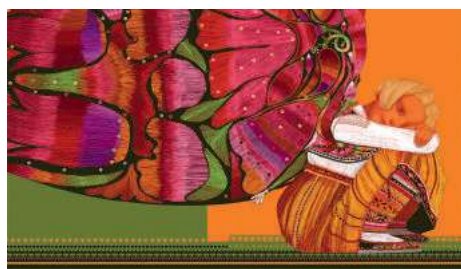
w rozmiarach dla dorosłych i dzieci. A przy wystawach czasowych znajdują się informacje o rodzaju bodźców, których można doświadczyć podczas zwiedzania. W Galerii Sztuki Polskiej powstała strefa wyciszenia, która umożliwia odseparowanie się od bodźców osobom szczególnie na nie uwrażliwionym. Można tam również skorzystać z dostępnych publikacji czy pić antystresowych.

KATOWICE, MUZEUM ŚLĄSKIE

SEKRETNE ŻYCIE

W Warszawie w Teatrze Lalka możemy oglądać niemal 60 prac czwórki artystów zaliczanych do czołówki estońskich ilustratorów: Viive Noor, Kadi Kuremy, Reginy Lukk-Toompere oraz Urmasa Viika. Łączy ich przyjaźń oraz aktywność artystyczna i życie zawodowe. Wszyscy mają swój rozpoznawalny styl i własny świat, do którego zajrzymy za sprawą wystawy „Sekretne życie”. Barwne, optymistyczne prace wcześniej odwiedziły Paryż, Strasburg, Tel Awiw oraz Mińsk.

WARSZAWA, TEATR LALKA, DO 31 MARCA



Kolumny przygotowała
Agata Gogolkiewicz



MAREK DYJAK

15 marca | Klub Stodoła | Warszawa



NATALIA NYKIEL

25 marca | Klub Stodoła | Warszawa



LADY PANK

O DWÓCH TAKICH
CO UKRADLI KSIĘŻYC

4 kwietnia | Klub Stodoła | Warszawa



KRÓL

16 kwietnia | Klub Stodoła | Warszawa



NATALIA PRZEBYSZ

26 kwietnia | Klub Stodoła | Warszawa



BASIA TRZETRZELEWSKA

21 maja | Klub Wytwórnia | Łódź

22 maja | Klub Stodoła | Warszawa

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Ożywiona gestykulacja

WTeatrze Współczesnym sztuka „Mimo wszystko” kanadyjskiego dramaturga Johna Murrella, bohaterką jest aktorka Sarah Bernhardt. Zaprosiła nas na spektakl Maja Komorowska, która wciela się w słynną aktorkę. Jej monolog przy partnerstwie Wiesława Komasy – zawsze mnie zdumiewa, że aktor jest w stanie zapamiętać tak długi tekst. Ja nigdy w życiu, także dlatego nie mógłbym być aktorem. Maja świetna, gra siebie, im dłużej gra tę sztukę, a gra ją od wielu lat, tym bardziej gra siebie. W przerwie stoimy w holu z przyjaciółką Mai, która dostaje od aktorki SMS; Maja pisze, że ma dosyć i pewnie już nie będzie następnych spektakli, za duży wysiłek.

Porusza pomieszanie dwóch porządków: sztuki i życia. Zabawna też scena, gdy Komorowska ciska płytę gramofonową, by ją stłuc, a ona się nie tłucze, tylko toczy jak obręcz, zatacza kształtny krąg po scenie i wraca do aktorki. Komasa zdębiał. „Daj mi jeszcze raz”, powiedziała przytomnie i tym razem skutecznie ją stłukła. Przypadkiem wyszła sztuczka cyrkowa. A spektakl o tym, jak okropne jest starzenie się. Bliski mi temat, niestety. Wszystkie wiersze teraz piszę o tym właśnie.

Prezes sądu rejonowego i jednocześnie członek tzw. nowej Krajowej Rady Sądownictwa Maciej Nawacki, sędzia pisowski, drze publicznie, przed kamerami apel sędziów o „nieutrudnianie wykonywania pracy Pawłowi Juszczyszynowi”. Ten arogancki akt ma znaczenie symboliczne – tak PiS drze polską demokrację. Trwa najazd barbarzyńców na Polskę. Nietykalna kasta sędziów dopiero teraz powstaje, lepiona rękami Ziobry i jego najemników. Mali, ciemni, straszni ludzie w gorączkowym biegu na stanowiska. I to chamskie, homofobiczne gadanie Kempy, czołowej przekupy politycznej PiS. Wysłaliśmy do Brukseli godnych przedstawicieli polskiego ciemnogrodu.

Konwencja PO, uroczysty początek kampanii prezydenckiej Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, transmituje ją TVN 24, w tym samym czasie w TVP Info transmisja z wiecu poparcia dla „reformy sądownictwa”. Obraz tnie czerwony pas z napisem: „Protesty przeciw kaście sędziowskiej”. Został zwieziony lud, skąd ja znam ten zapach? Z wieców potępienia imperialistów i syjonistów w czasach PRL. Gęsto od sztandarów, prymitywne hasła w stylu „ręce precz”. A na konwencji PO wystąpienia polityków tej partii. Trzaskowski, Budka, inni, wszyscy mówią lepiej, bardziej przycią-

gają słowami uwagę niż kandydatka na prezydenta. Miała już czas, by się poduczyć mówienia, ale nie jest w stanie. Z pustego i Salomon nie naleje. To nie jest pustka intelektualna, to jakiś brak energetyczny.

„Gazeta Polska” – ależ to pismo jest kłębowskiem żmij – ustaliła, co wywaliła na okładkę, że marszałek Tomasz Grodzki miał ojca ubeka, bo ów ojciec niby coś tam na UB kiedyś podpisał. Podpisał, nie podpisał – jakie to ma znaczenie, gdy chodzi o charakter samego Grodzkiego? Dla narodowej prawicy przodkowie ważni, bo cechy charakteru przekazuje się potomkowi jak rasę. Ale to dotyczy tylko obcych, naszych już nie. W gazecie pracuje Marcin Wolski, kiedyś płomienny komunista. A też K.B., moja koleżanka ze studiów, zupełnie zmaczona psychicznie, już na studiach była w partii.

A co z przodkami redaktorów, gdyby tak poszperać? Rozsądek mówi, że za przodków nie ponosimy odpowiedzialności, chyba że żywimy do nich nienawiść, wtedy tak.

Nietykalna kasta sędziów dopiero teraz powstaje, lepiona rękami Ziobry i jego najemników.

Nic dziwnego, że przy takim myśleniu prawica rusza na poszukiwanie żydowskich przodków marszałka. Nie dosyć, że tapówkarz, syn ubeka, to jeszcze Żyd, a jak się pogrzebie, to pewnie i sodomita. W „Najwyższym Czasie!” publicysta pisze: „Pytanie, czy nie Żyd, byłoby bez sensu, gdyby Grodzki kontentował się zawodem lekarza, piekarza, kelnera, sportowca etc., ale że przejawia ambicje polityczne i został aż marszałkiem polskiego Senatu, sprawa pochodzenia staje się bardzo ważna. (...) W polityce pochodzenie odgrywa olbrzymią rolę! Usiłowałem znaleźć w Internecie jakieś informacje o rodzicach Tomasza Grodzkiego, z jakiej rodziny się wywodzi? Z jakiego środowiska? Na próżno. Fizis nowego marszałka Senatu i jego ożywiona gestykulacja mogą wskazywać, że jest pochodzenia żydowskiego lub półżydowskiego”. Najwyższy czas, by „Najwyższy Czas!” zainicjował kursy, jak można poznać Żyda, pół-Żyda, a może nawet ćwierć-Żyda, po fizis i ożywionej gestykulacji. Poczciwy Grodzki próbuje publicznie dowodzić, że nie jest Żydem, mówi: „Korzenie mojej rodziny są z serca Polski, z Gostynia w Wielkopolsce”. Błąd! Tu się tłumaczyć, to dać się sprowadzić do parteru, nie, do piwnic.

Gdy „skup się” nie pomaga

ADHD dotyka nie tylko dzieci. Cierpi na nie ponad milion dorosłych Polaków

Anna Brzeska

Mówi się o nich: nieogarnięci. Zdolni, ale leniwi. Wieczni studenci, którzy zaczęli trzy kierunki i nie skończyli żadnego. Często ekstrawertyczni, gadatliwi, źle zorganizowani, zapominalscy. Robią wszystko na ostatnią chwilę. Wciąż coś gubią, nie wyrabiają się z pracą, nie mogą się na niej skoncentrować dłużej niż pięć minut. Wielu nie jest w stanie usiedzieć na miejscu, ale zdarzają się też marzyciele, których umysł wciąż błądzi bez celu po chaotycznym labiryncie myśli.

ADHD (z ang. *attention-deficit hyperactivity disorder*), czyli zespół nadpobudliwości psychoruchowej z deficytem uwagi, najczęściej kojarzy się z dziećmi. Jednak dziś, gdy świadomość społeczna wagi naszego zdrowia psychicznego się zwiększa, coraz częściej diagnozuje się ADHD również u dorosłych. Szacuje się, że nawet 6% dorosłych cierpi na to zaburzenie. W Polsce – ponad milion osób. Nie oznacza to, że pojawiło się ono w wieku dojrzałym, zwykle nie zostało zdiagnozowane w dzieciństwie.

Nadpobudliwcy i marzyciele

Przyczyny ADHD wciąż są przedmiotem badań. Najczęściej w piśmiennictwie na ten temat mowa jest o podłożu genetycznym oraz nieprawidłowościach rozwoju mózgu w okresie płodowym czy okołoporodowym, przy czym ADHD jest efektem działania nie jednego czynnika, lecz kilku współwystępujących. Oprócz dziedziczenia bierze się pod uwagę takie przyczyny jak palenie papierosów czy picie alkoholu przez matkę podczas ciąży, niska masa urodzeniowa dziecka czy niedotlenienie okołoporodowe.

U osób z ADHD mamy do czynienia przede wszystkim z nieprawidłowym transportem dopaminy – jednego z najważniejszych neu-

roprzekazników, a więc substancji odpowiedzialnych za komunikację między neuronami. Dopamina pomaga się skupić na wybranym bodźcu, przetwarzać informacje oraz decydować, która jest ważna, a która mniej istotna. Dysfunkcje te są widoczne zwłaszcza w obszarach mózgu związanych z nauką, koncentracją czy pamięcią. Ale nie tylko. Objawy przenoszą się również na inne sfery, przez co „neuronietypowi” mają problemy w codziennym życiu.

Zasadniczo wyróżnia się dwa typy ADHD. Pierwszy można by określić jako właściwe ADHD – zgodnie z klasyfikacyjną nazwą zespołu jest bowiem związane zarówno z deficytem koncentracji, jak i z nadpobudliwością ruchową, będącą objawem przeważającym. Drugi typ określa się jako ADD (*attention-deficit disorder*, czyli zaburzenie koncentracji uwagi) – u cierpiących na nie występuje przewaga problemów z koncentracją, nie ma zaś raczej objawów nadpobudliwości. Osoby cierpiące na ADD mogą zatem sprawiać wrażenie bardziej zamyślonych marzycieli niż nadpobudliwców, niezdolnych wytrzymać siedzenia przy biurku czy na wykładzie.

U niektórych pacjentów diagnozuje się też typ mieszany ADHD, w którym nie ma wyraźnej przewagi jednego typu zaburzenia nad drugim.

Osoby z ADHD borykają się także z innymi, współwystępującymi zwykle zaburzeniami. Prócz ogromnych kłopotów z koncentracją mają trudności z organizacją pracy i planowaniem, poza tym – co bardzo istotne – szybko się nudzą wykonywaną

czynnością. Skutkuje to ogromnymi problemami z wykonaniem zadań do końca, wyborem ścieżki zawodowej i utrzymaniem stałej pracy, bałaganiarstwem.

Katarzyna: – Miałam przede wszystkim problemy z koncentracją. Prawdopodobnie to ADD było powodem zawalenia pierwszych studiów – japonistyki, którą rzuciłam ze względu na konieczność regularnej nauki. Wielokrotnie zmieniałam pracę. Ogromnym problemem była też niemożność zabrania się do wykonania zadania, przez co często robiłam coś na ostatnią chwilę.

Natalia: – Bez leków nawet nie siadałam do pracy czy nauki, bo potrafię o niej zapominać przez parę godzin. Gdy już usiądę, siedzę może 10 minut i w pewnym momencie uświadamiam sobie, że nie wiem kiedy zaczęłam oglądać filmiki w sieci, grać w grę lub wycinać skórki.

Cztery kierunki, żaden nieskończony

Agnieszka: – Zaczynałam pracować w różnych miejscach, ale często rezygnowałam, by kolejnego dnia robić coś zupełnie innego. Wystarczyło, że nie spodobała mi się jedna rzecz, a na drugi dzień już mnie nie było. Zresztą do tej pory tak mam, ale teraz pracuję u męża. I on już się przyzwyczaił, że rezygnuję z pracy minimum raz w miesiącu. Po prostu nie przyjmuje moich wypowiedzeń.

U Agnieszki brak diagnozy i zainteresowania jej leczeniem ze strony rodziców spowodował, że zaczęła

Z nieudacznika geniusz

Osoby z ADHD są często obdarzone wysoką inteligencją. Mają bogatą wyobraźnię, są kreatywne. Wśród znanych ludzi, u których zdiagnozowano ADHD lub których biografia pozwala domniemywać, że byli nim dotknięci, są naukowcy, wynalazcy i mężowie stanu: Thomas Edison, Albert Einstein, Alexander Graham Bell, Winston Churchill, Benjamin Franklin i John F. Kennedy. Najwięcej jednak jest artystów: Salvador Dalí, Ernest Hemingway, John Lennon, Walt Disney, Steve McQueen, Pablo Picasso, Jules Verne, Lewis Carroll.



radzić sobie na własną rękę. – Dość szybko zaczęłam eksperymentować z narkotykami. „Leczyłam się” amfetaminą, kokainą, marihuaną i dopalaczami. Uczenie się „na trzeźwo”, nawet przez wiele godzin, nie dawało kompletnie żadnych efektów, zupełnie jakby każda wiadomość przelatująca mi przez głowę. Oczywiście złożyłam papiery na kilka kierunków studiów, bo nie mogłam się zdecydować, ale rzecz jasna żadnego nie skończyłam.

Natalia: – Zanim zaczęłam brać leki, miałam taką taktykę, że jeśli coś mnie nudziło, po prostu tego nie kończyłam. Było to oczywiście problematyczne, gdy należało skończyć zaczęte obrazy i rysunki na uczelni. Nie wiedziałam, co mam z nimi zrobić, bo z drugiej strony, gdy się zmuszałam, wychodziły słabo. Najgorsze jest dla mnie uczucie, gdy coś mnie nudzi i ciekawi jednocześnie – bo wtedy chcę to skończyć, ale po prostu nie mogę. To się dzieje także przy czytaniu książek. W dużej mierze przez ADHD zrezygnowałam ze szkoły muzycznej i zainteresowań biologicznych.

Agnieszka: – Często chodzę bez celu, niepotrzebnie wstaję, chodzę po coś po kilka razy, krztałam się po domu. Nadpobudliwość to nieświadoma potrzeba ciągłego, bezcelowego ruchu. Mózg podsuwa myśl: wstań, bo chce ci się siusiu. I po drodze do toalety zapominasz, po co

idziesz. Na przystanku, kiedy muszę czekać na autobus dłużej niż pięć minut, nie daję rady wystać i idę na kolejny przystanek, choćbym miała się spóźnić.

Utrata kontroli nad własnym życiem

Problemy wynikające z ADHD nie dotyczą tylko pracy czy nauki, ale odbijają się na codziennym funkcjonowaniu i relacjach towarzyskich. Choć wrodzone gapiostwo i zapominalstwo mogą się wydawać zabawne i rozzuchalające, „neuronietypowi” przeżywają

Kiedy mnie coś nudziło, po prostu tego nie kończyłam.

czasem prawdziwe piekło.

Ewa: – Zostałam świeżo kupiony komputer na stacji benzynowej i zorientowałam się dopiero wiele godzin później, kiedy pracownik stacji napisał do któregoś z moich znajomych na Facebooku, że mój laptop jest u niego do odbioru. Znajomy zadzwonił do mnie i dopiero wtedy zerknęłam do torby. To oczywiście niejedyna taka przygoda. Ciągłe dostawę mandaty, ale regularnie zapominałam płacić kary, raz o mały włos nie trafiłam z tego powodu do więzienia. Poza tym jestem naiwna jak dziecko, gubię, upuszczam i niszczę przedmioty, rozlewam płyny i tłukę kubki. Ciało nie nadąża za mózgiem.

Aleksandra: – To jest tak, że zanim się zorientujesz, znowu przerywasz innym w pół zdania, chociaż wiesz, że to nieelegancko. Albo ogarnia cię taka fala emocji, że nie ma siły jej pohamować. I piszesz niemiły mejl, którego potem żałujesz. Albo zanim pomyślisz, zgłaszasz się do przedsięwzięcia, na które nie masz czasu, bierzesz zlecenia, których należałoby odmówić.

Długa lista problemów związanych z ADHD zawiera też – między innymi – niecierpliwość, kiepskie działanie pamięci roboczej (czyli krótkotrwałej, pomagającej w wykonaniu bieżących zadań), huśtawkę nastrojów, trudności ze snem, zapomnianie o ważnych datach, niezdolność do zorganizowania sobie pracy. A to sprawia, że chory ma poczucie utraty kontroli nad własnym życiem, dlatego osoby z ADHD mają zwykle mocno obniżoną samoocenę. Przez to często rezygnują z podejmowania trudniejszych zadań, zwłaszcza tych długotrwałych. Sądzą na ogół, że szanse, aby udało im się dotrzeć do końca, są niewielkie. To jednak pogłębia poczucie alienacji, bycia gorszym i niewydolnym.

Cud hiperfokusu

Jeżeli nie zostanie zastosowane odpowiednie leczenie, pacjenci z ADHD funkcjonują często w sposób bardzo nieregularny. Szczególnie dokuczliwe bywają dla nich zaległości w zawodowych i domowych

obowiązkach. Co jednak ciekawe, nadrabiają je potem dzięki nagłym przypiętom koncentracji. Taki stan nazywany jest hiperfokusem (od ang. *focus* – skupienie się). Wtedy, odwrotnie niż na co dzień, są w stanie przez długi czas koncentrować się na jednej czynności. Z opowieści „neuronietypowych” wynika, że najczęściej hiperfokus przytrafia się im pod wpływem zbliżającego się niebezpiecznego terminu wykonania zadania lub gdy trafią na zagadnienie, książkę, film czy zadanie, które wyjątkowo ich zainteresuje. Potrafią wtedy poświęcać się jednej czynności przez wiele godzin, a nawet dni, niemal nie odczuwając zmęczenia, pragnienia czy głodu. ▶

► Ewa: – To doskonały stan, trochę jakby wyjście z siebie. Po latach pracy jestem w stanie to kontrolować, o ile nie zostało mi mniej niż 12 godzin do dedlajnu. W taki sposób umiem się skupić głównie przy jednoosobowych zadaniach twórczych. W moim przypadku to pisanie – również muzyki – ale też planowanie, wymyślanie, tworzenie konspektów, teorii czy skomplikowanych rozwiązań.

Leki i psychoterapia

Nie wszystkie osoby, u których w dzieciństwie zdiagnozowano ADHD, zdradzają jego objawy w dorosłości. U dorosłych tego zaburzenia nie można wyleczyć. Można jednak przeciwdziałać wynikającym z niego problemom.

Najskuteczniejszym sposobem jest farmakoterapia. Lekarze psychiatrzy zwykle przepisują leki

Inną grupą leków w terapii ADHD są tzw. leki niestymulujące, do których należą Amantadyna i Nootropil.

Ponieważ leczenie farmakologiczne nie zawsze wystarcza – a czasem utrudniają je skutki uboczne – łączy się je często z psychoterapią (najczęściej CBT – *cognitive-behavioral therapy*, czyli terapia behawioralno-poznawcza). Jest to zresztą postępowanie rekomendowane u wszystkich osób borykających się z ADHD. Terapia pomaga bowiem poprawić codzienne funkcjonowanie, uczy sprawniejszego zarządzania czasem, daje wskazówki, jak zorganizować przestrzeń wokół siebie, by ułatwić koncentrację. Profesjonalna terapia poprawia też samoocenę, obniżoną przez wieloletnie funkcjonowanie w poczuciu winy za życiowe porażki czy realizację zadań poniżej możliwości.

Nie istnieje natomiast żadna dieta łagodząca objawy ADHD, której skuteczność potwierdziłyby badania naukowe.

Anna Brzeska

Na przystanku, kiedy muszę czekać na autobus dłużej niż pięć minut, nie daję rady wystać.

Natalia: – Jestem w stanie parę godzin coś robić i każda taka chwila daje mi radość, nawet jeśli czuję, że mogłabym się zająć czymś innym. Czasem hiperfokus trwa dłużej. Wtedy potrafię powiedzieć stop i iść np. na uczelnię, ale cały czas myślę o robieniu tej rzeczy. I gdy tylko mam chwilę, od razu do niej wracam. Najdłuższy hiperfokus trwał parę tygodni. To było czytanie i oglądanie „Harry’ego Pottera” w VI klasie.

zwane stymulantami, które zawierają metylofenidat (w Polsce znane pod nazwami Medikinet i Concerta) – lub pochodne amfetaminy (Dexedrine). Działanie tych leków polega na zwiększeniu poziomu dopaminy w centralnym układzie nerwowym. W leczeniu stosowane są także stymulanty zarówno dopaminy, jak i noradrenaliny (Wellbutrin) oraz np. Strattera, która jest stymulantem noradrenaliny i serotoniny.

Sherry Brandy



Ludwik Stomma

Strzeż się złodzieja

Dziekiem będąc, nie chciałem nigdy być żołnierzem, strażakiem ani policjantem (mam alergię na mundury). Najpierw marzyły mi się egzotyczne podróże; potem pod wpływem szlachetnych lektur postanowiłem walczyć samodzielnie z przestępczością i złem zagrażającym światu. Początkowo widziałem się w postaci kogoś na kształt Jamesa Bonda (acz bohater jeszcze wówczas nie zaistniał w kulturze masowej) ratującego ludzkość przed zagładą. W wieku pięciu lat trochę mi jednak wychudło i postanowiłem być już tylko detektywem demaskującym morderców, gwałcicieli i innych kryminalistów. Niestety, tajemnicze przeznaczenia rzuciły mnie na inne drogi. Zostałem profesorem, naukowcem, po trochu publicystą, mężem pantoflarzem mojej ukochanej Basi i ojcem dzieciom, z zazdrością tylko mogącym śledzić w telewizji wyczyny Columbo, Adriana Monka, Leroya Jethro Gibbisa czy Krzysztofa Rutkowskiego. Dziecięce mrzonki odeszły, wydawałoby się bezpowrotnie, w siną dal. A jednak nigdy nie należy do końca z niczego rezygnować. Oto zgrybiałemu starcowi spełniły się onegdysiejsze ambicje. Złapałem złodzieja. Właściwie złapała go moja wspaniata wydawczyni Kasia Kalinowa (oficyna Sens), a ja tylko statystowałem, ale satysfakcja nie jest przez to mniejsza. Złodziej, acz urodzony w 1957 r. w Polsce, nazywa się dzisiaj JACK PARASKOVICH i jest obywatelem kanadyjskim.

A było to tak: wydawnictwo Sens postanowiło wznowić w jednym tomie (wyjdzie niedługo – serdecznie polecam) dwie moje książki: „A jeśli było inaczej” (2008) i „Kultura zmienną jest” (2009). Jedna z niebywale sumiennych redakterek, przygotowując rzecz do druku i sprawdzając, co w międzyczasie o cytowanych przeze mnie faktach napisano, znalazła w internecie odniesienie do wydanego w 2016 r. w amerykańskim wydawnictwie dzieła „The wrong view of history” podpisanego przez pana Paraskovicha właśnie. Sprowadziła je do Rzeczypospolitej, zaczęła czytać i zdumiała się ogromnie. Rzekomy autor był bowiem łaskaw najprościej w świecie przetłumaczyć „A jeśli było inaczej”. Z całą beczelnością nie wysilił się nawet na wielu stronach o dorzucenie czegoś od siebie czy choćby zmianę stylu. Zgoła się nie krępując, w indeksie nazwisk przytoczył cytowanych przeze mnie, bardzo mało nawet znanych autorów, tylko po mnie oczywiście wszelki ślad zaginął. Doprowadziło to do zabawnych nieporozumień. Dla potrzeb mojego wywodu, opierając się na bardzo wyspecjalizowanej pracy genealogicznej Thierry’ego Le Hête

„Les Capétiens”, ułożyłem swoistą tabelę dietności królów Francji. Pan Paraskovich przytacza ją w całości, podpisując nazwiskiem Le Hête. Tymczasem takiej tabeli u francuskiego genealoga oczywiście nie ma. I tak dalej, i tak dalej. Katarzyna Kalinowa, która jest nie tylko świetnym wydawcą, ale i osobą wielce energiczną, odnalazła telefon Paraskovicha i uprzytomniła mu, że w świecie elektroniki i internetu nie jest już tak jak w wierszu Czesława Miłosza, że:

*Los węsząc zagubi
Wiodące tu tropy,
Ocean nas dzieli
Od złej Europy*

Paraskovich przestraszył się nieco i oświadczył, że „chciał tylko spopularyzować prace prof. Stommy po swojej stronie Atlantyku (hi, hi, anonimowo), ale za parę dni zadzwoni z propozycją, jak sprawę polubownie załatwić. Jak łatwo się domyślić, nie zadzwonił. Ja mu, niech będzie

spokojny, nie odpuszczę. Odpowiednie czynności już nawet zostały zaczęte, więc trochę bym na jego miejscu się niepokoił. Nie

odpuszczę dla zasady i z solidarności z naukowcami, na których podobne hieny czyhają. Aczkolwiek osobiście przyznać muszę, że sprawił mi Jack Paraskovich dwie duże przyjemności. Po pierwsze, miło jest pomyśleć, iż nasza twórczość na tyle jest dla niektórych cenna, że nawet plagują ją w odległych krainach. Po drugie, spełniły się dziecięce sny – złapałem (no dobrze, współzłapałem) złodzieja. Żeby jednak naprawdę przysłużyć się społeczeństwu, nie mogę tego drugiego zazdrośnie zatrzymywać do swojej prywatnej wiadomości. Dlatego opisuję tę sprawę w opiniotwórczym PRZEGLĄDZIE. Nie tylko jako przypowieść moralną mogącą kogoś zawrócić z drogi występku. Również ze względów dużo bardziej praktycznych. Otóż pan Jack Paraskovich pochodzi, o czym już wspominaliśmy, z Warszawy, z której wyemigrował dopiero w 1977 r. Nie jest więc wykluczone, że powraca niekiedy na miejsca swojego dzieciństwa i wczesnej młodości. Kto kradnie czyjaś własność intelektualną, może też miewać chrapkę na inne jej postacie. Jeżeli więc mielibyście spotkać pana Paraskovicha, radziłbym przedtem starannie schować do mowu biżuterię, dzieła sztuki, błakającą się po domu walutę, zegarki. Każdy pierścienek, który po jego wizycie zostanie w posiadaniu prawomocnych właścicieli, będzie dodatkowym światłem dla moich szczeniackich planów i nadziei. Przypominam: *Wanted* JACK PARASKOVICH!

**Kto kradnie czyjaś własność intelektualną,
może też miewać chrapkę na inne jej postacie.**



Mateusz Mazzini

Klimat na wybory

Coraz więcej osób przy urnie kieruje się stosunkiem kandydatów do środowiska naturalnego

Amerykańskie prawyборы dopiero się rozkręcają. Demokraci próbują się pozbierać po katastrofie w Iowa, gdzie zawiodła aplikacja do liczenia głosów, przez co rywalizujący ze sobą kandydaci co chwilę ogłaszali się zwycięzcami. Republikanie z kolei wykazują stosunkowo niewielką aktywność, bo do teraz nie objawił się żaden wyrazisty kandydat mogący chociaż teoretycznie rywalizować o nominację z Donaldem Trumpem. Objazdowy cyrk polityczny na razie przemieszcza się po wschodzie kraju, ale już 3 marca przyjedzie do Kalifornii – stanu bardzo silnego, bogatego, ale mającego własne problemy. I choć do głosowania na Zachodnim Wybrzeżu pozostało jeszcze trochę czasu, już wiadomo, co dla tamtejszego elektoratu będzie najważniejszą kwestią w programach kandydatów.

Druga połowa roku to od lat w Kalifornii sezon pożarów lasów i łąk. Podobnie jak w przypadku wielu innych katastrof naturalnych pożary te same w sobie nie są anomalią – występowały dużo wcześniej na tych samych obszarach. Nowością jest jednak ich intensywność. Tylko od września do grudnia ub.r. tamtejszy departament

ochrony przeciwpożarowej doliczył się ponad 7,6 tys. niekontrolowanych źródeł ognia. Śmierć poniosło pięć osób, 22 zostały poważnie ranne. Ten sezon pożarowy i tak nie był najgorszy, mieszkańcy uznali go wręcz za łaskawy w porównaniu z poprzednim. W listopadzie 2018 r. pożar szalejący w hrabstwie Butte przyniósł szokującą liczbę 86 ofiar śmiertelnych, a wygaszanie go trwało kilka tygodni i wymagało pomocy władz federalnych. Kalifornia pali się z roku na rok coraz częściej, mocniej i bardziej śmiertelnie – wszystko przez susze, zaburzanie cieków wodnych oraz nieodpowiedzialną pod względem klimatycznym polity-

kę mieszkaniową i infrastrukturalną poprzednich dziesięcioleci.

Dlatego, jak podaje amerykański portal polityczny The Hill, dla ponad 50% zarejestrowanych wyborców Partii Demokratycznej w Kalifornii podejście do katastrofy klimatycznej jest najważniejszą kwestią, na którą będą zwracać uwagę przy wyborze kandydatów. To dość duże odchylenie od normy ogólnokrajowej – całościowo dla elektoratu o poglądach lewicowych i centrowych dominującym tematem jest darmowa opieka zdrowotna, ale tylko co trzeci kalifornijski demokratą uważa to za kluczowy problem. Co ciekawe, doświadczenie na sobie skutków katastrofy klimatycznej determinuje preferencje wyborców nie tylko wewnątrz ich partii. Jest też w stanie skłonić wyborców do zmiany opcji i przeważać w przypadku niezdecydowanych.

Tygodnik „The Economist” opublikował sondaż, z którego wynika, że prawdopodobieństwo poparcia proekologicznego kandydata jest wśród Kalifornijczyków tym większe, im mniejsza odległość ich miejsca zamieszkania od dużego pożaru. Innymi słowy, im bliżej ognia, tym większe szanse, że wyborca zagłosuje na opozycję, a wewnątrz niej na kandydata, który zadeklaruje najostrzej-

Przyszli wyborcy coraz bardziej będą zwracać uwagę na to, jaki stosunek do środowiska naturalnego i zmian klimatycznych mają partie polityczne.

szą walkę z przyczynami katastrofy klimatycznej.

Zmiany w środowisku naturalnym są coraz silniejszym czynnikiem decyzyjnym nie tylko w Stanach Zjednoczonych. Z globalnego punktu widzenia – oczywiście politycznego – najbardziej zyskuje na nich akurat ta partia, która w USA jest ugrupowaniem marginalnym, czyli Zieloni. Do ich obecności na narodowych scenach politycznych wprowadzi już się przyzwyczailiśmy, ale zawsze były to przystawki dla silniejszych partii, co najwyżej mniejszościowi partnerzy w koalicji. Dzisiaj zielone partie na całym świecie stają się coraz poważniejszymi graczami w polityce najwyższego szczebla. Zwłaszcza jeśli ich wyborcy cierpią z powodu zmian klimatu.

Zjawisko przechodzenia pokrzywdzonych klimatycznie obywateli na stronę Zielonych już od ponad dekady obserwują politolodzy w Australii, która też zmagą się z pożarami. Grupa badaczy z University of Queensland w Brisbane już w 2010 r. zaobserwowała, że wzrost odsetka populacji, który wierzy w antropogeniczne przyczyny katastrofy klimatycznej o 10 pkt proc. wiązałyby się ze spadkiem poparcia dla konserwatystów o 2,6 pkt proc., przy jednocze-

Podobne prawidłowości odnotowano w Niemczech, gdzie Zieloni w ostatnich latach coraz skuteczniej przebijają się na najwyższe szczeble polityki. Ubiegłoroczne wybory do europarlamentu były ich największym triumfem przy urnach wyborczych. Drugie miejsce w skali kraju i ponad 20,5% poparcia dało im aż 21 mandatów, o 10 więcej niż w poprzednim głosowaniu, pięć lat temu. To skok olbrzymi, ale jak najbardziej możliwy do przewidzenia. U naszych zachodnich sąsiadów widać bowiem

Rośnie grupa zaprzeczających, że klimat w ogóle się zmienia.

trendy zbliżone do tych za oceanem. Przy wyborze europarlamentarzystów w 2014 r. tylko 28% głosujących uważało zmiany klimatyczne za „jakkolwiek ważny” czynnik. W ubiegłym roku odsetek ten wzrósł znacząco, do 49%, jak podaje Deutsche Welle. Niemieckiej zielonej fali nie da się jednak wytłumaczyć pożarami, powodziami czy masowym wymieraniem zwierząt – te katastrofy jeszcze na kraj nie spadły. Skąd zatem taki przechyl?

Intuicja podpowiada, że przynajmniej na Starym Kontynencie sukces Zielonych był możliwy dzięki tzw. efektowi Greta Thunberg. Młoda Szwedka, która zaledwie w ciągu dwóch lat stała się ikoną młodzieżowego aktywizmu w obronie klimatu, jest jedną z najbardziej wpływowych

Fridays for Future zwróciły na siebie uwagę na tyle skutecznie, że w czasie kampanii wyborczej do europarlamentu regularnie wspominała o nich nawet kanclerz Angela Merkel. Socjalistom niewiele to jednak pomogło. I tutaj dochodzimy do drugiego źródła sukcesu Zielonych. Tradycyjne, wielkie partie nie są przecież zupełnie głuche na postulaty społeczeństwa i same próbują zbić kapitał na tematach klimatycznych. Rzadko kiedy przynosi to jednak spodziewany efekt. Najbardziej zyskują na nich

ugrupowania nowo powstałe lub właśnie Zieloni. „Dzieje się tak dlatego, że wyborcy nie wierzą już starym formacjom w tematach klimatycznych”, tłumaczy Ursula Nonnemacher, kandydatka Zielonych z Brandenburgii, w rozmowie z portalem The Local. „Nasza partia od zawsze walczyła w obronie klimatu, często stając przeciwko właśnie tym politykom, którzy dziś chcą się przyłączyć do naszego sukcesu. Problem w tym, że to przez nich jesteśmy w takiej sytuacji, przez lata nic nie zrobili, by ocalić planetę. Dlatego dzisiaj nie mają w tym zakresie żadnej wiarygodności”, dodaje.

Przypisywanie przez wyborców coraz większego znaczenia zmianom klimatycznym może mieć jednak różne skutki. Ci, którzy sami zmian doświadczają lub po prostu wierzą w ich antropogeniczną przyczynę, zagłosują najpewniej na partie zielone lub lewicowe. Ale rośnie też grupa głosujących, którzy coraz ostrzej zaprzeczają, że klimat w ogóle się zmienia. Ważnym czynnikiem wpływającym na postawy przy urnie jest także zróżnicowanie kraju. W Brazylii, gdzie pożary lasów Amazonii wywołują niepokój prawie całego świata, społeczeństwo wybrało na prezydenta negacjonistę klimatycznego Jaira Bolsonaro – również dlatego, że degradacja środowiska widoczna jest szczególnie z dala od wielkich ośrodków miejskich i gęściej zaludnionych terenów. Pożary dżungli są tak odległe, że niemal dzieją się w innym kraju.

Jak widać, wciąż nie wszyscy rozumieją, że klimat mamy jeden, a jego zmiany dotkną każdego, bez względu na preferencje wyborcze.

Politolodzy w Australii od ponad dekady obserwują przechodzenie obywateli pokrzywdzonych przez zmiany klimatyczne na stronę Zielonych.

snym wzroście notowań Partii Pracy (2 pkt proc.) i właśnie Zielonych (1,7). Choć liczby te mogą się wydawać niewielkie, ordynacja wyborcza w tym przypadku dałaby popalić Partii Konserwatywnej. Taki przepływ wyborców przełożyłby się bowiem w parlamencie na aż 21 miejsc więcej po stronie Zielonych i laburzystów, czyli dwóch partii lewicowych i całkiem prawdopodobnych partnerów koalicyjnych. A ponieważ australijski parlament składa się tylko ze 150 deputowanych, liczby te pokazują, że nastawienie do klimatu może całkowicie zmienić układ sił.

postaci wśród młodzieży. Mobilizuje też innych do działania, wspierając chociażby protesty z cyklu *Fridays for Future*, w Polsce znane pod hasłem Piątki dla Klimatu. Ruch ten jest w Niemczech niesamowicie aktywny – kolejne manifestacje, organizowane raz na kilka miesięcy, odbywają się jednocześnie w ponad 500 niemieckich miastach, a zbiera się na nich łącznie nawet 250 tys. osób, głównie młodych. To ważne z punktu widzenia niemieckiej polityki, bo w wyborach samorządowych w niektórych landach można głosować już po ukończeniu 16. roku życia.

Wojciech Ganczarek Korespondencja z Urugwaju

– Z pensji nie starczało mi na wynajem, a co dopiero na kupno domu czy działki – mówi Ester. Samotna matka uśmiechniętego czterolatka studiowała filozofię, dziś pracuje w urzędzie gminy Montevideo, stolicy Urugwaju. – Okupacja to była jedyna droga. Czy się bałam? – powtarza moje pytanie. – Może trochę: że wyrzucą, że każą rozebrać dom, zawsze jest taka możliwość. Ale nie miałam nic do stracenia.

Własnymi rękami

„Gdy już wybierzesz odpowiednie miejsce do okupacji, najlepiej rozpocząć od niewielkiej, prostej konstrukcji, wykorzystując materiały, jakie znajdują się pod ręką”.

Neptunia to miejscowość wypoczynkowa 35 km od Montevideo. Na prawo od dwupasmowej autostrady rozciągają się uliczki z domkami weekendowymi i wakacyjnymi. To budynki starannie zaprojektowane, raczej zadbane, otoczone wystrzyżonymi trawnikami i strzeżone przez rasowe psy. Po lewej stronie drogi, dalej od morza, przeważają prowizoryczne konstrukcje z pustaków i metalowe kontenery zaadaptowane do zamieszkania. Ponad krzewy i drzewa obrastające skraje gruntowych dróg wystają drewniane budki i nieregularne gliniane ściany.

Gdy tylko pojawia się groźba eksmisji jednej rodziny czy większej grupy, sąsiedzi organizują się i blokują drogę z Montevideo.

– Przyjechałam, rozbiłam namiot i już się stąd nie ruszyłam – opowiada Ester. Pochodzi ze stołecznej klasy średniej. Jej ojciec jest dziennikarzem, znawcą opery i teatru. Ester wyprowadziła się z domu wkrótce po ukończeniu 18 lat. Długo wynajmowała mieszkania ze znajomymi. Później przez kilka lat zajmowała z chłopakiem opuszczony dom niedaleko centrum stolicy.

– Sąsiedzi powiedzieli, że właściciel nie pojawia się od przeszło dekady – wyjaśnia. Weszli, odmalowali ściany i mieszkali przez pewien czas.

Po urugwajskim kryzysie z 2004 r. Ester wyjechała do Hiszpanii. W Bil-



Urugwaj okupowany

Ostatni anarchiści stworzyli całe samowystarczalne osiedla. Żyją szczęśliwie, ale boją się eksmisji

bao, Barcelonie i na Minorce pracowała jako kelnerka i znów żyła w opuszczonych mieszkaniach. Po powrocie do kraju znalazła pracę w urzędzie gminy Montevideo. Wróciła na studia i do mieszkania z ojcem, potem wprowadziła się do znajomej. Z pensji nie starcza jej na wynajem mieszkania. – Zawsze marzyłam, by mieszkać

Był styczeń 2014 r., wyjątkowo deszczowe lato. – To była gęstwina, nie dało się nawet wejść – wspomina Ester. – Wynajęliśmy ciężki sprzęt, żeby wyciąć polankę pośrodku, postawiliśmy namioty. Pierwsze cztery kolumny domu stawialiśmy w strugach deszczu.

Ester cały czas pracowała, dojeżdżając codziennie półtorej godziny do Montevideo. W Neptunii spała pod namiotem, gotowała na kuchence turystycznej i woziła wodę od sąsiada. – Później dowiedziałam się, że jednym z sąsiadów jest Juan, z którym poznaliśmy się na wydziale filozoficznym – opowiada.

Ściany piętrowego domu Juana, 35-latka z Kolumbii, opierają się na drewnianych stelażach. Wypełnienie stanowi przede wszystkim mieszanina gliny i słomy, do tego recyklowane kawałki szkła, np. okrągłe drzwiczki od pralki robiące za okno, a kolorowe butelki – za witraże. Juan trafił do Urugwaju podczas wieloletniej podróży po kontynencie. Został, bo chciał skorzystać z darmowych studiów na publicznych uczelniach. Droga, prywatna edukacja w Kolumbii

w domu zbudowanym własnymi rękami – mówi – więc gdy pojawiła się okazja, zrobiłam kurs budownictwa ekologicznego.

„Najprostsza będzie standardowa budka 3 na 3. Sosnowe deski mierzą zazwyczaj 3,15 m długości i 15 cm szerokości, dlatego zbijając sześcian o boku 3,15 m, oszczędzamy sobie przycinania desek i znacznie przyspieszamy proces budowy”.

Na kursie poznała obecnych sąsiadów. – Namówili mnie i zaczęliśmy szukać terenu do okupowania. Tak trafiliśmy do Neptunii.

Jeden z domów w Barra de Valizas.

była dla niego nieosiągalna. Dom w Neptunii zbudował z pomocą sąsiadów, w przeciwieństwie do mieszkającej obok Nube, Argentynki, która wynajęła chłopaków ze spółdzielni budownictwa ekologicznego.

Po sześciu miesiącach spędzonych w namiocie i prymitywnej, drewnianej konstrukcji Nube poznała właściciela jednego z plażowych hotelików z Cabo Polonio, który zapłacił jej 80 tys. pesos (ok. 8 tys. zł) za murale na ścianach lokalu. – Takie cuda się zdarzają – zaręcza – musisz tylko się otworzyć na to, co niespodziewane. Wówczas magia i obfitość przychodzą nieproszone.

Przyszła magia i obfitość, a po nich nakaz eksmisji.

Kwestia prawna

Miasteczko Barra de Valizas również leży na wybrzeżu, ale bliżej stąd do brazylijskiej granicy niż do Montevideo. Centralną część miejscowości zajmują dawni mieszkańcy, często związani z rybołówstwem. Na północ od centrum, wzdłuż plaży, na szczytach wydmy, ciągnie się sznur konstrukcji z drewna i gliny.

– Widok na morze to fajna sprawa, ale na dłuższą metę wiatr jest nie do zniesienia – uprzedza Fabian, Argentyńczyk. – W dodatku morze postępuje, co roku wchodzi w głąb lądu. Widziałem, jak fale zabierały całe domy.

Dlatego Fabian wybudował się za wydmy. W obojętności leżą beładnie rybackie sieci. Brodaty 30-latek wychodzi z nimi o poranku, zanurza się po pas w wodzie i łowi. Wraca przed południem. – Zbliży się sezon, restauracje robią zapasy – tłumaczy. – Kupią wszystko, co wyciągniesz.

„Wziąć pod uwagę: przez 48 godzin od wejścia na okupowany teren policja ma prawo eksmisji bez nakazu sądowego. Najlepsze, co możesz zrobić w takim wypadku, to oddalić się i spróbować szczęścia kiedy indziej”.

– Taktyka jest następująca: rozpocznasz budowę w nocy z piątku na sobotę – wyjaśnia Fabian. – Wów-

czas masz dwa dni, żeby spokojnie zamknąć konstrukcję, bo w weekendy kontrolerzy z gminy nie pracują. A po 48 godzinach okupacji nie mogą cię już wyrzucić ot tak.

Kontrolerzy zresztą nie zjawiają się zaraz w poniedziałek. Często nakaz eksmisji dostaje się dopiero po kilku miesiącach. – Przychodzą, spisują dane, zostawiają nakaz eksmisji i na tym się kończy – opowiada Fabian. Mówi, że z Barra de Valizas nikogo do tej pory nie wyrzucono. Z wyjątkiem jednego, który wybudował się niemal w centrum miasteczka. – Urzędnicy sami zasugerowali mu, żeby się przeniósł nieco dalej, w głąb plaży.

– Wyrzucić to nas nie wyrzucą – zaręcza Juan, Kolumbijczyk z Neptunii. – Musieliby wysiedlić całą miejscowość, dziesiątki rodzin. To nierealne.

– Wyobrażam sobie, że tak było od zawsze: najpierw ktoś przychodził, zajmował teren, budował dom, a dopiero później zjawiało się państwo, które chciało na tym zarobić, zbierać podatki – dodaje Ester.



Ester mieszka w Neptunii od sześciu lat. Okupuje teren w głębi miejscowości. Pracuje w urzędzie gminy.

– Rybacy, którzy mają murowane domy w miasteczku, też okupują – zwraca uwagę Fabian. – Różnica jest taka, że oni zjawili się tu kilkadziesiąt lat wcześniej.

Okupacja w Barra de Valizas odbywa się na terenie państwowym. Dokładniej, na pasie przybrzeżnym wyznaczonym jako 150 m od linii przypiływu. W Neptunii sprawa jest bardziej skomplikowana. Jeszcze w latach 40. okoliczne tereny zostały zakupione przez przedsiębiorstwo Neptunia SA. Argentyńska spółka zamierzała sprzedawać działki pod letnie rezydencje. Interes się nie udał

i niedoszła dzielnica wypoczynkowa popadła w zapomnienie. Firma przestała opłacać podatki gruntowe, które po kilkudziesięciu latach przybrały rozmiar wielomilionowego długu. Mało prawdopodobne, by właściciel uregulował te zaległości. Niemniej jednak mieszkańcy okupanci skarżą się na naciski lokalnych korporacji, które za wszelką cenę starają się zdobyć prawa do atrakcyjnych terenów. – Chcą zagarnąć wszystko – denerwuje się Juan – najlepiej cały Urugwaj.

Gdy tylko pojawia się groźba eksmisji jednej rodziny czy większej grupy, sąsiedzi organizują się i w ramach protestu blokują drogę z Montevideo do Neptunii, paraliżując zarazem cały ruch turystyczny w kraju. – Nie wyrzucą nas. Jesteśmy zbyt silni – zaznacza Ester.

Zbieranina

– Gdy przyjechałem, nie było tu więcej niż pięć czy sześć domów – mówi Gustavo, 78-latek obsługujący niewielki sklepik w Neptunii. W młodości pracował przy hodowli koni u właścicieli ziemskich z północy kraju. Chwali się, że jeździł jako pomocnik na zawody do Brazylii, Chile i Argentyny. Podczas jednej z podróży dowiedział się o Neptunii. Chciał spróbować życia na swoim – kupił dwie krowy i zaczął rozwozić starym motorem mleko po domach. Siedmiu z jego ośmiu synów także pobudowało się na okupowanych terenach w sąsiedztwie.

Alejandro jest z Lascano na głębokiej prowincji. Zawsze pracował dorywczo: na budowach, przy żniwach, przy ścinie drzew. – Dobrze się jadło, mięso dawali. Tylko potem siedź w lesie pod namiotem całymi tygodniami – wspomina. W Neptunii sprzedaje chrust i kosi trawniki przy willach po południowej stronie drogi.

Dom Damaris, murowany, przysadzisty, świeżo oblepiony szarym tynkiem, przypomina bunkier. – Będą mieli sporo pracy, jeśli zechcą nas stąd wyrzucić – śmieje się ciemnoskóra kobieta w średnim wieku. Rodzina Damaris to migranci z Dominikany. ▶

► Mąż przyjechał do Urugwaju sam, sześć lat wcześniej. Znalazł pracę w Montevideo, ale wynajem zjadał mu większą część pensji. Gdy się dowiedział o okupacjach w Neptunii, przyjechał, założył swoje pierwsze *rancho* – jak nazywa się niewielkie konstrukcje z drewna i blachy – i wystawił pieniądze na bilet. Dziś mąż dojeżdża półtorej godziny do stolicy, gdzie pracuje jako ochroniarz. Damaris sprząta domy, a ich syn siedzi na kasie w supermarkecie.

Patricia, Argentynka, zanim sprowadziła się do Urugwaju na stałe, przyjeżdżała tu na wakacje. Chciała lepiej poznać miejscową muzykę, *candombe*, której uczyła się w domach kultury w Buenos Aires. W argentyńskiej metropolii zawsze brakowało jej poczucia wspólnoty – człowiek żył pośród czterech ścian, nie znał nawet sąsiadów. – Do *candombe* potrzebujesz co najmniej trzech bębnow różnej wielkości. To muzyka z definicji wspólnotowa – wyjaśnia.

Candombiści z Barra de Valizas spotykają się w środy i soboty. Kilkaście bębnow dudni w gwiaździste nadmorskie noce.

Wspólnota

– Mam ryż, czego brakuje? – pyta Alejandro. Często wpada do domu Kolumbijczyka Juana rankiem i bada, co będzie gotowane. Będzie gotowane, bezosobowo, bo o tej

Przez całe życie pracowałam, żeby opłacić czynsz. W czasach kryzysu musiałam spać na ulicy. Dopiero tutaj mogę odetchnąć.

porze dnia jeszcze nie wiadomo, kto się zabierze do kucharzenia: Juan, Nube czy ktoś z sąsiadów.

Przed południem zjawia się Nube z siatką owoców. Ona dysponuje lodówką, ale tylko Juan ma blender, więc to u niego Nube robi soki i rozdaje każdemu, kto akurat zajrzy do Juana.

– Buenos Aires to nie to samo miasto, w którym się wychowywałam – mówi. – Dzieciaki już nie wychodzą bawić się na ulicę, sąsiedzi zakładają dodatkowe zamki i kraty. Ludzie żyją w strachu i mieszkają w klatkach.

Nube zaręcza, że gdy była w ciąży z Ambar, słyszała wewnętrzny głos – to córka prosiła, by nie wychowywać jej w stolicy molochu. Dziś



Wielu mieszkańców Neptunii zarabia, grając w autobusach miejskich.

siedmiolatka gania boso między domami sąsiadów.

– Tej zimy grypa rozłożyła mnie na dwa tygodnie – opowiada Nube – i codziennie ktoś przychodził zapytać, jak się miewam. Ktoś zawsze coś ugotował, przyniósł drewno, rozpałił w piecu.

– Gdy ktoś ma kłopoty finansowe, gdy komuś rodzi się dziecko, a dziecko i problemy finansowe chodzą w parze – śmieje się Juan – organizuje się festiwale, koncerty, a zebrane pieniądze przekazuje potrzebującym.

– We wspólnocie czujesz się bezpiecznie i spokojnie. Wiesz, że masz na kogo liczyć – podsumowuje Nube.

Szkola również jest wspólnotowa. Ukryty w leśnej gęstwinie gliniany budynek najlepiej znaleźć, kierując się słuchem. Krzyki dzieci są znacznie skuteczniejsze niż GPS.

– Chcemy dla naszych dzieci szkoły alternatywnej, nie tak propagandowej jak państwowa – tłumaczy Ester. – To oczywiście wymaga większego zaangażowania rodziców.

I to od początku, bo już sam budynek szkoły postawili rodzice. Raz w tygodniu odbywają się zebrania, na których dyskutuje się o metodach nauczania, sprząta czy pracuje na rzecz placówki. – W tym roku zbieraliśmy miód, robiliśmy notatniki i likiery. Na sobotnim targu sprzedajemy chleby i ciasta – wylicza Ester.

Vis-à-vis szkoły stoi wspólnotowy dom kultury. W Neptunii działa rada sąsiedzka, biblioteka anarchistyczna, organizuje się koncerty miejscowych muzyków. – To jedyna taka dzielnica w Urugwaju – zapala się Vincent, sąsiad z południowej, legalnej części miasteczka. – Koncerty w każdy weekend, targi sztuki i zdrowej żywności. W każdą środę zbiera się damska grupa perkusyjna: 40 dziewczyn walących w bębny, wyobrażasz to sobie?

Wspólnotowa szkoła w Barra de Valizas działa w byłej siedzibie klubu wędkarskiego. Lekcje zaczynają się tu o dziewiątej rano. – Państwowa szkoła pracuje od siódmej – podkreśla Viviana – zimą dzieciaki wychodzą z domu po ciemku, marzną od lodowatego wiatru od morza. Nie rozumiem, czemu to ma służyć.

– Bo państwowa szkoła nie ma na celu cię wykształcić. Ma zrobić z ciebie użytecznego pracownika, a więc: wstawaj wcześniej rano i rób wszystko, co powie nauczyciel – skomentuje później Nube.

Viviana wychodzi do szkoły razem z synem. Gdy dzieciaki mają pytania, zostaje do południa, czasem dłużej. Na studiach pedagogicznych specjalizowała się w edukacji seksualnej i ta wiedza jest jej wkładem w funkcjonowanie szkoły. – Umówiliśmy się, że każde z rodziców pomaga w szkole raz na tydzień, ale w przypadku edukacji seksualnej dzieci mają pytania i wątpliwości znacznie częściej niż z matematyki czy geografii! – śmieje się.

Obecnie trwają starania, by szkoła dostała akredytację ministerstwa.

Życie na okupacji

Większość mieszkańców Neptunii kradnie prąd – przeciąga nielegalne przyłącza do sieci państwowej spółki energetycznej UTE; podobnie, jeśli chodzi o wodę. Niektórzy naciskają na urzędników w sprawie podłączenia liczników i płacą za prąd. Jednak UTE nie zawsze chce prowadzić kable po nielegalnych osiedlach. Dla okupantów z Barra de Valizas jedynym źródłem prądu są panele słoneczne. Wodę wyciąga się ze studni za pomocą ręcznych pomp.

„Polecamy toaletę kompostującą ze względu na wiele czynników: jest tania, łatwa w instalacji, (...) przyjazna dla środowiska i jest istotnym źródłem nawozu do domowych ogródków, dzięki czemu nasze odżywianie będzie zdrowsze, tańsze i smaczniejsze”.

Dom Viviany to jeden z tych, które stoją niemal na plaży. Z pustynnego krajobrazu wydm wyrasta struktura z kolorowych desek i przylegająca do niej szklarnia. W środku panuje mikroklimat puszcząński: wilgotny upał przesycony burzą zapachów jaśminu, pomidorów i pietruszki.

– To jeden z nieoczekiwanych, pozytywnych skutków legalizacji marihuany – usłyszę kiedy indziej. – Ludzie wrócili do uprawy ziemi, którą praktycznie porzuciło poprzednie pokolenie.

Rzeczywiście, jadąc przez urugwajską prowincję, zobaczymy setki tysięcy hektarów pastwisk z bytlem przeznaczonym na eksport mięsa i produktów mlecznych, jednak ani hektara cebuli. Im dalej od Montevideo, tym warzywa i owoce są droższe. W odległym Lascano skandalicznie drogie. Wszystko wozi się spod stolicy.

– Teraz, jak młódzież może sobie zasiać własne zioło, ubrudzi sobie ręce, zobaczy, jakie to fajne, i zaraz pomyśli: a jakby tak marchewkę jeszcze, sałatę?

W Barra de Valizas właściwie wszyscy dysponują większą lub mniejszą szklarnią. I wszyscy używają toalet kompostujących. W Neptunii domowe uprawy nie są aż tak

rozpowszechnione, bo w sezonie wielu mieszkańców wyjeżdża do pracy w miejscowościach bardziej turystycznych. Sezon rozpoczyna się w grudniu, kończy w marcu. Do miesięcy letnich dochodzi Wielki Tydzień, który w laickim Urugwaju nazywa się Tygodniem Turystycznym. – Chowamy wszystkie rzeczy – Nube wskazuje szafę zaimprovizowaną pod schodami. – Wynajmuję dom i jadę do Valizas na trzy, cztery miesiące.

Nube chodzi po plażach, sprzedając ręcznie robioną biżuterię i przekąski: bułeczki z serem i bazylią, ciasteczka z marihuaną. W Barra de Valizas wynajmuje łóżko czy miejsce na namiot. Takie domy jak ten Viviany w sezonie zamieniają się w hostele i pola namiotowe.

Inni neptunianie żonglują na skrzyżowaniach lub grają na instrumentach po restauracjach i w autobusach miejskich. Wchodzą z gitarą, ze skrzypcami i zbierają pieniądze od pasażerów. Juan rzeźbi w drewnie napisy z nazwami hoteli czy restauracji.



Alejandro przyjechał do Neptunii z głębokiej prowincji.

Ester z jej statą pracą w urzędzie gminy nie tylko kontrastuje ze stylem życia typowego mieszkańca Neptunii, ale wręcz czuje się dyskryminowana. – A gdy niedawno kupiłam sobie auto – na podjeździe jej domu stoi co najmniej 30-letni, pordzewiały fiat – to już dla wielu jest skandal! – śmieje się. – Wydawałoby się, że tutaj, wśród ludzi propagujących tolerancję, dyskryminacja nie powinna w ogóle istnieć. Ale istnieje, i to jaka! Jeśli nie myślisz tak jak oni, jesteś skreślony. Na rogach ulic oglądasz kolorowe tabliczki promujące solidarność i stosunki dobrosąsiedzkie.

W rzeczywistości wielu ludzi, którzy przyjechali tu z podobnymi ideałami: anarchizmu, wspólnotowości czy ochrony środowiska, dzisiaj unika się nawzajem. Dzień dobry sobie nie powiedzą.

W Neptunii działają aż trzy szkoły wspólnotowe. Druga powstała, gdy część rodziców uczniów pierwszej szkoły pokłóciła się z resztą o alternatywne metody nauczania. W analogiczny sposób utworzono trzecią. – Niedawno kilkoro rodziców zabrało swoje dzieci z naszej szkoły – dorzuciła Ester – i zdaje się, że będą zakładali swoją.

Z drugiej strony, jeśli wziąć pod uwagę brak kontroli państwa i mieszkankę społeczną, jaką tworzą mieszkańcy Neptunii: anarchiści, włóczędzy z połowy kontynentu, migranci zarobkowi z kraju i zagranicy, i tak panuje tu zaskakujący ład i sprawna samoorganizacja. Pilnuje się, by okupanci nie zajmowali więcej niż jeden teren na rodzinę. Nazwiska tych, którzy tę zasadę łamią i chcą się wzbogacić na sprzedaży

okupowanych działek, widnieją – wraz ze wskazaniem winy – na przystankach autobusowych.

Z informacji podawanych przez urugwajski dziennik „El País” wynika, że lokalne władze dążą do uregulowania sytuacji prawnej Neptunii i sprzedania okupowanych terenów zamożniejszym inwestorom. W ten sposób ta oryginalna dzielnica zamieniłaby się w kolejne skupisko letnich rezydencji, opustoszałe przez 10 miesięcy w roku, a w sezonie zajmowane przez wyższą klasę średnią z Montevideo i wczasowiczów z Argentyny. Morze jest tylko dla bogatych?

Flor, szczupła kobieta w średnim wieku, powiedziała mi: – Przez całe życie pracowałam, żeby mieć za co opłacić czynsz. W czasach kryzysu musiałam spać na ulicy. Dopiero tutaj mogę odetchnąć.

Wojciech Ganczarek

*Cytaty pochodzą z „Poradnika małego okupanta”, publikacji przygotowanej przez Bibliotekę Anarchistyczną w Neptunii.

E-galerianki

W 2020 r. jedno jest pewne. Waszych dzieci nie ma w galeriach handlowych. Są na Tinderze, Snapchacie i TikToku



Magda Mieśnik, Piotr Mieśnik

– *Like a virgin, hey, touched for the very first time.* – Usta naśladują słowa lecącej w tle piosenki w przerysowany, wręcz karykaturalny sposób. – *Like a virgin.* – Wskazujący palec wędruje od warg, przez biust i brzuch aż do krocza. Język, język też jest ważny. Ona oblizuje się w przeciągły, podniecający sposób. Puszczając zachęcająco oczko.

– Ola! – słycać wołanie. – Ola! – Raz jeszcze. – No, Olka, ogłuchłaś? – W głosie czuć już ziryutowanie. Drzwi się uchylają.

– Chwila, mamo, TikToka nagrywam! – drze się i pośpiesznie wyciera karminowo czerwone usta o rękaw bluzy, którą narzuciła. Bo przed chwilą miała na sobie tylko skąpy top. Z napisem *I am so a virgin!*

– Oluś, ile razy ci mówiłam, żebyś nie zamykała drzwi i nie słuchała tak głośno muzyki, co? – Matka w kuchni powtarza to, co pewnie jest codzienną mantrą milionów rodziców na całym świecie. A Aleksandra, tak jak inne nastolatki, przytakuje tylko milcząc i robi minę niewiniątka.

– Zrobiłam sobie tylko przerwę w czytaniu lektury – przejmując pałeczkę i stara się wpędzić matkę w poczucie winy. Dzisiejsze dzieciaki to świetni manipulatorzy.

– To w ramach przerwy wyjmij z zamrażalnika mięso na obiad, a później obierz ziemniaki – prosi matka, choć gdzieś w duszy pobrzmiwa jej, że może jest za ostra, nie daje luzu ukochanej jedynaczce. Tym bardziej że młoda źle się poczuła i nie poszła

dziś do szkoły. – A potem odpocznij trochę! – rzuca już bardziej radośnie kobieta, zabiera palto z krzesła i wybiega z domu. – Bądź grzeczna, widzimy się po pracy – dodaje, będąc już jedną nogą na klatce schodowej.

– Dobrze, mamusiu, będę – odpowiada Ola już sama do siebie, zamykając drzwi.

Mięso i ziemniaki mogą poczekać. Oprócz TikToka jest przecież tyle innych rzeczy do ogarnięcia. Trzeba nagrać jakiegoś snapa, wrzucić story na insta, zobaczyć, czy nie sparował się z nią ktoś fajny na Tinderze. „Dzień bez szkoły, rodzice w pracy, mam cały dzień dla siebie”, myśli, składając swój szkolny zestaw i chowając go

i... nadeszła pora na kulminacyjny moment. Wystawiła język, najmocniej, jak mogła. Na tym jednak nie skończyła. Dotykając nim niemalże brody, trzymała na wierzchu tak długo, aż zaczęła cieknąć z niego ślina. (...) Do nagrania dodała hasztag „ahegao”. Już po kilku minutach telefon zaczął wibrować od powiadomienia o nowych wiadomościach. (...) Tym bardziej że Ola dopisała, już dla tych całkiem niekumatych: „Szukam na teraz, za...”.

Głównym problemem ze znalezieniem sponsora w internecie nie jest ich brak, ale... nadreprezentacja chętnych. Dlatego dziewczyna stosowała sposób selekcji, który kiedyś

Głównym problemem ze znalezieniem sponsora w internecie nie jest ich brak, ale... nadreprezentacja chętnych.

do szafy. Strój ten dawał nauczycielom i rodzicom złudne poczucie egalitaryzmu, przynajmniej w szkolnych murach. Naiwni zapomnieli, że pod tymi mundurkami kryją się jeszcze te wszystkie iPhone'y, biżuterie, stringi z Victoria's Secret, kosmetyki. A to wszystko kosztuje. I to całkiem sporo.

W internecie dostała już kilka wiadomości, ale nic interesującego, nic konkretnego. A przecież jasno określiła swoje potrzeby: chciała nowych perfum i bielizny. „Na już, tylko real”.

Postanowiła nagrać swój popisowy numer na Snapchata. Ustawiła telefon i przed okiem jego kamery zaczęła się delikatnie dotykać. Sutki jej nienachalnie dużych piersi przebijały przez top. W filtrach dorobiła sobie wypieki na twarzy, zrobiła zęza

podpowiedziały jej koleżanki ze szkoły. Oczywiście od razu odrzucała tych, którzy bez powitania pisali: „Chcesz się ruchać?” albo „Kiedy? Gdzie? Za ile?”. Wybierała tych, którzy potrafili kulturalnie zagadać i oczywiście wyglądali w miarę atrakcyjnie na profilowym zdjęciu.

„Hej, jeśli naprawdę chcesz ze mną porozmawiać, a potem się spotkać, musisz mi udowodnić, że jesteś realny i konkretny”, odpowiadała im w pierwszej wiadomości. W kolejnej uściślała: „Wyślij mi Blikiem 50 zł albo doładuj mi za tyle kartę. Po tym potwierdzeniu możemy się umawiać”. Dla większości internetowych napinaczy i seksualnych gawędziarzy była to skuteczna zaporą. Gdy tylko dostawała powiadomienie o zrealizo-

waniu transakcji, wracała do rozmowy. I pewnie, w internecie mnóstwo było naciągaczek, które wyciągały tylko w ten sposób pieniądze, mając wizję spotkania. Ale Ola nie zawracała sobie głowy takimi gierkami. Szybko obliczyła, że potrzebuje ok. 500 zł. Nie miała więc czasu schylać się po drobne. Z Janem wymieniała się numerami.

– Kiedy? Nawet teraz. Dojadę uberkiem – starała się w tych rozmowach być pozytywna i otwarta, tak żeby facet w ostatniej chwili się nie rozmyślił. – Potrzebuję perfum i bielizny... tak... a co byś chciał w zamian? Nieee, nie ma opcji. Mogę ci pomasować, może polizę raz albo dwa razy – dobijała targu. – A czemu miałabym się nie całować? Całowanie jest przecież zajębiste. Nie, do galerii tylko po zakupy, na zabawę musimy wyskoczyć gdzie indziej, pa! – Odłożyła słuchawkę. Nie musiała się szkować, bo była gotowa od wczesnego rana. Poszła więc jeszcze szybko obrać ziemniaki.

•
– Czy ma pan naszą kartę stałego klienta?

Pokręcił przecząco głową, chciał tylko zapłacić i jak najszybciej stąd wymchnąć. Nie potrzebował dodatkowego zainteresowania.

– Niech pan zapyta córę, może ona ma? Trzecia para stringów byłaby gratis. – Ekspedientka zerknęła na stojącą nieco w oddali Olę.

– Nie, nie, to wystarczy. – Poczuł, jak pąsowieje. – Zapłacę gotówką – dodał szybko i zaczął szukać po kieszeniach. Nie chciał, żeby żona na wyciągach z konta zauważyła później, że robił zakupy w sklepie z bielizną.

– Mówiłam ci, że centra handlowe to przypał, zawsze można kogoś znajomego spotkać. – Olka szła z nim, ale półtora kroku od niego. W razie czego: nie znają się.

– Był kiedyś taki film „Galerianki” – odezwał się on, chociaż nie wiadomo, czy chciał zażartować, czy tylko ją poinformować.

– Oglądałam z rodzicami, straszna ściema. Po co wystawać w galeriach, jak można się umawiać przez internet? – zabiła ich dalszą rozmowę.

Za to później, w jego aucie zrozumieli się już bez słów. Rozpiął rozporęk, a ona zaczęła go pieścić dłonią.

– Fajne, naprawdę fajne masz to auto – stwierdziła, miętosząc go. – Plusem jest też to, że nie ma skrzyni

biegów – roześmiała się. – To przeszkadza w takich spotkaniach – dodała. (...) – W sumie to fajny jesteś – powiedziała, odrywając się na chwilę od niego. To podziało skuteczniej niż wszystkie pieszczoty.

– Zaraz dojdę – wycedził trochę załopotany.

– Masz chusteczki? – zapytała trzeźwo. Przecząco pokręcił głową. (...)

– Za to musisz mnie teraz jeszcze podrzucić w okolice domu – postanowiła wynegocjować pozaumowną przysługę (...). – Zapamiętaj sobie mój *nick*: virgin2003. Może kiedyś będę czegoś jeszcze potrzebowała, narka!

Szlag, spóźniła się. Starzy byli już w domu.

– Hej, wróciłam! – zawołała od progu. Matka miała już ją obsztorcować, ale Ola wyprzedziła uderzenie. – Byłam pożyczyc zeszty, już się czuję lepiej. Jutro pójde do szkoły – po-

Pod mundurkami kryją się iPhone’y, biżuterie, stringi z Victoria’s Secret, kosmetyki. A to wszystko kosztuje.

wiedziała, siadając do zastawionego obiadem stołu.

– Nie zapomniałaś o czymś? – pierwszy raz odezwał się ojciec, który do tej pory był zajęty przerzucaniem stu kilkudziesięciu kanałów w kablówce.

Dziewczyna zamarła.

– Poproszę powitalnego buziaka, tu. – Ojciec wystawił policzek. – Ładnie pachniesz – dorzucił, gdy Ola spełniła jego prośbę.

– Dziewczyny dały mi próbki z Sephory. – Miała przygotowaną odpowiedź na każdą wątpliwość.

Matka wniosła mięso i ziemniaki.

– Jak ci minął dzień, kochanie? – zapytała.

– Nuuuuda – przeciągle odpowiedziała Ola i rzuciła się na jedzenie, byle uniknąć dalszych rozmów. Już nawet sama uwierzyła w to, że strasznie wynudziła się w domu i stęskniła za szkolną paczką. Jeśli zdołaś okłamać samego siebie, z resztą pójdzie ci już łatwo. I tylko wibrujący w kieszeni telefon nie dawał jej spokoju.

•
W 2009 r. działające na rzecz dzieci i młodzieży Stowarzyszenie Program STACJA w ramach projektu „Promowanie zdrowego stylu życia i odpowiedzialnych zachowań seksualnych

w kontekście HIV/AIDS i STI” podjęło się zbadania zjawiska „galerianek”, które stało się głośne po filmie o tym samym tytule. (...)

„Galerianki” opisywali jako młode dziewczyny, noszące białe lub różowe kozaczki, minispódniczki, imitację biżuterii – ubrane kiczowato i tandetnie. Ich zachowanie określano jako krzykliwe, próbujące zwrócić na siebie uwagę, wyzywające. Jednak zapytani o szczegóły dotyczące samych galerianek oraz ich relacji ze sponsorami nie potrafili posłużyć się własnymi obserwacjami czy konkretnymi przykładami, które osobiście widzieli lub o nich słyszeli (...).

Badacze zwracają uwagę, że to nie galerie handlowe, ale właśnie internet „wydaje się najsprawniejszym i najprostszym sposobem komunikacji dającym złudne poczucie bezpieczeństwa, zapewniającym pozorną anonimowość”.

Nie szczędzą też gorzkich słów, choć nie wprost, wobec filmu, który został nawet nagrodzony Złotymi Lwami. „Medialne nagłośnieńskie jaskiegoś problemu, bez uprzedniego zbadania go, może nieść różne konsekwencje. Może np. zdarzyć się tak, że to nie odbiór społeczny będzie reakcją na zjawisko, lecz odwrotnie: medialne wykreowanie obrazu zjawiska przyczyni się do jego rozpowszechnienia (...)”, konkludują Monika Grotecka i Katarzyna Rżanek z Instytutu Profilaktyki Społecznej i Resocjalizacji Uniwersytetu Warszawskiego.

W 2020 r. jedno jest pewne. Wszyskich dzieci nie ma w galeriach handlowych. Są na Tinderze, Snapchacie i TikToku.

•
Olę poznaliśmy i spotkaliśmy się z nią dzięki jednemu z portali internetowych, na początku 2019 r. Od tego czasu jest tam aktywna i umawia się na seks za pieniądze.

Fragmenty książki
Magdy Mieśnik i Piotra
Mieśnika *Prostytutki.
Tajemnice płatnej miłości*,
W.A.B., Warszawa 2020



✉ Koszmarne drogie mieszkania

PRL praktycznie rozdawała mieszkania. Czasem czekało się latami, ale wykupowało się mieszkanie za kilka średnich pensji i nie trzeba było brać ślubu z bankiem na 30 lat, żeby kupić kilkudziesięcioletnią dwupokojową norę w bloku. Ale teraz jest lepiej, bo mamy mieszkania po kilkaset tysięcy praktycznie od ręki. Ot, znowu ta zła „komuna” i jej budownictwo.

Michał Czarnowski



A po 30 latach, kiedy już spłacimy naszą dziuplę, nadejdzie starość z bardzo niską emeryturą. Oddamy wtedy bankom nasze mieszkanie za bezcen, za dopłatę do emerytury. Złote interesy bankierów i nasza nędza idą w parze.

Anita Duran

System stosowany w PRL był znośniejszy od dzisiejszego, dożywotniego niemal kredytu hipotecznego, który nie pozwala młodym ludziom na samodzielność. W PRL kredyt ciążył na mieszkaniu, a nie na lokatorze. W każdej chwili można było zrezygnować z mieszkania (i/lub z członkostwa w spółdzielni), a obowiązek spłaty kredytu spoczywał na nowym lokatorze. Mieszkania nie stały puste w oczekiwaniu na lokatorów. Kredyt był udzielany spółdzielniom na 40 lat. Po tym okresie nadwyżki z czynszu szły na inwestycje lub bieżące naprawy.

Dzisiaj młodzi opóźniają życiowy start m.in. z powodu braku mieszkania. Trudno im się usamodzielniać, gdy dyndają w pętli kredytu hipotecznego lub są na garnuszku u rodziców. A rodzice do kosztów wychowania dzieci muszą dodać po pół miliona na zakup mieszkania dla nich. Później „młodzi” nie mają czasu na dzieci. Jak to jest, że po 30 latach dobrobytu ludzie nie chcą mieć potomstwa, a w najczarniejszych latach stanu wojennego mnożyli się jak króliki?

Marek Głowinkowski

f Jakie są największe wady prezydenta Dudy?

Niesamodzielność, niedojrzałość, brak luzu w kontaktach międzynarodowych, brak przyjaciół. Powinien powiedzieć:



dzie: Co mi tam Putin, jadę do Jerozolimy, by spotkać tam moją ulubioną panią prezydent Chorwacji, która ustępuje, oraz kolegów z Trójkąta Weimarskiego, Emmanuela i Franka-Waltera.

No i oczywiście jest totalnie uzależniony od PiS i jego prezesa, ale to wszyscy wiedzą.

Wojciech Nockiewicz

1) Uzależnienie od prezesa rządzącej partii, brak politycznej samodzielności.

2) Nadskakiwanie Ukrainie, która nie może się odciąć (mimo zmiany władz centralnych) od kultu faszystowskich band UPA.

3) Przyklaskiwanie kultowi „żołnierzy wyklętych”, a wiemy, że niektórzy mają na sumieniu morderstwa i rabunki.

Damiano Strączyk

Dorzuć krzyk. Krzyczy, zamiast mówić, jakby krzykiem próbował coś zagłuszyć.

Grzegorz Kowalczyk

f Anders na białym koniu nie przyjechał

Jak ja kocham bajkę, że gdyby przyjęto plan Marshalla, byłoby u nas jak w zachodnich Niemczech. Jugosławia go przyjęła. I co, było tam jak w zachodnich Niemczech? U nas też by nie było, bo przed wojną nie było u nas jak w Niemczech. W 1945 r. Polska miała do odrobienia nie tylko zniszczenia wojenne, ale i niemal stuletnie zapóźnienie cywilizacyjne w stosunku do Zachodu. Wzmocnienie gospodarki, choćby do poziomu Niemiec w 1939 r., musiałoby kosztować – i kosztowało – mnóstwo pieniędzy i dziesięciolecia pracy. Dostalibyśmy na to? Wątpliwe. Nikt z zewnątrz nie był tym w stosunku do Polski zainteresowany, a tym, żeby Polska miała na czym zarabiać, zapewne jeszcze mniej. Teraz zresztą też nie jest.

Krzysztof Guderski



Poteoretyzujemy. Przyszedł Anders, wyzwolił kraj. Jakimś cudem Stalin oddał Polskę pod zachodnią okupację (skoro bycie w strefie wpływu ZSRR według obecnej propagandy było okupacją, to analogicznie nazywajmy strefę wpływu Zachodu). Okupant wymusza na nas wprowadzenie planu Marshalla. Polska jest zacofanym krajem rolniczym z przedwojennym systemem kapitalistycznym. Zaczyna się odbudowa, tylko za co? Zaciągane są pożyczki i kredyty, które spłaci dopiero n-te pokolenie. Polska zostaje zmieniona w dojną kolonię, a Polacy w wyrobników, tanią siłę roboczą, czyli w to, co mamy dziś. Nie ma tanich mieszkań spółdzielczych, tylko deweloperskie lub na wynajem. Edukacja jest niepotrzebna wyrobnikom, korzysta z niej jaśniepaństwo. Służba zdrowia prywatna – tylko dla najbogatszych. Raj na ziemi, nie ma co.

MC

✉ Nikt mnie nie skusi i nie przestraszy

Podziwiam wiedzę, znajomość ludzkiej psychiki i logikę sędzi Piwnik w formułowaniu stwierdzeń (PRZEGLĄD nr 4). W tym smutnym dla polskiego prawa czasie jest ona jasnym punktem. Dlaczego więc prawnicy – mądrzy jak ona i pełni dobrej woli – nie proponują takich przepisów, które byłyby logiczne i zgodne z oczekiwaniami ludzi zmuszonych czasami zetknąć się z prawem? Jestem byłym budowniczym elektrowni, produkowany w nich prąd nie ma przynależności partyjnej i nie ma znaczenia, czy elektrownia powstała w PRL czy później. Budowaliśmy, bo kraj potrzebował energii, a 20. stopień zasilania nie jest przyjemny dla społeczeństwa. Podobnie z prawnikami (sędziami): mają działać odpowiedzialnie, niezależnie od tego, jaka partia jest u władzy, bo służą społeczeństwu!

elma

Źródło: fakty.interia.pl



Ilu was? Nie raz

Ale w tym kotle się kręci! Pisaliśmy niedawno o kłęsce polityki promocji polskiego handlu. 70 biur, które otworzyła na całym świecie Polska Agencja Inwestycji i Handlu, to wielka porażka. Biura są niewidoczne, ich adresy pojawiają się i znikają, PAIH ma kłopoty z obsadą, a Polska topi w tym przedsięwzięciu miliony. Innymi słowy, pomysł, by promocję polskiej gospodarki wyprowadzić z placówek dyplomatycznych i zbliżyć do biznesu, upadł, zanim jeszcze zdążył się wyprostować.

Do tego doszły sprawy finansowe i lokalowe. Rychło się okazało, że biura mają pieniądze tylko na przeżycie, a nie na wielkie akcje promocyjne (może to i dobrze). Przy tym, decydując się na otwieranie zagranicznych biur handlowych, zamykano działające przy ambasadach wydziały promocji handlu i inwestycji. Ich personel odwołano do kraju, a opuszczone siedziby często niszczały. I były kolejnym przykładem marnotrawstwa.

Ale, uwaga, to wszystko może się zmienić!

Oto bowiem na scenie pojawiło się Ministerstwo Rozwoju. Po pierwsze, to resort kierowany przez Jadwigę Emilewicz, czyli jest we władaniu gowinowców. Po drugie, przejęło ono kompetencje m.in. dawnego Ministerstwa Gospodarki. I teraz Jadwiga Emilewicz zapytała: „Skoro jednym z zadań Ministerstwa Rozwoju jest promocja gospodarcza, to dlaczego nie mam do tego narzędzi?”. Dawne Ministerstwo Gospodarki je miało, były to niedawno zamknięte wydziały promocji handlu i inwestycji. Z kolei PAIH jest częścią Polskiego Funduszu Rozwoju, czyli spółki, której udziałowcami są skarby państwa i Bank Gospodarstwa Krajowego. Ministerstwu Rozwoju nic do niego.

I co się stało? Najpierw minister Emilewicz zaangażowała się w projekt nowelizacji ustawy o działach. Trafiła ona do Sejmu jako projekt poselski i już powinna opuścić parlament. A kiedy prezydent ją podpisze, otworzą się nowe możliwości – Ministerstwo Rozwoju będzie mogło tworzyć placówki zagraniczne, mianować radców handlowych.

Jak będzie to robić? Czy zamierza reaktywować wydziały promocji handlu i inwestycji? Nie wszędzie powrót będzie możliwy. Gdy likwidowano WPHI, budynki, lokale przekazano MSZ. Część budynków została sprzedana, część zajęta przez dyplomatów. Teraz trzeba będzie budować wszystko od nowa. Wynajmować, kupować.

Polska za chwilę będzie miała dwie służby zajmujące się promocją gospodarki. Obie w budowie. Z jednej strony, będzie 70 biur podległych PAIH, z drugiej – nieznaną liczbą radców handlowych.

Czy te struktury będą się dublować? Ależ oczywiście!

Ale dzięki temu minister Emilewicz otrzymała ułudę wpływu na promocję polskiej gospodarki. No i odpowiednią liczbę dobrze płatnych etatów. Dla małej, ambitnej partii to ważna sprawa.

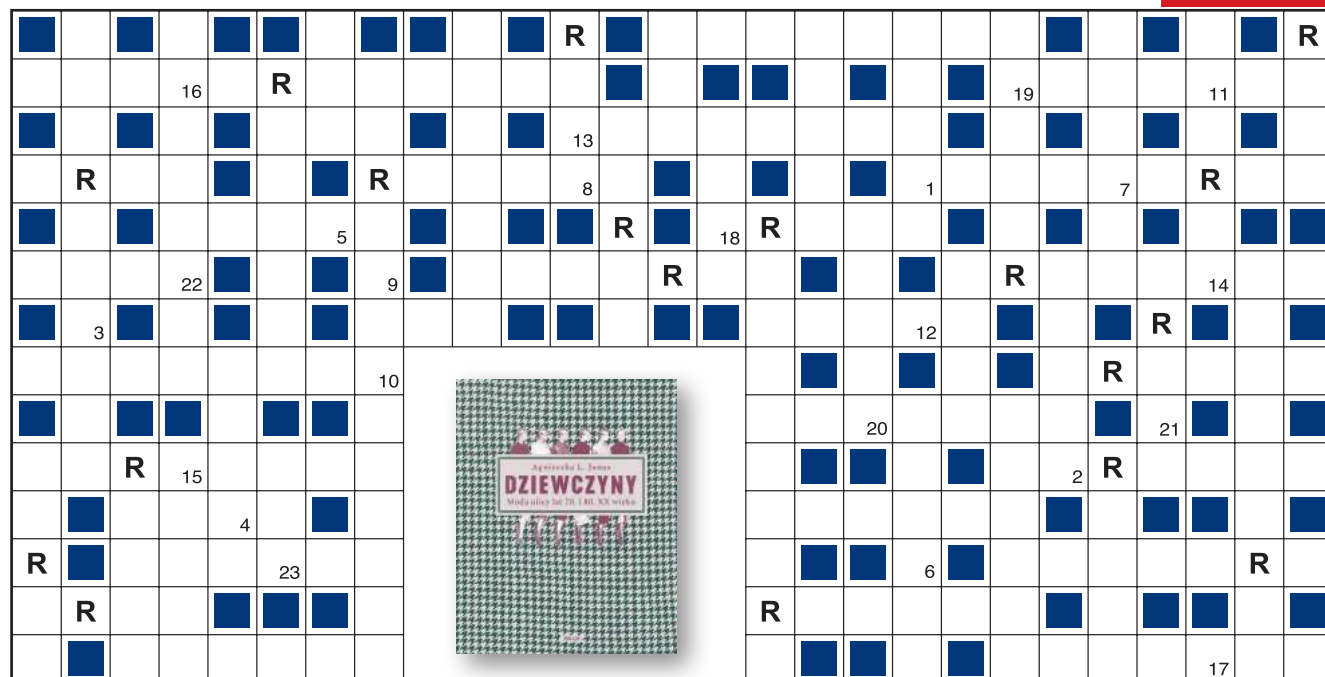
Wszystko wraca w stare koleiny. Może więc jeszcze dwa zdania – różnie w różnych krajach promocja polskiej gospodarki powinna wyglądać. W krajach, w których państwo ma duży wpływ na gospodarkę, gdzie ważne są kontakty na państwowym szczeblu, sprawy gospodarcze powinny być domeną placówek dyplomatycznych, ponieważ immunitet i odpowiednia ranga rozmówcy wzmacniają pozycję. Z kolei w krajach Unii spokojnie wystarczą biura PAIH.

Wszystko można. Tylko trzeba z rozumem.

Attaché

Wesołe jest życie staruszka. 112-letni Japończyk Chitetsu Watanabe z miasta Joetsu świętuje wpisanie go do Księgi rekordów Guinnessa jako najstarszego mężczyzny na świecie.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- drugie imię Presleya
- „Toccata... i fuga C-dur” Bacha
- dział matematyki powstały już w starożytności
- przystojniak z planu
- bywa kwaśnych jabłek
- obok lpy dla piwowoza
- „...konna” Isaaka Babla
- Kopciuszek z niego uciekł przed północą

- oddziałuje na chorego swoją energią
- skomponował „Niemieckie requiem”
- członek ludu z Botswany i Namibii
- może szczerstwieć
- Dominik... – Adam Bahdaj jako autor kryminałów
- woli inne życie niż podróżniczka

- straż zbrojna, asysta honorowa
- zagwozodka dla tłumacza
- domek z bryt ubitego śniegu
- pobieranie pieniędzy z tytułu weksli, czeków
- gin – z dodatkiem jego jagód
- książę bez Trwogi, a król bez Ziemi
- zmienno-barwna jaszczurka
- typ, rodzaj wyróżniany w klasyfikacji
- policyjny lub kolejarzki niesłodki
- „...z chmurek prześwitywał jesienny”, śpiewał Niemen
- woda ze środkiem piorącym

- nakrycie na tapczan
- w złotnictwie metoda zdobienia czarnym rysunkiem
- lekkomyślność
- powalenie na deski
- karny, harcerski lub szkoleniowy
- co kraj, to on
- kuchenny pochłaniacz
- Abbon z Fossanovy z „Imienia róży”
- spec od chorób i urazów narządów ruchu
- gaz do odkażania wody
- drobiazg przypominający kogoś, coś
- interes działaczy ponad wszystko
- do napychania poduszek
- szop... bo płucze pokarm
- wulkaniczny, węglowy, gwiezdny
- dawniej o księgowym, dziś bywa spisowy

- Dakar, Barbórka albo Monte Carlo
- w spa lub w hamaku
- wonna na rabatach, żółta na barwnik
- samuraj bez pana
- besztanie, tajanie
- miasto w Anglii, od niego gra owalną piłką
- po grecku na polskim stole
- ...województwa – też z radnymi
- aksle i lutze w żywności
- po kruchym lodzie lub na palcach
- tekturowa na kielbaskę z grilla
- sztuczka, podstęp
- odbicie łap na ziemi
- w niej pasta do zębów
- ...Ciepłak – okularnica z serialu
- stolica, huta i auto
- towarzystwo ubezpieczeń jak rzeka

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-948”. Do rozlosowania książki „Dziewczyny. Moda ulicy lat 70. i 80. XX wieku” ufundowane przez Arkady. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 23 lutego 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-945” z 2 lutego: Nie ma windy do sukcesu. Nagrody otrzymują: Anna Majchrzycka ze Szczecina, Bogumił Przybyło z Dobczyc, Grzegorz Szustak z Wrocławia.

PENETRACJE

zwierciadło **GRZEGORZ ZYGADŁO, MAŻ OLGI TOKARCZUK**

Dobry związek nie polega na ściganiu się, porównywaniu. Z takiego pozornego niedopasowania jak nasze wynika coś bardzo budującego. Zawsze wiedziałem, że mam do czynienia z kilkoma Olgami: kobietą, pisarką, zaangażowaną obywatelką. A jednocześnie zawsze stawiałem na to, że w pierwszej kolejności jesteśmy przyjaciółmi, a dopiero potem kochankami. Wydaje mi się, że na tym fundamencie zbudowaliśmy całą naszą relację. Czasami klócimy się tak gwałtownie, że potem zastanawiamy się, czy nie powinniśmy spróbować jakiejś terapii. To, co nazywamy kłótnią, jest *de facto* sporem, budującą interakcją obecną w każdym dobrym związku; tym bardziej u nas, w parze, która się ze sobą nie rozstaje.

VIVA! **TOMASZ SEKIELSKI, REPORTER**

Po trzech latach mieszkania z Anią przyszedł teść zabrać mnie do kuchni, nalał rozmiękczacza: „To napijmy się, Tomek, i powiedz mi, czy ty moją córkę w ogóle traktujesz poważnie?”. Odpowiedziałem, że tak. „To kiedy ślub?”. Rzuciłem więc bez zastanowienia: „W październiku”. Zrozumiałem, że nie ma już na co czekać. Jeszcze tydzień przedtem zastanawialiśmy się, czy w ogóle do tego dojdzie. Miałem jednak przed oczyma mojego teścia, byłego komandosa, który pozował na groźnego. Pomyślałem więc, że nie

mogę teraz powiedzieć, że znowu przesuwamy datę. Wypożyczyłem z muzeum w Otrębusach sportowego MG, model z lat 30. ubiegłego wieku. Czerwony, dwuosobowy kabriolet.

POLSKA **MAREK KAMIŃSKI, FILOZOF, PODRÓŻNIK**

Podczas mojej pierwszej podróży na bieguna, na samym początku byłem skupiony wyłącznie na celu. Liczył się tylko on, plan był więc taki, że jeśli coś mi w jego zdobyciu będzie przeszkadzać, przerywam ekspedycję. Dopiero potem, idąc, zrozumiałem, jak błędę w swoim myśleniu. Że to droga jest przecież tym, co najwartościowsze. Cel tylko punktem, który ją znaczą. Nie należy go przeceniać.

STYL **JOANNA MORO, AKTORKA**

Na co dzień chodzę w płaskich butach, a w „Tańcu z gwiazdami” musiałam utrzymać równowagę na szpilkach, czasem stojąc na jednej nodze. Kryzys przyszedł przy passo dobre – miałam z podłogi skoczyć na ramię partnera! „Nie jestem kotem!”, krzyczałam. Bałam się, że zrobię krzywdę sobie albo jemu. Po kilku próbach zobaczyłam, że daję radę. To doświadczenie ze mną zostało: nie mów „niemożliwe”, zanim nie spróbujesz. Odkryłam, że taniec może być uzdrawiający dla związku. Wcześniej nie miałam tyle czułości dla bliskich. Po tej przygodzie moje małżeństwo rozkwitło!

Aby język giętki...

JÓZEF HEN O TADEUSZU RÓŻEWICZU

Powiedział mi, kiedy wybierałem się do Sztokholmu: „Powiedz im, żeby dali nam Nobla na dwóch: ja się chętnie z tobą podzielę”.

PROF. STANISŁAW OBIREK O KARD. STANISŁAWIE DZIWISZU

W Watykanie o awansach decydowała nie tylko ortodoksja, ale także grube koperty.

JOANNA SZCZEPKOWSKA O TVP

Nie można legitymizować swojej obecnością niczego, co ma TVP w nazwie.

ALEKSANDER HALL O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM

Sądzi, że prędzej czy później użyłaby wolną rękę w urzędowaniu Polski na swoją modłę.

MARIUSZ TRELIŃSKI O „HALCE”

To historia o krwawej ranie, która podzieliła nasze społeczeństwo. Każdy naród potrzebuje siebie idealizować, wybielać. Widzieć rzeczy piękne tam, gdzie pięknie nie jest.

ANNA MARIA JOPEK O DUSZY

Usłyszałam kiedyś po koncercie: „Pani głos jest głosem mojej duszy”. Nie można powiedzieć niczego wspanialszego komuś, kto śpiewa.

OLGA CHAJDAS O PARTNERCE

Kasia Adamik jest piekielnie zdolna i ma doskonałą intuicję. Mówi się: „wyssać coś z mlekiem matki” i w jej przypadku (Agnieszka Holland) coś w tym jest.

ARKADIUSZ JAKUBIK O PLANACH

Najbardziej nęci mnie zagranie w czymś z literatury rosyjskiej, którą uwielbiam.

PAULINA SMASZCZ-KURZAJEWSKA O KRYTYKANCTWIE

Żyjemy pod ostrzałem ocen i krytykanctwa: w pracy, w domu, w szkole, na ulicy. Wszyscy się na wszystkim znają i każdy zrobiłby wszystko lepiej.

MAŁGORZTA FOREMNIAK O CÓRCIE ALEKSANDRZE

Czasem, jak dyskutujemy, w Warszawie słychać łoskot ścierającego się poroża.



Kandydatka na prezydenta z generałem. Małgorzata Kidawa-Błońska podczas obchodów 100-lecia zaślubin Polski z morzem w Pucku, w towarzystwie odtwórcy roli gen. Józefa Hallera.

Nie jesz? Nie idę z tobą do łóżka

Wspominanie o jedzeniu zwiększa szanse na romantyczne (lub erotyczne) spotkanie – twierdzi portal randkowy Zoosk.com. Z jego badań wynika, że randkowicze, którzy na swoich profilach napisali o guacamole, czyli meksykańskim sosie na bazie awokado, otrzymywali średnio o 144% wiadomości więcej niż ci, którzy nie wpadli na taki pomysł. Opłaczalne są także m.in. wzmianki o ziemniakach (101%), czekoladzie (100%), sałatkach (97%) oraz sushi (93%), a nawet o kanapkach (55%). Portal ustalił ponadto, że „antyafrodyzjakiem” jest afiszowanie się z miłością do dżemu lub kurczaka smażonego w głębokim tłuszczu.

Miłość skazana na pożarcie

Ogród zoologiczny w San Antonio w Teksasie za garść dolarów oferował innowacyjną terapię po nieudanych związkach. „Możesz kupić karalucha za jedyne 5 dol., nazwać go imieniem byłego/byłej, a my w walentynki nakarmimy nim jedno z naszych zwierząt”, zachęcano zawiedzionych. Ofertą dla osób, które odczuwają szczególnie złe emocje wobec eks, był zakup szczura za 25 dol. na przekąskę dla gadów. Karmienie można było oglądać bezpośrednio w ogrodzie zoologicznym lub za pośrednictwem transmisji na Facebooku, a osoby, które zdecydowały się na „rytuał”, otrzymały specjalny certyfikat.

Bрудna wojna o nazwę

W 2018 r. firma motoryzacyjna Ferrari ogłosiła, że pierwszy SUV tej marki będzie się nazywał Purosangue, czyli czysta krew. Kłopot w tym, że w 2013 r. identyczne miano przyjęła włoska fundacja walcząca z dopingiem. Przedsiębiorstwo nie zraziło się pierwszeństwem organizacji pozarządowej i postanowiło na drodze sądowej zmusić ją do zrzeczenia się prawa do nazwy. Producent luksusowych aut argumentuje, że fundacja nie wykorzystwała w wystarczającym stopniu własnego znaku towarowego, by zapewnić sobie wyłączność na sporną nazwę. Zdaniem organizacji dowodem na to, że jej marka jest rozwijana, jest choćby współpraca z koncernem Adidas. Jedno jest pewne: prawnicy obu stron poculi krew!



Śpiesz się po cichu

Policja z Bombaju wpadła na ciekawy pomysł cywilizowania kierowców, którzy mają zwyczaj trąbienia podczas oczekiwania na zmianę świateł. Do wybranych sygnalizatorów podłączono decybelomierz, a cykl świateł jest resetowany, jeśli dźwięk klaksonów przekracza 85 dB. Mówiąc prościej, dopóki kierowcy nie ucichną, nie doczekają się zielonego. Na razie instalacja rozstawiana jest testowo w kluczowych miejscach metropolii i nie wiadomo, czy system zostanie wprowadzony na stałe.

37. OGÓLNOPOLSKI TURNIEJ MAŁYCH FORM SATYRYCZNYCH BOGATYNIA 2020



Czekamy na zgłoszenia

Do 1 marca 2020 r. należy przesyłać zgłoszenia na tekst satyryczny. Prace powinny być podpisane godłem (pseudonimem). W oddzielnej kopercie należy dołączyć swoje dane (imię i nazwisko, adres do korespondencji, adres e-mail, telefon kontaktowy). Tego samego godła (nicku) należy użyć, przysyłając prace drogą elektroniczną.

I nagroda – 3 tys. zł, tytuł Księcia Łgarzy oraz statuetka Złotego Kosy

Do 8 marca 2020 r. czekamy na zgłoszenia do głównego konkursu na krótką prezentację sceniczną (w formie multimedialnej wraz z kartą uczestnictwa). W przypadku linku do wiadomości mejlowej powinien być dołączony podpisany skan karty uczestnictwa.

I nagroda – 5 tys. zł, tytuł Króla Łgarzy oraz statuetka Kozia

Prace należy przysyłać pod adresem:

Stowarzyszenie Turnieju Małych Form Satyrycznych

ul. Szttygarska 21

59-920 Bogatynia

lub pocztą elektroniczną

turniej.lgarzy@gmail.com; biuro@turniej.com.pl

Pojedynek Gości o Nagrodę Publiczności to przegląd najciekawszych zjawisk na scenie kabaretowej i satyrycznej. Pojedynek odbędzie się w trakcie koncertu finałowego 18 kwietnia 2020 r. w Bogatyni. Do udziału zaprasza organizator turnieju na podstawie rekomendacji.

Nagroda – 5 tys. zł oraz statuetka Szczupłego Andrzeja trafi do wybranych bogatynińskiej publiczności.



Szczegółowe informacje dotyczące regulaminu konkursów oraz kartę uczestnictwa można znaleźć na stronie internetowej www.turniej.com.pl.

ZAPRASZAMY Z UŚMIECHEM

MEMY BEZ ŚCIEMY





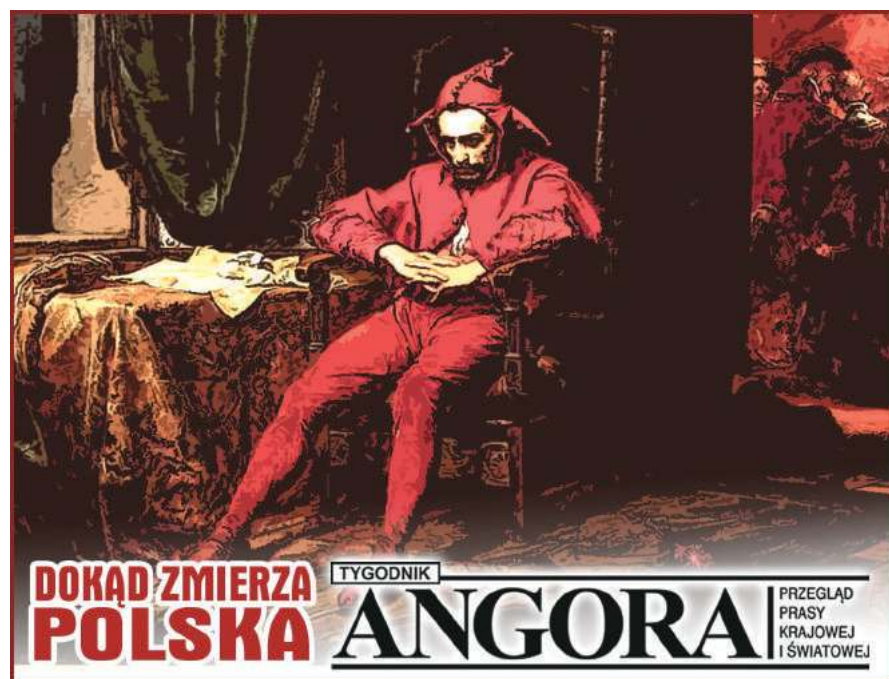
Giętki kręgosłup okazuje się przydatny nie tylko w polityce. Występy na zawodach w gimnastyce artystycznej w Moskwie.

Z Lubelszczyzny na Marszczynę

Firma z Lublina opracowała grę komputerową polegającą na naprawie i konserwacji łazików marsjańskich. Rover Mechanic Simulator wyposaża graczy w różnorodny sprzęt, m.in. dźwиг, drukarkę 3D i konfigurator sterowników, a także dokładne opisy poszczególnych elementów. Co istotne, dodano możliwość odrestaurowania historycznych łazików NASA. Dalsze plany studia Pyramid Games obejmują m.in. produkcję o nazwie Soviet Space Engineers, pozwalającą na wcielenie się w inżyniera radzieckiego programu kosmicznego, a także Occupy Mars: The Game, w której celem będzie założenie bazy na Czerwonej Planecie. Ale kosmos!

Dzieci albo alkohol – wybór należy do ciebie

Popularna brytyjska sieć puborestauracji testuje w części lokali nową zasadę. Dorośli, pod których opieką podczas wizyty w Wetherspoon znajdują się kilkulatki, mogą spożyć jeden napój alkoholowy, drugi dopiero przy zamówieniu posiłku, poinformował najpianany potentat. Firma argumentuje, że większa ilość „procentów” często oznacza zapomnienie o dzieciach, które biegają wtedy samopas po całym lokalu i mogą sobie zrobić krzywdę. W podtekście testowanej „reguły dwóch” jest także dbałość o komfort obsługi i reszty gości. Brzmi rozsądnie, tylko czy nie odbija się negatywnie na liczbie urodzeń na Wyspach?



**DOKĄD ZMIERZA
POLSKA**

TYGODNIK

ANGORA

PRZEGLĄD
PRASY
KRAJOWEJ
I ŚWIATOWEJ



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

www.tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański

e-mail: j.domanski@tygodnikprzegląd.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

e-mail: p.dybicz@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca redaktora naczelnego

– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat

e-mail: j.wielgat@tygodnikprzegląd.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzegląd.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn),
Helena Leman (Malbork), Maja Markowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula,
Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-
Piszc (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz,
Robert Walenciak, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,

Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski,

Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki,

Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,

Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka,

Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoredakcja: Magdalena Głuska,

Karina Krystosiak, Rafał Pyznar

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzegląd.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Katarzyna Chilecka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

07-200 Wyszów, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





WIDOK

**Żywa Galeria Stalowa 52
Warszawa**

do 4 marca

David Pataria obdarzony jest wyjątkową wyobraźnią. Jego twórczość cechuje ogromna różnorodność – to akty, abstrakcje, kompozycje z motywem byka i koguta, prace nawiązujące tematyką do tradycji i kultury Gruzji, w której dorastał, jak również wykonane z myślą o dzieciach. Dzięki bogactwu kolorów artysta zaraża nas swoim optymizmem, a poprzez zastosowanie różnych technik i materiałów: drewna, metalu czy plastiku, tworzy obrazy 3D. To połączenie faktur i surowców sprawia, że jego świat jest równocześnie baśniowy i dotykalny.



Polish Jazz

vol.83

Jerzy Mączyński

Jerry & The Pelican System

PREMIERA PŁYTY WINYLOWEJ

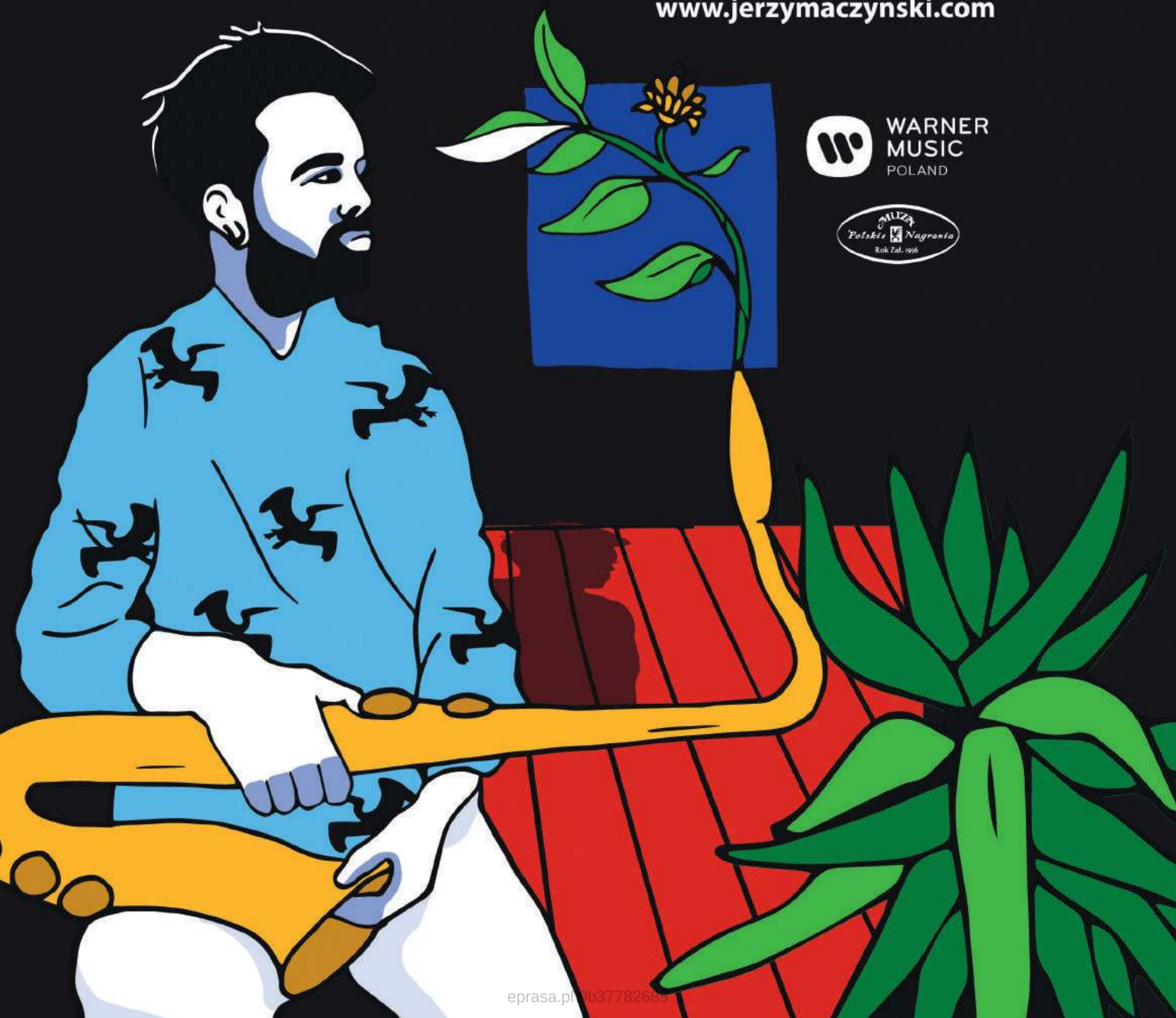
25 LUTEGO 2020

WINYLOWA, godz.20:00
UL.MORCINKA 5/17

WYDARZENIE POPROWADZI PIOTR METZ

WSTĘP WOLNY

www.jerzymaczynski.com



**WARNER
MUSIC**
POLAND



OSCAR
NOMINACJA
NAJLEPSZY FILM
MIĘDZYNARODOWY

12x CÉSAR
NOMINACJE W TYM
NAJLEPSZY FILM

NĘDZNICY

WYSTARCZY ISKRA, ŻEBY WYBUCHŁ GNIEW



W KINACH 28 LUTEGO



ojoestgrano24

POPTOWNIEU

SFILMOWANI

KOBIETA • PL

PAPAYA.ROCKS



ELLEMAN



VOGUE

112

eprasa.pl 0b37782685